

Siódme dziecko stróża

JOLANTA WRÓŃSKA

Domy opieki społecznej, sierocińce, domy — wcale nie pogodnej — starości — nigdy nie są wesołym widokiem. Otacza je opar beznadziejnej samotności i rezygnacji, a od „normalnego” (czy naprawdę?) świata, odgradza je ponadto — eokolwiek by się mówiło — mur obojętności. Jest to dokładnie ten sam mur, który dzieli aktywność, zapobiegliwie, spieszące życie od beznadziejnego trwania w oczekiwaniu na śmierć.

Nie jest łatwo mówić o pomocy społecznej, bowiem zawsze będzie to obserwacja z zewnątrz. Nawet szczegółowa znajomość kwestii, pozostawia margines niezrozumienia, niemożność ogarnięcia wszelkich niuansów.

„Problem zinstytucjonalizowanej opieki społecznej zawiera się w wielu płaszczyznach, od — że tak powiem — filozofii funkcji opiekuńczej wobec słabszych, przez problemy prawne, materialno-organizacyjne, aż po tradycje kulturowe, etyki i normy moralne rządzące życiem społecznym.

PRZYKŁAD JEDEN Z WIELU

Domów pomocy społecznej jest w Polsce wiele. Ten znaj-

duje się we wsi Skrzynno w gminie Ostrówek, niedaleko Wielunia. Mieści się we dworze, ponoć mocno zabytkowym. Jakby z lekka klasycystyczny, zbudowany w podkowie, z tarasem i wielkimi schodami prowadzącymi do ogrodu. Obok budynek rządowski, na tyłach zabudowania gospodarcze. Widok sielski na pierwszy rzut oka. Na drugi rzut widać zabytkowość obiektu w całej rozciągłości. Grzyb i te mury, mimo łatania, suszenia, malowania. Dach od trzech lat prosi się o naprawę. Jesienią na strychu stoją rzędy naczyń do łapania cieknącej szparami wody. Stolarka mocno zniszczona, wymaga wymiany. A w ogóle — słyse — całość trzyma się na słowo honoru, bo ponoć budynek stoi bez odpowiednich fundamentów. Potrzebny jest natychmiast kompleksowy, kapitalny, gruntowny i jaki tam jeszcze remont. Ale taniej wyszłoby postawienie od zera zupełnie nowego budynku. Taki zabytek — mówią w dyrekcji — albo będzie poddany gruntownemu remontowi, albo będzie — i jest — worem bez dna, w którym spokojnie można utopić miliony bez widocznego rezultatu. Łatanina zawsze wychodzi drożej niż jednorazowa operacja.



- Adam Ochocki w Australii
- Artyści w Soczewce
- Proza J. Jesionowskiego
- Terroryzm: Nietykliwość i przemoc
- Stworzony by latać

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 24 (1277) ROK XXV

17 WRZEŚNIA 1982 ROKU

CENA 20 ZŁ

Kartoflanka

RYSZARD BINKOWSKI

We wrześniu pejzaz miasta zmienia się nie do poznania. Wybuch akcja „Witamina”. Gangi warzywno-owocowe maltretują przybyłych na targowiska chłopów, wymuszają intratne dla siebie ceny, podstawią zorganizowane plutony chytrych pośredników, którzy wykupują wszystko, co się na wsi urodzi. A na ulicach pojawiają się watahy obuczonych straszliwie mieszkańców, dzwigających wielogłone torby z sejerami, cebulą, jabkami, które po dwóch miesiącach zamieniają się w blokowych piwnicach w zasuszone, zwiedle brytki wielkości orzecha włoskiego. Handlarze zgarniają co się da, mieszkańcy robią to samo, bo wiadomo, że zimą niczego nie kupią. Ale o tym potem.

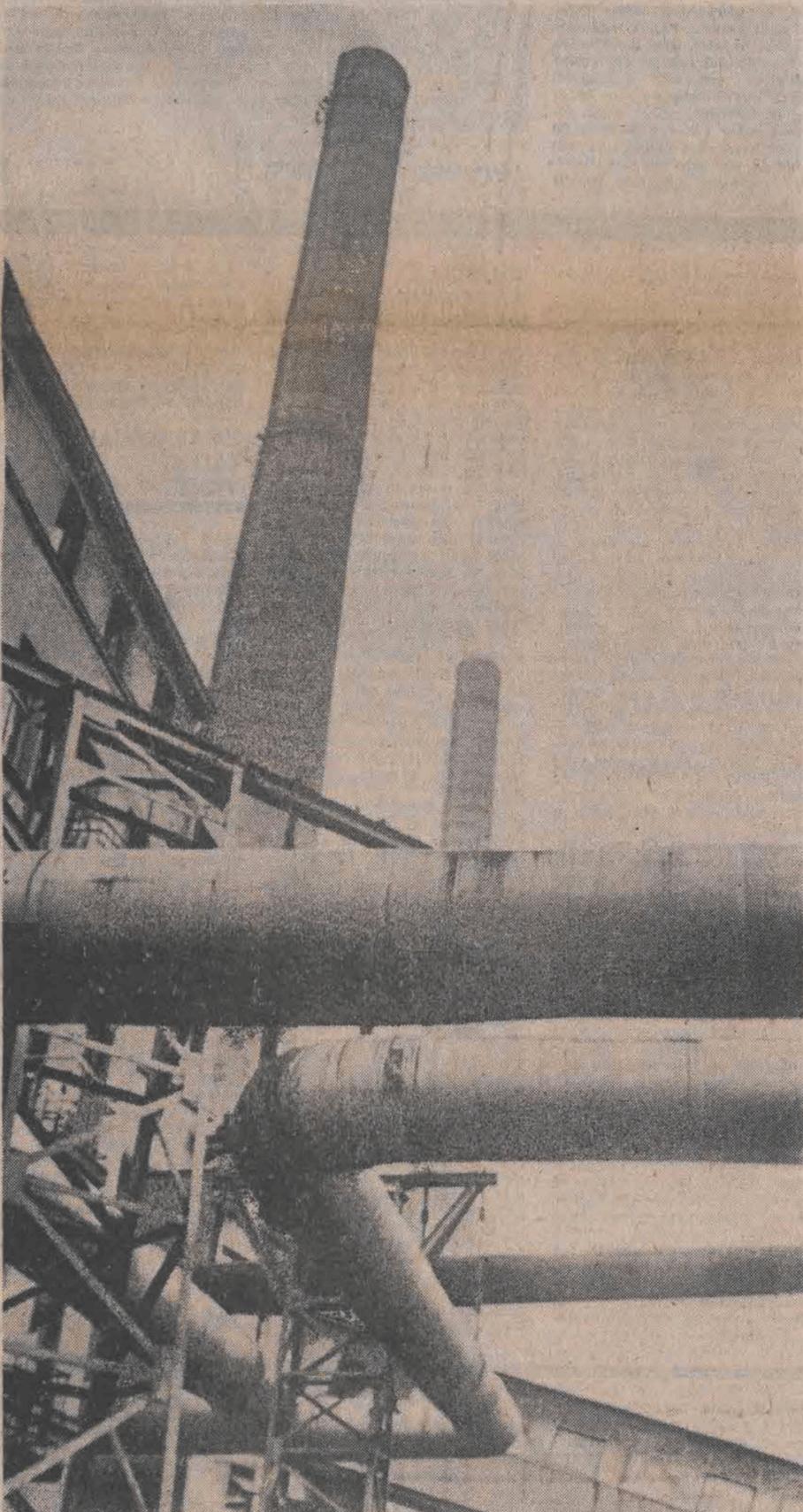
We wrześniu następuje eksplozja szalenstwa transportowo-wędrowniczego. Ziemiopłody jadą z hukiem przez Polskę! Sztaby podekscytowanych urzędników mocują się ze skupem, z rozdzielnikiem, z uciążliwą spejdyją. Ulicami suną załadowane workami aut, tabor kolejowy pęka w szwach. W te i wewte pędzą wagony z kartoflami, krążą sobie po kraju pociągi widma. Ten zasuwa nie w tę stronę, co trzeba, tamten ginie po drodze, inny odnajduje się na ślepych torze pod Łomżą i z ładunkiem imitującym gotowy zacier spirytusowy. O ile, rzecz jasna, tubylicy nie przerobią tego na krzakówkę w środkowych bimbrowniach.

A potem wiceprezydent Lech Krowiranda z widmem buntu głodujących tkaczy w strokach przesyndekich oczach kursuje od morza do gór, od Słupska po Opole sekretarza Michaika, by wyzebrać trochę ziemniaków dla miliona żernych obywateli, bo w naszym zacisznym, sielskim, zrecznie spreparowanym mikro-województwie urosnie zaledwie 5 tys. ton kartofli, którymi nie sposób zatkać każdej złaknionej twarzy. I kiedy już Lech Krowiranda straci sporo zdrowia i czasu, zaniedbując urząd oraz gniazdo rodzinne wraz z żoną, jak WSS „Społem”, WZSR i Spółdzielnia Ogrodnicza zgromadzą trochę zapasów, w mieście Łodzi zaczyna się cykl warzywno-owocowo-kartoflany. Płodów rolnych nie można sprzedawać racjonalnie, po trochu, przez jesień zimę i wczesną wiosnę, ponieważ nie ma ich gdzie przetrzymać. A taka np. „Chemobudowa” wpada na ulicy Ustronnej z posłizgu w posłizgu i, chociaż zaczęła wznosić wielką przechowalnię ziemniaków w dobre dynamicznego rozwoju, do dziś nie może zawieść wiechy, ba, nie jest nawet w połowie drogi do celu.

Wobec tego kartofle trzeba rozspać po blokach mieszkalnych. A piwnice w blokach są tak zmyślnie urządzone, tak pocięte rurami z gorącą wodą, z tak fikuśną klimatyzacją, że jak się na ten przykład, nasypie jesienią dwa kwintale ziemniaków, to już w połowie zimy (gdymy ich nie zjadać) zostaje z tej masy pół kwintala zwiedłych kozich bobków, ale za to z tak szalenie groźnym kłębowskiem kłaczy, jak na jakimś horrorze o wściekle drapieżnych roślinach. Niektórzy obywatele, zamroczeni furją akcji „Witamina”, upychają ziemniopłody w garażach. Potem idzie fala mrozu i z tej kartoflanki można pędzić bimber w łazienkach.

Akcja „Witamina” rozkręca się, nabiera rozmachu i niezdrowych rumieńców. Służby socjalne wpadają w amok oraz w trans pozornego działania. Każdy chce uczynić coś dobrego dla ludzi, każdy chce wykazać, że działa że się stara i zaopatruje. To jest w planie, to jest godne, chwalebne, trzeba tylko sporządzić na piśmie tysiące sprawozdań, że się coś zorganizowało. I wychodzi z tego akcja „N”, czyli niemożność lub nieudolność.

Znad sprawozdań unoszą się czujne głowy drętłych mózgowców. I już słycać ów szum złowrogi, i już płyną fale gniewu, szyderstwa zalewające jadem moją biedną tysięcącą głowę, zatrutą oparami alkoholu z reglamentacji. Zgroza! Czy on wie, ten zapyziały gryzpiór, ta oderwana od życia kanalia, że żyjemy w kryzysie i w stanie wojennym? Czy ten pismak wie, że ludzie z trudem wiążą ko-



Więcej światła

EUGENIUSZ IWANICKI

18 września br. łódzka energetyka obchodzi swoje 75-lecie. Ale zanim przypomnę jej początki, chce pamięcią wrócić do zimy 1979/80. Był to kosztowny czas: całe dzielnice pozostawały bez światła, w krakach brakło ciepłej wody, kaloryfery nie mogły ogrzać mieszkań. Noce owej ciężkiej zimy były pełne niepewności, obaw i strachu. W komunikatach energetycznych słycało się nieustannie o dwudziestym stopniu zasilania. Ludzi pomatu ogarniała panika: mówili się o zamrażaniu całych rodzin, o śmierci noworodków przebywających w inkubatorach bo wyłączono nagłe prąd, opowiadano o tragicznym końcu ludzi w szpitalach podłączonych do tzw. sztucznych serc, nerek i płuc. Przepowiadano bliski koniec milionowego prawie miasta. Nie potrzeba wojny, bomb, pocisków aby zagładzie uległo wszelkie życie. Wystarczy wyłączyć energię i ciepło.

Nie trzeba nikogo przekonywać, że jesteśmy uzależnieni od wspomnianych dwóch czynników. Dziś nie sposób wyobrazić sobie jakiegokolwiek działalności gospodarczej bez energii elektrycznej. Cała nasza egzystencja została zdeterminowana przez prąd i ciepłą wodę. Przyzwyczailiśmy się do korzystania z tych dobrodziejstw, które stały się nieodłącznym atrybutem naszej codzienności. Traktujemy je jak coś oczywistego, co było jest i będzie. Jakiegokolwiek zaś niedociągnięcia: wyłączone światło, nie dograne kaloryfery, brak ciepłej wody, natychmiast wywołują nasz gniew i pod adresem elektrociepłowni płyną słowa potępienia oraz inwektywy. I jakoś nikomu nie przyjdzie na myśl, że przecież energetyka służy temu miastu już 75 lat, choć to wiek podszły, to przecież nadal jest młoda poprzez powstające kolejne EC. A zaczynała swój żywot bardzo skromnie...

Prasa codzienna z dnia 7 maja 1906 r. podała sensacyjną wiadomość: oto dziś włączono kabel zasi-

Foto: M. Zajdler

Nowe zagrożenie — terroryzm

Terrorystyczny atak na polską ambasadę w Bernie stawia na porządku dziennym nowe zagrożenie — terroryzm. Do tej pory mogło nam się wydawać, że terroryzm nas omija, że kwitnie we Włoszech, w RFN, krajach Południowej Ameryki, że nie leży w naszej naturze, nie pasuje do tradycji walk politycznych w Polsce. Mielśmy wprawdzie zabójstwo prezydenta, mieliśmy zbrojny zamach stanu, przeżyliśmy walki bratobójcze, ale należały one do przeszłości. Mogłoby się wydawać, że już nie powrócą, że nikt po takie formy walki politycznej nie sięgnie. I oto rozwiły się złudzenia.

Najpierw zabójstwo sierżanta milicji Zdzisława Karosa, później wiadomości napływające z Katowic o powstaniu tam nielegalnej organizacji zbrojnej, a teraz terrorystyczny zamach na ambasadę w Bernie. Napaść, która Polskę znów uczyniła popularną w świecie. A przecież nie o taką popularność nam chodzi. I nie o to, by Polska wpisała się na światową listę terrorystycznych wyczynów.

Stało się. Dziś już wiemy, kto polską ambasadę zaatakował i wiemy, że wszystko skończyło się dobrze. Szwajcarska policja uratowała zakładników i aresztowała napastników. Ten incydent zakończył się szczęśliwie, bo nie było śmiertelnych ofiar, ale zagrożenie pozostało. Wielu ludzi zadaje sobie pytanie: czy to się powtórzy? I czy następnym razem obejdzie się bez ofiar? To zmusza też do zastanowienia się, czym jest terroryzm. Nie zwykły terror, a więc osiągnięcie zamierzonego celu przy zastosowaniu drastycznych i niebezpiecznych środków, jak na przykład podczas napadu rabunkowego, ale terroryzm polityczny.

„Terroryzm polityczny — pisze Jerzy Muszyński w zbiorze zatytułowanym „Terroryzm polityczny” i wydanym przez PWN w 1981 roku — występuje wówczas, gdy organizacje i ugrupowania posługujące się przemocą jako metodą i środkiem działania zmierzają do zdobycia lub utrzymania władzy, zmiany ustroju ekonomiczno-społecznego i politycznego, dokonania przeobrażeń systemu politycznego, obalenia rządzącej ekipy, wywierania nacisku na aparat rządzenia, do odzyskania niepodległości kraju lub jego terytorium. Takie cele są niewątpliwie kwalifikatorem terroryzmu jako działalności politycznej, bez względu na to czy szanse osiągnięcia zamierzonych celów są realne, czy utopijne albo czy akty przemocy stanowią rzeczywiste postacie walki zbrojnej, okrutnej i szczególnie drastycznej, czy są niewątpliwym przejawem zwykłej desperacji. Decyduje cel działalności, a nie jej efekty i szanse”.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że pierwszym celem działania terroryzmu politycznego jest zastraszanie. To, co zdarzyło się w Bernie może zdarzyć się i gdzie indziej. Zresztą Florian Kruszyk podaje się za pułkownika Wysockiego groził czymś podobnym, zapowiadając, że to dopiero początek. Terroryści zdają sobie sprawę, że każdy ich atak budzi ciekawość na świecie, ale także strach i obawę. Wiedzą, że telewizja, radio i prasa informują o ich wyczynach. Ale muszą mieć też świadomość, że ta sama telewizja, radio i gazety przekazują sprawozdania z ich procesów. Dziś już coraz rzadziej udaje się odlecieć samolotem w nieznane i zniknąć. Specjalnie wyszkolone oddziały policji

czy wojska coraz sprawniej radzą sobie z terrorystami. A i opinia publiczna jest coraz zdecydowaniej przeciwna terroryzmowi politycznemu.

Terroryzm polityczny stanowi strategię i taktykę różnych ugrupowań politycznych. Posługują się nim ugrupowania skrajnie prawicowe, faszystowskie, jak też lewicowe, anarchizujące, a także ruchy narodowowyzwoleńcze. Ale jakie by nie były cele, istota terroryzmu pozostaje taka sama i często dowodzi bezsilny ludzi terroryzmem posługujących się. Tu warto może przypomnieć, że ruch robotniczy już dawno i programowo odciął się od tego rodzaju metod działania. Również i niektóre ugrupowania ruchów narodowowyzwoleńczych odrzucają terroryzm jako metodę walki. Kiedy wojska izraelskie zmusiły bojowników palestyńskich do opuszczenia Libanu, niektórzy zakładali, że OWP ucieknie się do terroryzmu. Ale Jaser Arafat powiedział wówczas, że OWP odrzuca terroryzm, co nie znaczy, że rezygnuje z dalszej walki.

Ugrupowania terrorystyczne są jak żadne inne podatne na penetrację elementów kryminalnych oraz wywiadów. Coś takiego spotkało niektóre ugrupowania palestyńskie, posługujące się terroryzmem, które stały się przedmiotem zainteresowania i penetracji wywiadu izraelskiego. Ale nie tylko one. Zawodowych konspiratorów i terrorystów sporo jest na świecie, a pieniądze mają na ogół wywiady. Sojusz tych dwóch sił sprzyja realizacji różnych celów politycznych, tym bardziej, że ugrupowania programowo realizujące terroryzm są na ogół społecznie izolowane. Nie przypadkiem cytowany już Jerzy Muszyński zwraca uwagę na „ogólną intelektualną płytkość motywacyjną” terroryzmu” oraz na „irracjonalną absolutyzację przemocy jako środka osiągnięcia zamierzonego celu”.

Czego domagał się w Bernie Florian Kruszyk? Zniesienia stanu wojennego w Polsce. Absurdalność i irracjonalność tego żądania nie budzi najmniejszej wątpliwości. Gdyby ktoś myślał racjonalnie, gdyby za podstawę tego myślenia wziął rzeczywistość, a nie złudne pragnienia, to doszedłby do wniosku, że nie przez nasilenie napięć, niepokojów i zastraszanie społeczeństwa wiedzie droga do zniesienia stanu wojennego w Polsce. Na 24 posiedzeniu Sejmu PRL 21 lipca 1982 roku gen. Wojciech Jaruzelski zapowiedział, że „jeśli występować będą korzystnie utrwalające się zmiany, bez nawrotów napięć, jeśli świadczyć będą jednoznacznie o uspokojeniu się i normalizowaniu sytuacji wewnętrznej w kraju” to wówczas można będzie wystąpić o zniesienie stanu wojennego i byłoby dobrze, aby stało się to możliwie jeszcze w tym roku. Ale tu trzeba przypomnieć inną formułę. Przypomnieć o tym, że nie może być u nas powrotu do sytuacji sprzed sierpnia 1980 roku, jak i sytuacji sprzed 13 grudnia 1981 roku. Zniesienie stanu wojennego nie oznacza więc przywrócenia układu sił politycznych sprzed 13 grudnia 1981 roku, automatycznego powrotu do tamtej sytuacji, jak gdyby nic się później nie stało, jak gdyby nie się przedtem nie stało. Takie oczekiwanie jest czysto irracjonalne, jak również i to, że po elchu, powoli wszystko wróci do starych wzorów, a więc do sytuacji sprzed sierpnia 1980 roku. Taki powrót oznaczałby początek nowego kryzysu. Kto tego nie rozumie powinien zajmować się wszystkim, ale nie polityką.

Czy grozi nam nasilenie się terroryzmu politycznego? Niebezpieczeństwa tego nie można lekceważyć. Wiele wskazuje na to, że tak. Ale wierzę, że terroryzm spotka się w naszym społeczeństwie ze zdecydowanym sprzeciwem, potępieniem i będzie musiał wygasnąć, przegrać. Nie tędy bowiem prowadzi droga do rozwiązania naszych problemów. Warto też zwrócić uwagę, że każdy sposób nękania władzy jest też sposobem nękania nas wszystkich — społeczeństwa.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

spisany na straty wydawnictwa i... czytelników”.

Tym wydawnictwem, które teraz podjęło się wydania drugiego po 34 latach wydania „Spraw Polaków” jest „Śląsk”.

„Ale o przeszłości pisać trzeba. Nie tylko ze względu na wszelkie rocznice. Sam jestem zdecydowanym przeciwnikiem rocznicowej publicystyki, ale też jestem zwolennikiem publicystyki na tematy historyczne. Publicystyki rzetelnej, opartej na faktach, a przez to przyczyniającej się do obalenia wielu mitów. Tych nam nie brakuje. Jak nie brakuje nam — w różnym stopniu zresztą — wiedzy historycznej. Co na przykład wiemy o Feliksie Dzierżyńskim? Kilka obiegowych historyjek, więcej plotek, a najwięcej fałszywych interpretacji. Dlatego warto przeczytać artykuł Janusza Wojtasia w „PERSPEKTYWACH” (nr 30 z 10 września 1982 r.) pod tytułem: „Płomińskie goręjące”. Warto może zacytować list Feliksa Dzierżyńskiego do siostry Aldony z 15 kwietnia 1919 roku. Niech sam mówi o sobie:

„Jedną prawdę Ci mogę powiedzieć — pozostałe tym samym. Czuję, że Ty nie możesz pogodzić się z myślą, że to ja, i nie możesz zrozumieć znając mnie. Trudno mi pisać. Trudno dowodzić. Ja, wieczny tułacz, w ruchu, w procesie zmian i tworzenia życia nowego. Czyż chciałabyś, bym był gdzieś na ustroniu. Gdybyś wiedziała, jak żyję, gdybyś mi w oczy zajrzała — zrozumiałabyś, raczej odczułaś, że pozostałem tym samym co dawniej”.

Zmarł 26 lipca 1926 roku. Był indywidualnością wybitną — pisze o nim Janusz Wojtasia. Wszedł na zawsze do historii narodu polskiego i narodów ZSRR. Warto poznać prawdę o Feliksie Dzierżyńskim. Warto znać naszą przeszłość.

Edmund Jan Osmańczyk ma trochę racie stawiając zarzuty naszej prasie, gdyż pewne tematy chodzą u nas stadami. Teraz — no śmierci Władysława Gomułki —

RUSZYLI WSPOMINKARZE

Oto Pan Ptasinski opowiada w „RZECZYWISTOSCI” (nr 17 z 12 września 1982 r.) co słyszał o Gomułce nim go poznał. Wspomnienia dopiero się zapowiadają. A Władysław Gomułka też był indywidualnością wybitną, przemilczaną swego czasu a przez to tym bardziej dziś interesująca. To zainteresowanie nie wynika jednak z prostej ciekawości: jakim był, jakie miał zwyczaje, co lubił? Wynika ono z chęci zrozumienia jego polityki, jego sposobu myślenia. Nie wszystko, co dotyczy działalności Władysława Gomułki zostało już ujawnione i chyba nieprędko będzie ujawnione. I właśnie ludzie, którzy go znali, którzy z nim się stykali, współpracowali, wiele mogą pomóc w zrozumieniu jego politycznych zamysłów. A to jest potrzebne dla zrozumienia naszej najbliższej przeszłości.

Trochę szczegółów dość istotnych przynosi pierwszy odcinek szkicu Władysława Machajki w „ZYCIU LITERACKIM” (nr 31 z 12 września 1982 r.). Władysław Machajka wspomina, ale też ocenia, rysuje to polityczne, wyjaśnia. Między innymi wyjaśnia okoliczności powstania Deklaracji programowej z listopada 1943 roku „O co walczymy?”. To są bardzo istotne szczegóły, gdyż pomagają zrozumieć idee sojuszu politycznych, których zwolennikiem był Władysław Gomułka, a które niezbędne były dla pokonania faszystów i wyzwolenia Polski. To pozwala również zrozumieć głębiej idee powołania KRN, jak i wizję przyszłości Polski widzianej z 1943 roku.

W tymże samym numerze „ZYCIA LITERACKIEGO” warty odnotowania jest artykuł Zdzisława Hemmerlinga pod znamennym tytułem: „Do anoty, chamy, do widel!” traktujący — jak to wynika z podtytułu — o „Miejscu Józefa Piłsudskiego w działalności

stronnictw ludowych”. Tradycja ruchu ludowego też nie są u nas zbyt szeroko znane.

Czas jednak zmienić tematykę, bo miejsca mało, a ciekawych artykułów dużo. W „TY-GODNIKU KULTURALNYM” (nr 25 z 12 września 1982 r.) Bohdan Gadomski przypomina

ZMARNOWANY TALENT VIOLETY VILLAS

która faktycznie nazywała się Czesława Maria Eliza Cieślak, urodziła się w biednej rodzinie górniczej w Liege i mogła zrobić światową karierę, a wszelka wieść o niej powoli ginie. Niezrozumiana, niedoceniona, zapomniana, choć jeszcze żyje faktycznie odchodzi z zapomnienie.

„Legenda, która mnie otacza — zwierzyła się niegdyś Violetta Villas — przynosi mi coraz więcej bólu i też. Co ja z niej mam? Chyba tylko cierpienia, o których nie mogę nic powiedzieć, bo pomyśl, że szukam współczucia”.

Dziś nawet nie wiadomo, czy przeżywa jeszcze w swej zapuszczonej willi w Magdalenec koło Warszawy, czy — jak mówią niektórzy — odeszła do klasztoru.

Natomiast wcale nieklastro-orne życie prowadzi felietonistka Anna Błażucha, która w „ARGUMENTACH” (nr 27 z 12-18 września 1982 r.) opowiada o swej upojonej nocy z pewnym Adamek. Zainteresowanych szczegółami Czytelników może poinformować, że Anna Błażucha 6 razy musiała uciekać się do wymyślnego przez siebie Dekretu o autocenzurze i skromności, aby tych szczegółów nie omisła. Ów Adam musi być donetym i pociągającym mężczyzną, który zachowuje się „jak kompletny Azjata”, dając następnemu nocną całą historię ponownie się powtórzyła.

LUCJAN BOGUSZ

Co dalej na Bliskim Wschodzie?

W poniedziałek 6 września rozpoczął obrady „szczyt arabski”. Spotkanie z udziałem 20 delegacji odbywa się w Fezie, przewodniczy król Maroka Hassan II. Zaproszenie do Fezy odrzuciła Libia, Egipt został wykluczony z organizacji państw arabskich. W szczycie bierze udział przywódca OWP Jaser Arafat ze swoim sztabem. Obecność tej delegacji jest niejako personifikacją sprawy numer 1, jaką ma do rozstrzygnięcia „szczyt”. Jest nią nie tylko przyszłość narodu palestyńskiego, lecz i całej polityki arabskiej wobec Izraela i jego sojuszników.

Uczestnikom przedłożono dwa plany pokojowych rozstrzygnięć. Plan pierwszy nosi nazwę planu króbia Fahda (Arabia Saudyjska), drugi nazywany był planem Habiba Burgiby (prezydenta Tunezji). Konkluzje obydwu planów są zbliżone: — pokój z Izraelem jest możliwy, pod warunkiem że państwo to uzna prawo narodu palestyńskiego do samostanowienia na obszarach Cisjordanii i w rejonie Gazy oraz wyreczne się aneksji terytoriów arabskich.

W kuluarach zgodnie potępia się założenia „Pax Americana” zawarte w układach z Camp David.

Przewiduje się, że uczestnicy konferencji ustosunkują się do nowej inicjatywy Reagana, który postuluje, aby Izrael zaprzestał zakładania osiedli żydowskich na arabskich ziemiach okupowanych, a także zgodził się na utworzenie palestyńskich okręgów autonomicznych w Cisjordanii i rejonie Gazy.

Wtorek, 7 września. Propozycje prezydenta USA zostały skrytykowane przez radykalne państwa arabskie oraz zdecydowanie odrzucone przez rząd Izraela. OWP nie zajęła oficjalnego stanowiska w tej sprawie.

„Szczyt” omówi plan arabski w sprawie Bliskiego Wschodu przygotowany przez arabskie państwa umiarkowane, które żywią nadzieję, iż zostanie on przyjęty przez państwa radykalne i Organizację Wyzwolenia Palestyny. Plan ten zastąpił kontrowersyjny plan Arabii Saudyjskiej. Plan ten, oparty na pośrednim uznaniu granic Izraela sprzed 1967 r., był powodem zerwania ubiegłorocznego szczytu arabskiego w Fezie.

Nowy plan zakłada włączenie OWP do bliskowschodniego procesu pokojowego, co w konsekwencji powinno zaowocować utworzeniem państwa palestyńskiego, sąsiadującego z Izraelem. Plan przewiduje stworzenie gwarancji bezpieczeństwa dla wszystkich państw regionu przez Radę Bezpieczeństwa ONZ.

Porządek obrad konferencji rozrósł się do 28 punktów, m. in. sprawy wojny iracko-irańskiej oraz przedłużenia mandatu Arabskiego Korpusu Bezpieczeństwa w Libanie, w skład którego wchodzi obecnie wyłącznie wojska syryjskie. Liban żąda wycofania Korpusu.

Sroda, 8 września. Źródła w Fezie (obrazy toczą się za zamkniętymi drzwiami) podają, że „szczyt” nosi się z zamiarem wysłania do stolicy USA delegacji Ligi Arabskiej w której skład weszłyby również Jaser Arafat. Te same źródła twierdzą, że zaakceptowanie Arafata w składzie delegacji przez rząd USA otworzyłoby nową kartę w bliskowschodniej polityce amerykańskiej. Przypomina się, że Arafat nie odrzucił reaganowskiego planu pokojowego.

Z doniesień agencji wynika również, że Irak zwrócił się do uczestników „szczytu” o wystosowanie oficjalnego ultimatum do Iranu z żądaniem zakończenia wojny. W przypadku, gdyby Teheran odrzucił ultimatum, propozycja Iraku przewiduje zastosowanie postanowień karty Ligi Arabskiej, które przewidują wspólną obronę państw arabskich na wypadek zagrożenia z zewnątrz jednego z nich.

Agencja Reutersa omawia 45-minutowe przemówienie Arafata. Stwierdza, że przywódca OWP pozostawił otwarte drzwi dla planu prezydenta Reagana, nie wykluczył możliwości zaakceptowania przez OWP propozycji amerykańskich.

Stanowisko to, jak stwierdzają obserwatorzy, może wywrzeć decydujący wpływ na końcowe rezultaty „szczytu”.

Arafat unikał wprawdzie bezpośredniej krytyki pod adresem poszczególnych państw arabskich, ale nie ukrywał swego „zdegustowania” brakiem poparcia świata arabskiego dla OWP w czasie 10-tygodniowej bitwy o Bejrut.

W środę wieczorem, jak wynika z doniesień, uczestnicy 12 „szczytu” państw arabskich przyjęli wspólny plan pokojowego rozwiązania konfliktu bliskowschodniego.

Plan — jak wynika z nieoficjalnych informacji — przewiduje utworzenie w wyniku procesu pokojowego, w którym uczestniczyłyby również OWP, państwa palestyńskiego na zachodnim brzegu Jordanu i w strefie Gazy, a więc na terytoriach od roku 1967 okupowanych przez Izrael. Inicjatywa arabska zakłada także uznanie przez świat arabski istnienia państwa izraelskiego. Plan pozostawia Radzie Bezpieczeństwa ONZ podjęcie odpowiednich gwarancji bezpieczeństwa dla wszystkich państw regionu. Plan wyraźnie nawiązuje do rezolucji ONZ z roku 1947 w sprawie podziału rządzony wówczas przez Brytyjczyków Palestyny na dwa państwa: żydowskie i arabskie.

Źródła podają, że zaaprobowany w Fezie plan uwzględnił częściowo „pewne pozytywne aspekty” planu ogłoszonego przez Ronaldą Reagana.

„Szczyt” postanowił wysłać do Kairu komisję Ligi Arabskiej w celu przeanalizowania z władzami egipskimi ponownego wzięcia Egiptu do Ligi.

W kuluarach konferencji podano także, że przywódcy arabscy przyjęli rezolucję popierającą generalnie Irak w jego wojnie z Iranem.

Wraca prenumerata!

Jak zakomunikowano w ubiegłym tygodniu Ministerstwo Łączności i Zarząd Główny RSW „Prasa-Książka-Ruch” uzgodniły zasady współpracy i podziału zadań w dziedzinie upowszechniania i kolportażu prasy na obszarze całego kraju. Głównym realizatorem prenumeraty prasy na wsi jest PP „Polska Poczta, Telegraf i Telefon”, a w mieście RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

Zgodnie z tym podziałem przedpłaty na prenumeratę wszędzie tam, gdzie nie ma oddziałów i przedsiębiorstw kolportażowo-handlowych „Ruch” przyjmować będą doręczyciele i placówki pocztowe.

W miastach zamówienia na prenumeratę (wyłącznie czasopism) przyjmować będą urzędy pocztowo-telekomunikacyjne na podstawie blankietów wpłaty na rachunki bankowe RSW.

Można będzie prenumerować prasę regionalną poza strefą jej normalnego kolportażu.

Dzienniki mogą prenumerować jedynie osoby niepełnosprawne. Dokonywać przedpłat na rok przyszły można już od 15 października br.

Nie jest to rozwiązanie idealne, ale jakieś jest!

Przełęcz prasy

PAMIĘTNIK ROCZNICOWY A NIE PRASA

— tak ocenia naszą prasę Edmund Jan Osmańczyk w wywiadzie dla „RAZEM” (nr 21 z 12 września 1982 r.) Powiada on dosłownie:

„...bo Polska to dziś kraj, który żyje od rocznicy do rocznicy. Nigdy nie widziałem takiej dziwnej prasy, jak nasza obecnie, która właściwie poświęca się nazywać pamiętnikiem rocznicowym. Nie można tak. Musimy żyć przyszłością. W święta oddajemy hold przeszłości. Jednak dzień powszedni wypełniamy myśleniem o jutrze”.

Jest w tym stwierdzeniu sporo racji. Ale też warto pamiętać o tym, że nie ma przyszłości bez przeszłości. A przeszłość mieliśmy nietrafną i właśnie z tego powodu nie wyszło się do końca i we właściwym czasie. Zresztą sam E. J. Osmańczyk doświadczył tego na sobie. Wywiad w „RAZEM” ukazał się w związku z drugim wydaniem jego książki pod tytułem: „Sprawy Polaków”. To drugie wydanie ukazało się dopiero po 34 latach od wydania pierwszego. I też nie bez przeskód.

„Książka miała ukazać się jeszcze w październiku ubiegłego roku — powiada E. J. Osmańczyk — aliści zadziałały znowuż siły, tym razem wewnętrz wydawnictwa, które spowodowały, że nakład tej niewielkiej księżeczki został zniszczony. I jak w 1957 roku

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolewicz (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogdan Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Jerzy Panasewicz (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Głane (grafik), Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny, Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter)

Stale współpracują: Tadeusz Błażejowski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Krystyna Namysłowska, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Ogłoszenia” al. A Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680-99 publicysty 677-70. Redakcja nie zembionych rekonisów nie zwraca zastrzeżenia sobie również prawo do skrótoch. Informacji o warunkach prenumeraty udziela oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzęd pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zniżką wysyła za granicę przyniome RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 90-558 Warszawa ul. Towarowa 28. Konto NBP KV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata to jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. Dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawcza „Prasa — Książka — Ruch”. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1987. R-2

POD DYSKUSJĘ: Karol J. Stryjski podejmuje trudny i skomplikowany problem współczesnej kultury. Wsuwa szereg zarzutów pod adresem zarówno środowisk twórczych, jak i dotychczasowych form

mecenatu. Prezentowane przez autora poglądy spotkają się zapewne z różnego rodzaju sprzeciwami. Byłoby pożyteczne, aby tego rodzaju sprzeciw i inne punkty widzenia spraw kultury i środowisk twórczych

znalazły odbicie na naszych łamach. Zapraszamy do dyskusji!

Dać szansę

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Tak się już dzieje, że co jakiś czas w dyskusjach publicznych powracają pytania o środowiska twórcze, o ich poglądy i postawy. Pytania typu: jaki to ma sens? Po co to wszystko? Albo wręcz — co się za tym kryje? Na przykład za tzw. wewnętrzną emigracją.

Nie zawsze pytania te stawiane są w trosce o kulturę. Nierzadko intencją pytających nie jest poznanie prawdy o złożonej sytuacji tych środowisk. Powiedźmy otwarcie — nigdy nie była ona prosta. A dziś jest szczególnie pogmatwana. Jest to konsekwencja nie tylko, albo nawet nie tyle 13 grudnia. To do czego doszliśmy dojrzało długimi latami. Jednakże fakt ten nie jest — jak mi się zdaje — dostatecznym powodem do stawiania pytań o sytuację w środowiskach twórczych w tonie napastliwym, pełnym nieokreślonych pretensji, w tonie przypominającym antyinteligencję przegranych z lat, które potem określono okresem błędów i wypaczeń.

Jak już stwierdziłem sytuacja i status społeczny środowisk twórczych rzadko w przeszłości były jednoznaczne. Był to w dużej mierze skutek polityki jaką wobec twórców stosowano, konsekwencja szczególnego rodzaju kocietowania ich przez władzę, co określano dla niepoznaki mecenatem. W znacznej mierze i same te środowiska na pozycję swoją sobie „zapracowały”. Bo przecież nie tak trudno było wśród twórców pochlebcom, bezkrytycznym adoratorom i koniunkturalistom. Powie ktoś replikując: tacy zawsze się znajdują. To prawda, w istocie. Tylko, że twórca odpowiada za swoje dzieło nie tylko w chwili, kiedy inkasuje honorarium, ale i wówczas, gdy oceniać je będzie wnuk umownego kasjera. Ta odpowiedzialność jest prawem do krytycznej, nawet surowej oceny rzeczywistości, do myślenia historycznego. Jest ona również obowiązkiem. A mianowicie — obowiązkiem bycia wiernym sobie, a więc i określonej ideologii, filozofii oraz dochodzenia możliwie najbliższej prawdy. Zakres korzystania z przywilejów tego prawa i przestrzegania rygorów obowiązku jest dla mnie miernikiem tzw. zaangażowania twórcy.

Zaangażowanie to wyrażać się może zarówno poprzez określoną postawę nieobojętą rzeczywistości, a która zawsze jest pochodną poglądów, ale przede wszystkim poprzez twórczość. Przy czym przez słowo „zaangażowanie” nie rozumiem dyspozycyjności twórców wobec umownych mecenatów (w moim odczuciu mecenasem może być jedynie społeczeństwo. Reszta to jedynie instytucje tego mecenatu, podległe społecznej kontroli). Zaangażowanie to przede wszystkim nie uciekanie od artystycznej wypowiedzi w sprawach publicznych, w kwestiach żywo dotykających społeczeństwo. Z drugiej strony twórca, aby był wiarygodny musi pozostać wierny głośzonym przez swoją twórczość poglądom. Dwulicowość jest w tym przypadku grzechem najcięższym i śmiertelnym dla stworzonego dzieła.

Równocześnie pragnę przypomnieć, że ze względu na specyfikę środowisk twórczych klasyczna formuła aktywności społecznej i standardowe kryteria jej oceny są trudno stosowalne. Dlatego tym większa powinna być ostrożność w formułowaniu opinii, a tym bardziej wnikliwość dotyczących sytuacji i postaw twórców kultury. Za takim stanowiskiem przemawia również i to, że jak dotąd oceny jednostronne zjawisk zachodzących w obrębie kultury, przyporządkowane przez polityków potrzebom doraźnym, dość szybko obracały się przeciwko nim samym, pogłębiały tylko procesy alienacyjne.

KONDYCJA POLITYCZNA

Środowisk twórców kultury — i to nie tylko w Łodzi — nigdy nie była imponująca. W ostatniej dekadzie, a chyba nie tylko, nie była kultura dobrze i właściwie wykorzystywaną sferą dla refleksji ideologicznej. Od czasu porażek socrealizmu wielu twórców z uporem i skutecznie stroniło od poszukiwań artystycznej

formuły dla teże refleksji. Niezbyt imponujący jest również ładunek polityczny w twórczości nie tylko ostatniego dziesięciolecia. A równocześnie niewielu można znaleźć twórców osobiste angażujących się w życie społeczne.

Temu ostatniemu nie zawsze sprzyjającą była atmosfera panująca w środowisku. Równocześnie od dłuższego czasu można było zaobserwować spadek autorytetu organizacji partyjnych i ich wpływu na postawy środowisk. Prawie całkowicie zanik możliwości spełniania funkcji inspiratorskiej przez te organizacje był jednak w znacznej mierze konsekwencją ogólnej polityki prowadzonej w poprzednich okresach przez kierownictwo partyjne w stosunku do kultury. W niemalym jednak stopniu był też skutkiem stopniowego uwiądnięcia kolektywów partyjnych. W efekcie sytuacja ta stała się przyczynkiem do systematycznego odstawiania środowisk twórczych od głównego nurtu życia społecznego i politycznego kraju.

Znaczna nietypowość form i raczej słaby puls życia ideowego i politycznego jest zwierciadlanym odbiciem specyfiki środowisk twórców kultury. Stanowią one zamknięty w wielu przypadkach krąg ludzi o ustalibowanym składzie osobowym zapatrzonych do wewnątrz, czyli na samych siebie. Fakt ten ogranicza możliwość napływu nowych „twarzy” do organizacji. Po pewnym czasie stają się one kregiem ludzi znających się jak przysiołowe „jyse konie”, mającym w zasadzie wciąż to samo do powiedzenia; co nuzi, słyca poważnie nurt politycznego dialogu.

Stopniowy, ale systematycznie malejący wpływ partii na środowiska twórców kultury i równocześnie opadająca kondycja ideowo-polityczna tego kręgu społecznego były między innymi skutkiem braku dobrej metodyki pracy partyjnej w kulturze. W działalności tej ograniczano się do poczynania doraźnych, agitacyjno-propagandowych i to nierzadko na dość miernym, a chwilami zenującym poziomie. Zaś w działalności instancji partyjnych środowiska te były dość często traktowane po prostu marginalnie. Dlaczego? Nie tylko dlatego, że były inne „priorytety”. Nie tylko dlatego, że wielu partyjnych urzędników uważało, że środowiska te powinny wszystko znać i wiedzieć. A więc po co się jeszcze nimi zajmować? Ale i między innymi dlatego, że istniała dość głęboko zakorzeniona w świadomości wielu działaczy obawa, lek przed kompromitacją w dyskusji w tych „trudnych” środowiskach. Stąd niezmiernie rzadko podejmowano z twórcami kultury rozsądny, rzeczowy dialog polityczny.

W sytuacji stanu wojennego na organizacje partyjne w kulturze spadały nowe obowiązki. Na skutek zawieszenia funkcjonowania związków twórczych kolektywy partyjne przejęły na siebie ciężar działalności społecznej w środowisku. Postępująca pewna normalizacja życia społecznego, a co za tym idzie przywracanie do statutowej działalności związków i stowarzyszeń twórczych, a także zapowiedziana kampania sprawozdawcza, zmusza te organizacje do przygotowania się do wypełniania swoich normalnych zadań. W tej sytuacji niepokoić muszą sygnały o tym, że nasilają się nowe nieporozumienia w środowiskach twórców, które niekiedy muszą mieć podłoże polityczne. Stanowią one jednak poważne niebezpieczeństwo osłabienia i tak nadwątlonej kondycji politycznej tych środowisk. Symptomatyczne są także deklaracje o gotowości przejścia wielu twórców, członków partii, do organizacji partyjnych w miejscach pracy.

NAJWAŻNIEJSZE — NIE ZASZKODZIĆ

Czyniąc cokolwiek dla naprawy dość napiętej atmosfery w sferze kultury, należy pamiętać przede wszystkim o tym, aby działania te nie zaszkodziły samej kulturze. Niepożądana będzie tu opaność, ale i krzywdząca może okazać się nerwowość, akcyjność działania. Decyzje kadrowe należą zawsze do najtrudniejszych. Posiadać tu żal i zawzięcie w intencje jest najłatwiej. W tej delikatnej materii pomyłki i krzywdy naprawia się potem latami. To racja, że ludzie rozstrzygają o wszystkim, lecz samymi zmianami kadrowymi nie załatwiono jeszcze do końca żadnego wielkiego problemu.

Trzeba również pamiętać o tym, że trudna sytuacja środowisk twórczych (w tym i materialna), nakładając się na skomplikowaną sytuację polityczną i gospodarczą kraju, tworzy w zespolonych tych atmosferę poważnie i dość skutecznie ograniczającą tam wszelką działalność polityczną.

Pewną szansą na przełamanie dotychczasowych barier i poprawę tej atmosfery może być zarzucenie dotychczasowych praktyk zdecydowanie przewagi instrumentalnych sposobów traktowania kultury. Zadecydowało to w przeszłości w znacznym stopniu o małym rozumieniu mechanizmów jej funkcjonowania. Jak pisać

w 5 numerze „Zdania” Stanisław Burkot: „zlekceważono możliwość cierpliwego budowania nowej, głębokiej struktury humanistycznej, opartej o doświadczenia nowych klas społecznych, które weszły w życie narodowe. Wąsko pojętym upolitycznianiu literatury towarzyszył zanik refleksji egzystencjalnej. Chodzi o samodzielną i pogłębiającą refleksję nad uwarunkowaniami kondycji ludzkiej”.

Myślę, że w poszukiwaniu źródeł tego, co się wydarzyło w naszym kraju w wyniku sierpniowego krachu można i należy szukać również w ostrych deformacjach zachodzących w obrębie kultury.

Z drugiej strony należy w dalszym ciągu, a może właśnie szczególnie teraz, poszukiwać sposobów na przełamanie dezintegracji środowisk twórczych, narosłych partykularyzmu i zadawanych konfliktów. Aby w kulturze działali się dobrze twórcy muszą odrzucić dotychczasowy schemat myślenia, w którym dominowały interesy wąskich grup, a nawet indywidualne. Kultura, mimo swojego bogactwa treści i różnorodności form wypowiedzi, wielowarunkowości światopoglądowej i złożoności problemu jest w gruncie rzeczy jedna. Jest i taką myślę powinna pozostać — domem dla wszystkich twórców. A nie pałacem dla jednych, a przytułkiem dla innych.

W ożywieniu posierpniowym zrodziła się inicjatywa utworzenia środowiskowej instancji partyjnej kultury. Inicjatywa, jak to się mówi „nie wypała”. Dopiero czwarty etap konferencji środowiskowej, odbyty już po IX Zjeździe PZPR, zrodził rezolucję o utworzeniu Komisji Kultury przy łódzkiej instancji. Komisja ta została już powołana. Trudno przeceniać już dziś jej możliwości w pozytywnym rozwiązywaniu problemów środowiska. Jest to jednak jakaś szansa. Podobna, choć już innego rodzaju szansa integracji środowiska może stanowić Stowarzyszenie Twórców Kultury, do którego jednak jak myślę w większym stopniu należałoby przyciągnąć działaczy kultury i grono intelektualistów z kręgu nauki, a także część działaczy politycznych.

Zarówno jedna, jak i druga inicjatywa, jak i być może jeszcze inne, nowe, mogą stać się skutecznym sposobem na przełamanie dość wyraźnej izolacji środowisk kulturalnych od reszty społeczeństwa. Powinny też być w coraz większym stopniu trybuną wymiany poglądów, myśli i inicjatyw społecznych. Jest to również być może sposób na przełamanie politycznego impasu.

Kultura pod żadnym pozorem nie może przez dłuższy czas egzystować w izolacji, czy opozycji do rzeczywistości, bez sprawnie funkcjonujących instrumentów stałego kontaktowania się z pozostałymi grupami społecznymi.

Niezbędne wydaje się również podjęcie bardziej niż dotąd energicznych, a co najważniejsze skutecznych działań ze strony władz administracyjnych i politycznych przeciwdziałających dekapitalizacji bazy kultury (w szerokim tego słowa rozumieniu). Kłopoty materialne z jakimi od dłuższego czasu borykają się teatry, domy kultury, poligrafia, fatalne warunki lokalowe prasy łódzkiej, wszystko to nie pozostaje bez istotnego wpływu na efekty pracy środowisk twórczych miasta. A efekty te w potocznej ocenie bywają po prostu rozmaite. Od dłuższego czasu spotykamy się z dość powszechnym i zgodnym odczuciem spadku poziomu artystycznego łódzkich teatrów, małej atrakcyjności ich repertuaru. Nie jest to niestety bynajmniej jedyny przejaw odstawiania łódzkiej kultury od poziomu krajowego.

Trudno mieć jakiegokolwiek nadzieje na trwałe rozwiązanie problemów i przyszłości kultury, jeśli w porę i tym razem poważnie, na serio, odpowiedzialnie nie podejmie się raz jeszcze złożonej problematyki młodych twórców. W przeszłości czynione były w tym względzie rozmaite zabiegi od taniej kocietacji do rozdzielanych rozmaitymi sposobami stypendiów dla co bardziej natarczywych. Sądzę, że nie jest to sposób na stworzenie nieklamanych, nieiluzorycznych szans dla młodej generacji twórców. Mecenat rozmaitych instytucji i organizacji rozrzucony nad młodymi twórcami i artystami był nierzadko kłopotliwy i krępujący dla obu stron. Czas najwyższy ku temu, aby wypracować wnioski z nie najlepszych doświadczeń. Pora już na to, aby wypracować nowa satysfakcjonującą obie strony formułę szansy. Bo o to głównie chodzi. Niby niewiele. Ale tak naprawdę poza rzeczywistą szansą niczego więcej nie można młodej generacji twórców przyobiecować. Reszta zależeć już będzie od nich samych. Wierzę, że nie będą oni tak skorzy, jak się niektórym wydaje, aby okazji taką zmarnować.

NASZ CZAS PRZESZŁY

Pod takim hasłem rozpoczynamy druk artykułów poświęconych różnym wydarzeniom z naszej historii — i tej najbliższej, i tej dalszej, bardziej odległej w czasie.

PAWEŁ SAMUŚ

„My nie stoimy ponad historią my ulegamy jej prawom”

Sto lat temu ukazała się w Warszawie odezwa Komitetu Robotniczego Socjalno-Revolucyjnej Partii „Proletariat” nazywanej następnie także I Proletariatem lub Wielkim Proletariatem. Odezwa datowana 1 września 1882 r. była w istocie programem Proletariatu, a data jej opublikowania przyjmie się za moment powstania pierwszej polskiej partii robotniczej, jednocześnie pierwszej w powstaniu polskiej partii politycznej. Przyjmijmy to okoliczności narodzin programu i towarzyszących mu dyskusji ideologicznych.

Powstanie programu poprzedził sześciomiesięczny okres działalności pierwszych polskich socjalistów w trzech zaborach, rozważań i dyskusji ideowych, agitacji i prac wydawniczych. Już jesienią 1878 r. ukonstytuowało się w Warszawie pierwsze koło socjalistyczne studentów, do którego weszli m. in. Bolesław Mondszajn, Kazimierz i Józef Pławieński, Stanisław

Mendelson i Szymon Diksztajn. W końcu tegoż roku do Warszawy przybył dwudziestoletni Ludwik Waryński, wydany ze studiów w Instytucie Technologicznym w Petersburgu, gdzie zetknął się z ideologią socjalistyczną i rewolucyjnym ruchem narodnickim.

Obdarzony nieprzeciętnymi zdolnościami intelektualnymi i talentem mówcy stał się szybko Ludwik Waryński uznany przywódcą warszawskiej młodzieży socjalistycznej. Elen rewolucyjnego romantyzmu i temperamentu tchnął wielką energię w nieliczne jeszcze szeregi socjalistów, doprowadził do przeniesienia propagandy socjalistycznej z kółek studentów do fabryk i izb robotniczych, zorganizowania kas oporu, a następnie scentralizowanej organizacji kółkowych. Żyjąc i pracując wśród robotników Waryński zdobył ich zaufanie i potrafił zjednywać dla idei socjalistycznej. W ciągu pierwszych lat działalności dość liczna grupa inteligentów — uczestników warszawskich kółek, zasiłana ciałem polskimi studentami z uczelni rosyjskich

— przetłumaczyła i opracowała wiele broszur popularizujących idee socjalistyczne. W 1878 r. Ludwik Waryński i Ludwik Dziankowski, przy współudziale Józefa Uziembły i Aleksandra Więtkowskiego opracowali pierwszy projekt programu socjalistów polskich tzw. warszawski, który w postaci zmienionej wydany został w następnym roku w Genewie jako tzw. brukselski, nazwany tak dla zmiany czujności polityki. Wariant pierwszy, nie ogłoszony, różnił się od programu brukselskiego uwzględnieniem kwestii narodowej i programu minimum (zdobycie demokratycznych przed rewolucją socjalną). „Program brukselski” inspirowany kardynalnymi założeniami marksizmu zgłaszał akces do międzynarodowego ruchu robotniczego powołanego przez Karola Marksa i Fryderyka Engelsa, ale też na części — na przykład w sprawie wizji przyszłej struktury politycznej świata — ulegał wpływom popularnego wówczas anarchizmu. Wielkość pionierskiego dzieła Waryńskiego i jego towarzy-

szy jest tym bardziej widoczna, gdy porównamy je z ówczesną sytuacją społeczno-polityczną Królestwa Polskiego. Po klęskach powstań w społeczeństwie upowszechniał się pogląd pozytywistów, głoszących potrzebę przejściowego pogodzenia się z utratą niepodległości i rozwinięcia maksymalnej aktywności gospodarczej, oświatowej i kulturalnej celem przezwyciężenia zacofania i wzmocnienia sił narodu. Ideologia pozytywistyczna o silnych akcentach postępowych i demokratycznych wyrażała przede wszystkim interesy liberalnej burżuazji i inteligencji. Pozytywiści współpracując niedoli ludu nie aprobowali rewolucyjnej walki o jej likwidację, uznając moralne przywództwo wyższych warstw społeczeństwa propagowali paternalizm fabrykantów wobec robotników. W miarę zaostrożania się sprzecznosci klasowych występował przeciwko socjalistom i propagowanym przez nich formom walki. Trudności w szerzeniu idei socjalistycznej wśród rozwijającej się klasy robotniczej wynikały z niskiego na ogół poziomu oświaty i zaniedbań w rozwoju jej świadomości, a także braku swobod politycznych i obywatelskich. Klęska powstania styczniowego działała odstraszająco wobec prób działalności konspiracyjnej, a ten uraz postębiły surowe represje carskiej policji spadały na uczestników pierwszych kółek socjalistycznych.

i głębszych wymiarach.

Mamy nadzieję, że nasze publikacje zainteresują przede wszystkim młodzież, że będą jej pomocne tak w nauce, jak i kształtowaniu poglądów na nasze współczesne sprawy.

Jesienią 1878 r. uchodząc przed represjami Ludwik Waryński schronił się w Galicji, gdzie kontynuował działalność rewolucyjną w Krakowie i Lwowie, w którym kilka lat wcześniej ukształtowała się grupa socjalistów z Bolesławem Limanowskim i Antonim Mańkowskim na czele. Aresztowany i sądzony wraz z trzynaścioro czterema towarzyszami wykorzystał proces krakowski (16 lutego — 16 kwietnia 1880 r.) do wielkiej manifestacji zasad socjalizmu. Po uwięzieniu i zwolnieniu z więzienia wyjechał do Szwajcarii, gdzie koncentrowała się międzynarodowa emigracja socjalistyczna.

Okres półtorarocznego pobytu Waryńskiego w szwajcarskiej reformie był dlań, nomen omen ciężkich warunków materialnych, okazała do porównania i konfrontacji dorobku polskiego ruchu robotniczego z zachodnioeuropejskim, żartowych dyskusji i sporów ideowych. Był to dla Waryńskiego, tak podkreśla jego biograf (J. Tarzalski), okres pogłębienia znajomości teorii socjalistycznej i dotrzymywania ideowo-politycznego.

Podczas obchodów pięćdziesiątej rocznicy powstania listopadowego w 1880 r. w Genewie polemizował Waryński z piśmie powitalnym nadesłanym przez przywódców międzynarodowego ruchu robotniczego (K. Marksa, F. Engelsa, P. I-farguela, F. Lessnera),

którzy podkreślali konieczność popierania dążeń niepodległościowych Polaków przez polski ruch robotniczy. Waryński w imieniu większości polskich socjalistów i przy poparciu wielu europejskich działaczy robotniczych głosząc hasło międzynarodowej rewolucji socjalistycznej uznał za niemożliwe wysuwanie w programie równocześnie kwestii społecznej i narodowej. Dowodził bowiem, że spowoduje to podporządkowanie młodego ruchu robotniczego ideologii polskich klas posiadających. Dziś wiemy, że rację miał Marks i Engels. Pamiętajmy jednak, że polski ruch socjalistyczny dopiero kiełkował, a jego bardzo młodzi przywódcy i teoretycy znajdowali się pod silną presją faktu, że wcześniej hasła niepodległościowe głosiły ruchy narodowowyzwoleńcze zdominowane ideologicznie przez klasy uprzywilejowane. Składając hold bohatnikom powstań narodowych Waryński i jego towarzysze nie wysłupowali przeciwko patriotyzmowi w ogóle, lecz przeciwko jego ucieku w wydaniu polskich klas posiadających. Demaskowali jego klasową treść tym bardziej, że wówczas polscy przeciwnicy socjalizmu zwalczali go przez nacjonalizm i frazeologię patriotycznej i narodowej.

Dodać tu także należy, że pierwsi polscy socjaliści na ogół pojmowali idee socjalistyczne jako szerszą od patriotycznej, zmierzającą do pełnego zaspokojenia

„My nie stoimy ponad historią, my ulegamy jej prawom”

Dokończenie ze strony 3

potrzeb politycznych, ekonomicznych, kulturalnych i moralnych ludzkości. Młodzi socjaliści absolutyzujący swą taktykę polityczną w kwestii narodowej nie potrafili jeszcze przewidzieć przebiegu procesu historycznego i dojrzeć, że do misji dziejowej proletariatu poza kwestią wyzwolenia społecznego w przyszłości będzie należała rola hegemonu całego narodu.

W sierpniu 1881 r. emigracyjna grupa Stowarzyszenie Socjalistyczne „Lud Polski” z Bolesławem Limanowskim na czele opublikowała platformę programową jako alternatywę „programu brukselskiego”. Wyuszała ona na równi postulat wyzwolenia społecznego i polityczno-narodowego; świadomie odchodziła od stanowiska klasowo-proletariackiego podporządkowując w istocie kwestię socjalną sprawie narodowej; nawiązywała do tradycji radykalnych demokratów szlacheckich z okresu powstań narodowych i negowała rolę przywódczą klasy robotniczej w walce rewolucyjnej; nie wspominając o walce klasowej socjalizm traktowała jako ruch moralny.

Waryński i jego towarzysze skupieni wokół pisma „Przedświt”, nazywani „międzynarodowcami” (internacjonalistami) skrytykowali odezwę grupy Limanowskiego, nazywającą siebie „socjalistami narodowymi”, za odejście jej autorów od proletariacko-internacjonalistycznego stanowiska i zastąpienie zasady walki klasowej narodowym punktem widzenia. Spór o oblicze polskiego socjalizmu przeniesiony został na forum międzynarodowe podczas kongresu socjalistycznego w Chur (X 1881 r.), który pomimo protestów Limanowskiego przyjął uchwałę przyznającą faktycznie rację Waryńskiemu.

Na emigracji Ludwik Waryński z grupą „Przedświt” wypracował dojrzałą koncepcję działania ruchu socjalistycznego w Polsce. Uznawała ona za niezbędne utworzenie scentralizowanej, socjalistycznej partii rewolucyjnej, a zarazem internacjonalistycznej. Jej zadaniem miało być prowadzenie wśród robotników nie tylko pracy uświadamiającej i przygotowującej do przyszłej rewolucji socjalnej, ale także kierowanie bieżącą walką ekonomiczną i polityczną klasy robotniczej.

W końcu grudnia 1881 r. powrócił Waryński nielegalnie do Warszawy, by odbudować rozbitą przez represje ruch socjalistyczny. Początki pracy nad założeniem partii robotniczej nie były łatwe. Istniały tu wówczas wśród robotników i inteligencji odrębne ośrodki zwolenników socjalizmu odmiennie pojmujących taktykę i cele perspektywiczne ruchu.

Działala wówczas w Warszawie grupa młodej inteligencji socjalistycznej skupiona wokół Stanisława Kruśniewskiego, zdolnego socjologa i publicysty, utalentowanego teoretyka i propagatora socjalizmu w legalnych pismach warszawskich. Do kółka „krusińskich” należeli zarówno doświadczeni działacze socjalistyczni jak Kazimierz Pławński, Zygmunt Heryng, jak też młodzi studenci uniwersytetu Ludwik Krzywicki, Adam Sądziński, Józef Siemaszko i inni. Prowadzili oni dyskusje teoretyczne na tematy społeczne, literackie i naukowe, tłumaczyli na język polski I tom „Kapitału” K. Marksa. Kruśniewski opowiadał się za marksowską koncepcją rozumienia procesu dziejowego, ale wyrażał mechanistyczny pogląd na rozwój społeczeństwa.

Do „procesu dziejowego” obalenie kapitalizmu i zbudowanie społeczeństwa socjalistycznego — dokona się mechanicznie w rezultacie rozwoju sił wiodących, nie zaś przetrwania społecznego dokonano przez zorganizowane masy robotnicze. Uważał, że ówczesny etap rozwoju polskiej

klasy robotniczej i warunki społeczno-polityczne pozwalają jedynie na prowadzenie długofalowej pracy oświatowej i propagandowej. Kruśniewscy byli przeciwni prowadzeniu wówczas nie tylko walki politycznej, ale i ekonomicznej, za przedwczesne też uznali powołanie partii robotniczej.

W dyskusji jaka rozgorzała między Waryńskim a Kruśniewskim, pomimo zgodności w zasadniczych zagadnieniach teoretycznych, nie mogli obaj pogodzić się w zakresie taktyki rewolucyjnej. Ponieważ dla Waryńskiego sprawą pierwszoplanową było utworzenie partii robotniczej musiał się rozstrzygnąć z kółkiem krusińskich. Całą energię skierował na pracę w środowisku robotniczym, a jednocześnie nie rezygnował z próby pozyskania dla swej koncepcji jego dawnego towarzysza Kazimierza Puchewicza, wierząc, że zdola rozproszyć jego wątpliwości co do konieczności walki politycznej i zdola go wraz ze zwolennikami pociągnąć za sobą.

Impulsem do aktywniejszej działalności stały się wydarzenia w środowisku robotniczym. W kwietniu 1882 r. wyocenił zwiolotywa strajk o poprawę warunków ekonomicznych dwóch tysięcy robotników w Warsztatach Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, zakonczony tylko częściowym powodzeniem. W tymże miesiącu pojawiły się w mieście ręcznie pisane odezwy nawołujące proletariatu do demonstracji pod hasłami pracy i chleba w dniu 1 maja, lecz do niej nie doszło. Przejawy wrzenia dowodziły narastania potrzeby utworzenia partii robotniczej i przekonały niektórych robotników, że bez niej nie są w stanie skutecznie bronić swoich praw i godności. Wywarły też wrażenie na środowisku Waryńskiego i Puchewicza, ale pomiędzy nimi nadal utrzymywały się rozbieżności. Waryński zyskiwał jednak coraz więcej zdolnych współpracowników w środowisku robotniczym. Aby jednak można było zbudować zwartą partię należało przezwyciężyć tradycję odrębności kółkowej i rozbieżności ideologiczne, opracować program, zwiększyć liczbę zawodowych rewolucjonistów, pozyskać pomoc finansową i literacką inteligencji dla stworzenia bazy technicznej i wydawniczej.

Z pomocą w dziele tworzenia partii przysłał Waryńskiemu grupa polskiej młodzieży socjalistycznej studiującej w reTERSburgu. Utworzyła ona na miejsce rozbitej przez represje gminy socjalistycznej nową organizację noszącą nazwę Ognisko. Stawiała ona sobie za cel zjednoczenie wszystkich polskich grup i kół socjalistycznych w Rosji i Królestwie w Polsko-Litewską Partię Socjalno-Rewolucyjną. Wysłannicy petersburskiego Ogniska — Stanisław Kunicki i Edward Płosiński, którzy przybyli na wakacje w 1882 r. do Warszawy, nawiązali kontakt z Puchewiczem i przedłożyli mu projekt programu scentralizowanej partii. Rozmowy przeciągały się nie dając większych rezultatów, bowiem Puchewicz konsekwentnie nie godził się z platformą walki politycznej wysuwanej przez Ognisko, a także ze strukturą organizacyjną przyszłej partii.

Sytuacja zmieniła się gdy Kunicki, później jeden z najbardziej wybitnych proletariackich, zetknął się przypadkowo z Ludwikiem Waryńskim, przed którym Kazimierz Puchewicz kochania utrzymywał w tajemnicy. Waryński wywarł na Kunickim ogromne wrażenie i pozyskał go od razu dla swej koncepcji. Rozmowy prowadzone następnie z udziałem całej trójki na przełomie lipca i sierpnia weszły w końcową fazę. Do kierowania propagandą i pracą organizacyjną powołano także wówczas Komitet Robotniczy z Waryńskim i Puchewiczem na czele oraz z proporcjonalnym udziałem ich zwolenników.

Na początku sierpnia Waryński i jego współpracownicy osiągnęli porozumienie z przed-

stawicielami Ogniska, a warunkowo przyłączyła się też do nich grupa Puchewicza. Zapadła ostatecznie decyzja o powołaniu pierwszej polskiej partii robotniczej i nadaniu jej nazwy Partia Socjalno-Rewolucyjna „Proletariat”. Od następnego roku uzupełniono nazwę wyrazem Międzynarodowa, aby podkreślić internacjonalistyczny charakter partii. Jej program powstawał w mieszkaniu Aleksandry Jentysówny, znanym za bezpieczne, w gmachu instytutu, w którym pracowała. Podstawę dyskusji i następnie programu stanowił projekt Waryńskiego, którego poglądy, jak podkreślał jego biografowie (J. Targalski, A. Notkowski), zaważyły w sposób decydujący. Współautorami dokumentu byli jednak także inni uczestnicy dyskusji — Kunicki, Płosiński i Puchewicz. Problemy sporne i inne kwestie miał przedyskutować pierwszy zjazd konstytucyjny partii, który zamierzano zwołać w styczniu 1883 r.

Szkic programu został powielony na hektografie z datą 15 sierpnia 1882 r., ale uległ on dalszym modyfikacjom i tekst ostateczny datowany 1 września 1882 r. został odbity na drukarce Puchewicza, a następnie był drukowany w większej ilości egzemplarzy za granicą. Drukowany tekst programu różnił się merytorycznie i redakcyjnie od wariantu hektografowanego, co dowodziło istnienia do końca sporów i rozbieżności. Hektografowany pierwowzór więcej uwagi poświęcał m. in. kwestii wpływu powstań narodowych na świadomość klasową proletariatu i postulatami politycznym.

Program partii składał się z siedmiu części. Pierwszą wzięto „Manifestu Komunistycznego” Marksa i Engelsa przedstawiała historyczny szkic o istnieniu klas antagonicznych w kolejnych formacjach społecznych od niewolnictwa do kapitalizmu.

W części drugiej konstatawał osiągnięcie przez naród polski w jego rozwoju historycznym etapu społeczeństwa noszącego „wszystkie cechy burżuazji-kapitalistycznego ustroju”, który z braku swobód politycznych posiadał pewne deformacje. Wskazywał, że sytuacja społeczna na ziemiach polskich była odbiciem ogólnych praw rozwojowych kapitalizmu program krytykował ustrój burżuazyjny, jego negatywne skutki społeczne dla klasy robotniczej, piętnował postawę burżuazji. Twórcy programu podkreślali, że rozwój świadomości klasowej polskiego proletariatu i jego walkę społeczną hamował brak niepodległości i ucisk zaborców. Zarzucali klasom posiadającym, iż w toku powstań narodowych ich przedstawiciele szermującymi hasłami walki o niepodległość wśród ludu „nawołując do fikcyjnej zgody, zabijali wszelki ruch klasowy”, zaś rząd zaborczy występował jako rzekomy opiekun ludu, by odciągnąć masy od powstania. Autorzy programu obawiali się, że nawiązywanie do tradycji powstań narodowych może utrudnić proces wyzwolenia się proletariatu spod wpływu ideologii klas uprzywilejowanych. W programie, jak trafnie zauważa historyk (F. Tych), za nadrzędne i pierwszoplanowe zadanie ruchu socjalistycznego uznano całkowitą emancypację ideologiczną i polityczną klasy robotniczej.

Problem emancypacji proletariatu dobitnie zaakcentowano w trzeciej części programu, stwierdzając, że „interesy wyzyskiwanych nie dadzą się pogodzić z interesami wyzyskiwanych i żadna miara nie może ich po jednej drodze w imię fikcyjnej jedności narodowej”. Ośluszano zatem, że „proletariat polski całkowicie oddzielił się od klas uprzywilejowanych i występuje z nimi do walki jako samodzielna klasa, odrębna zupełnie w swych ekonomicznych, politycznych i moralnych dążeniach”. Program wskazywał na internacjonalistyczny charakter walki klasowej proletariatu, podobny los i wspólne dążenia robotników wszystkich narodowości i gło-

sił, że „proletariat polski jako klasa wyzyskiwana, na granicach walki z wyzyskiwaczami solidaryzuje się ze wszystkimi wyzyskiwanymi bez względu na ich narodowość”.

Dążenia i cele partii sformułowane zostały w części czwartej programu i podzielone na ekonomiczne, polityczne i moralne. Wśród pierwszych postulowano przejęcie środków produkcji na własność socjalistycznego państwa, zastąpienie pracy najemnej przez „pracę zolotorową zorganizowaną w stowarzyszeniach fabrycznych, rzemieślniczych i rolnych”, zaś podział dochodów stowarzyszonej pracy proponowano realizować zgodnie z zasadą „w stosunku do ilości zaofiarowanej przez siebie pracy i ogólnych zasobów państwa”. Wysumiuto tu zatem jedynie cele ostateczne, poza ogólnym żądaniem „polepszenia warunków bytu proletariatu w państwie rosyjskim”, pomijając natomiast najbliższe zadania ekonomiczne (np. podwyżka płac, skrócenie czasu pracy, ubezpieczenia), które były wówczas formułowane powszechnie w programach zachodnich partii socjaldemokratycznych. W tej części program Proletariatu nie jest zbyt precyzyjny, porbrzmiewają w nim też echa sformułowań anarchistycznych z wcześniejszych programów, np. z „brukselskiego”, gdy inowa o stowarzyszeniach pracy. Jednakże w porównaniu z enuncjacjami wcześniejszych autorzy programu Proletariatu, według zgodnej opinii historyków (np. L. Baumgarten, J. Buszko), dokonali wielkiego kroku naprzód mówiąc o socjalistycznym państwie, czyli uznając, że urzeczywistnienie socjalizmu dokonano się w formach państwowych.

W dziedzinie politycznej sformulowano żądania demokratycznych swobód obywatelskich jak wolność słowa, druku, zgromadzeń, stowarzyszeń, równouprawnienie wznajni, wybieralność urzędników, „udział wszystkich w prowadzeniu”, całkowite równouprawnienie kobiet. Program postulował także „zupelną samorząd grup politycznych”, lecz owo niezbyt jasne sformułowanie jest dziś różnie interpretowane przez historyków. I tak wysunięta została hipoteza (L. Baumgarten), że autorzy programu mówili albo o autonomii narodowych organizacji partyjnych w ramach ogólnopanstwowej partii rewolucyjnej, albo też o autonomii grup narodowych w Cesarstwie Rosyjskim. Według odmienniejszej interpretacji (J. Buszko) sformułowanie mówiło o pełnej niezależności partii i stronnictw politycznych od ingerencji władz państwowych.

Program Proletariatu wyrażał również stanowisko partii w kwestii narodowej. W jego części czwartej wysunięto wyraźne żądanie całkowitego równouprawnienia narodowości, zaś w innych miejscach występowało zdecydowanie przeciwko uciskowi narodowemu i rządowi zaborczym. Nie wykluczał program także niepodległościowego rozwiązania kwestii polskiej. Jak wynika z hektografowanego szkicu programu, jego autorzy nie negowali możliwości zjednoczenia na dalszym etapie ziem polskich w niepodległe państwo przy sprzyjających przeobrażeniach po przewrocie społecznym w krajach europejskich, a zwłaszcza w państwach zaborczych. Świadczą o tym m. in. następujący fragment:

„Pomijając kwestię składu granic przyszłego państwa czy państwo i ich historyczną prawowitość przy rozstrzygnięciu kwestii politycznych kierować się on (proletariat polski — przyp. P. S.) wbił praktyczną ich stroną, interesem jaki w dobie koniecznych mu swobód leży. Do ich ostatecznego pozyskania kwestii politycznej nie może on uważać za ukończoną, a po ich uzyskaniu wspólnie z proletariatem wszystkich krajów organizacyjnie z nim związany, pracować on będzie nad całkowitym swym wyzwoleniem”.

Pominięcie owego fragmentu w programie wydrukowanym dwa tygodnie później nie świadczy o tym, że jego autorzy tak szybko zmienili poglądy, a raczej, jak zauważyli historycy (L. Baumgarten, M. Zychowski), zrezygnowali z wysunięcia hasła niepodległości Polski uznając je za nierealne, bowiem w ówczesnych warunkach politycznych w Europie naród polski o własnych siłach nie mógł zrzuć jarzma niewoli. Ponadto innym warunkowaniem stanowiska twórców programu podnoszonym dziś przez historyków (F. Tych), było pozostawienie proletariackich pod ciśnieniem obaw, ueruntowanych ich punktem widzenia na przebieg po-

wstań narodowych i rolę w nich klas uprzywilejowanych, że uwzględnienie w programie hasła niepodległości będzie służyło przenikaniu i umacnianiu wpływu ideologicznego klas posiadających, obcych walce społecznej proletariatu, szerzeniu solidaryzmu narodowego, gdy tymczasem program stawiał jako zadanie pierwszoplanowe i nadrzędne całkowite usamodzielnienie proletariatu. Unikając wysuwania hasła, które mogły połączyć politycznie przeciwstawne klasy społeczne program rozwiązywał całkowicie kwestię narodowej łączności ze zwycięstwem międzynarodowej rewolucji socjalnej, która miała zlikwidować wszelki ucisk i konflikty. Program łącząc rozwiązanie kwestii narodowej z celami ostatecznymi pozabawiał partię możliwości przyciągnięcia mas pod hasłami niepodległościowymi, co wykorzystały inne ugrupowania polityczne, często wrogie ruchowi rewolucyjnemu.

Na uwagę zasługuje silne zaakcentowanie w programie moralnych aspektów ruchu socjalistycznego. Jego zadaniem miało być zwalczanie przesądów, ciemnoty i wszystkiego co „znamionuje moralny ucisk” proletariatu, utrudnia rozwój świadomości robotniczej. Wyjaśniano, że „moralne stosunki powinny się opierać na swobodzie sumienia, uczuć, myśli i nauki”. Postulowano wprowadzenie obowiązkowego, bezpłatnego i świeckiego nauczania, rozdzielenia Kościoła od państwa. Akcentowano potrzebę zapewnienia szacunku dla pracy („praca ma być uważana jako obowiązek i zaszczyt”) i zapowiadano, że „jedynym przymusem w stosunkach moralno-społecznych ma być moralne współzawodnicwo”.

Część piątą programu ekspozycyjnie stwierdziło o tym, że wyzwolenie klasy robotniczej powinno być dziełem samych robotników. Przewrót socjalny miał być poprzedzony pracą przygotowawczą ruchu robotniczego, który winien zespolić wszystkie siły robotnicze w kraju w jedną organiczną całość, świadomą swych celów i historycznej roli, dążącą do realizacji wszystkich hasel programowych. Zadaniem miała urzeczywistnić partia rewolucyjna Proletariatu.

Przypominamy tu, że Ludwik Waryński we wspaniałej i dumnej mowie obrończej przed sądem wojennym w Warszawie wykładając cele partii stwierdził:

„My nie organizowaliśmy przewrotu, lecz organizowaliśmy dla przewrotu (...) My nie stoimy ponad historią, my ulegamy jej prawom. Na przewrót, do którego dążymy, my patrzymy jak na rezultat rozwoju historycznego i społecznych warunków, my przewidujemy go i staramy się, żebyśmy go nie przegapili (...). Zadaniem naszym jest przygotować klasę robotniczą do rewolucji, ruch jej uczynić świadomym i ująć w karby organizacyjnej dyscypliny, wystawić określony program celów i środków”.

Program zapowiadał systematyczną walkę w sferach ekonomicznej, politycznej i ideologicznej („moralnej”). Zwraca uwagę wysunięcie na plan pierwszy walki ekonomicznej, ponieważ autorzy programu ucisk ekonomiczny uznali za podstawowy, a wszelkie inne za pochodne. Wobec istniejących warunków politycznych zapowiadano walkę nielegalną, ale nie przez konspiracyjną grupę spiskowców, lecz rewolucyjną partię, której działalność ujawni się „w momentach odpowiedzialnych wystąpieniach masowymi”. Przewidywano taktykę obronną — nieodpuszczenie do pogorszenia położenia proletariatu, oraz ofensywną — walka o poprawę tych warunków.

W części szóstej program zalecał różnorodne środki i formy walki. W sferze ekonomicznej były to:

- 1) podburzanie robotników przeciw wszelkim formom wyzyskiwania, 2) wywoływanie zwolnień (stajeków, grew) i tworzenie tajnych związków robotniczych, 3) terroryzowanie kapitalistów i ich służby za niedłuzkie z robotnikami obchodzenie się lub odwotywanie się do pomocy politycznej w sądach robotniczych, 4) zakłamanie w miarę możliwości stowarzyszeń wyłącznie robotniczych”.

Należy tu wyjaśnić, że ówczesni polscy socjaliści dla określenia strajku, poza wyrazem „zmowa”, używali wyrażenia „stajek” zapożyczonego z niemieckiego („streik”) lub angielskiego („strike”), albo też z francuskiego „grewa” („greve”). Ten ostatni wkrótce wyszedł z użycia, natomiast długo jeszcze w

środowiskach robotników polskich spotyka się fonetyczną adaptację z niemieckiego. Hasło terroru ekonomicznego wysunięte obok strajku świadczyło o naleciałościach anarchistycznych, gdy tymczasem już wówczas jedna z polskich grup emigrantów socjalistycznych prezentowała dojrzały pogląd, który strajkowi w walce ekonomicznej przypisywał decydujące znaczenie. Zwraca uwagę postulat tworzenia tajnych związków i stowarzyszeń robotniczych, co zapewne oznaczało nielegalne związki zawodowe.

W walce politycznej z caryzmem zapowiadano wykorzystanie wszystkich form osłabiających i dezorganizujących jego władzę. Zalecano więc utrudnianie działalności administracji, podburzanie ludności do nieplacenia podatków, stawianie oporu antyrobotniczej polityce rządu, manifestowanie poparcia dla wszystkich ruchów antycaryskich. Autorzy programu zapowiadali również karanie szpiegów i zdrajców ruchu robotniczego. Samoobrona partii przeciwko zdradzie w warunkach szeregach była rzeczą znaną w ruchu robotniczym także i w późniejszym okresie, natomiast zalecenie karania szpiegów (agentów policji) wskazywało, że twórcy programu uznawali celowość stosowania terroru politycznego przeciwko przedstawicielom władz najbardziej niebezpiecznym dla młodego ruchu. Jak wskazują badacze (L. Baumgarten, J. Buszko), hasło terroru politycznego wzorowane było na programie rosyjskiej partii rewolucyjnej Narodna Wola, która uznawała terror za główny środek walki politycznej. Proletariacki, który z nią współpracował, uznawali terror tylko jako środek pomocniczy, choć nieunikniony w walce z przemocą i przez nią wymuszony, a dowodem takiego stanowiska jest również późniejsza praktyka partii — dokonano tylko kilku aktów terroru dla samoobrony.

W sferze ideologicznej („stosunków moralnych”) zapowiadano zwalczanie wpływów duchowniństwa, prasy i ośrodków burżuazyjnych krzewiących ideologię korzystną dla klas posiadających; podnoszenie poziomu umysłowego i moralnego robotników, upowszechnianie wśród nich światopoglądu naukowego propagowanego poprzez odpowiednią literaturę.

Ostatnia, szósta część programu wyjaśnia, że najwyższą instancją partii — Komitet Robotniczy ze względu na pnąjące warunki polityczne musi działać tajnie. Program kończy się apelem: „używamy wszystkich robotników miast i wsi do współdziałania w naszej pracy”. Hasło to, a szczególnie zwrot „robotników wsi” jest różnie interpretowane w literaturze historycznej, przy czym dla jednych autorów (J. Buszko) jest to wezwanie w zasadzie do klasy robotniczej i proletariatu rolnego, zaś inni historycy (L. Baumgarten, F. Tych, M. Zychowski) rozumieją to sformułowanie jako wezwanie do sojuszu robotniczo-chłopskiego, wskazując, że program zwracał się nie tylko do robotników rolnych, lecz w ogóle do chłonoów pracujących, o czym świadczy, jak trafnie zauważyli ci badacze, odpowiednie usterki w hektografowanym szkicu programu i późniejsze odezwy partii.

Program Proletariatu, przyjęty z aplauzem w kółkach robotników warszawskich, nie był dokumentem zbyt łatwym dla masowego odbiorcy, nie wszystkie jego sformułowania były precyzyjne, toteż dla celów popularyzacji powstały później inne wydawnictwa partii, łatwiejsze i prostsze. W następnych latach pogłębiona została myśl teoretyczna partii, jak wskazuje w swej najnowszej pracy I. Koberdowa, a chociaż podstawowe założenia programu zachowały swą moc do końca istnienia partii, niektóre fragmenty uległy dalszemu rozwinięciu lub zmianom. Do niniejszego programu, pomimo wskazanych wyżej niedostatków i braków odzwierciedlających cechy młodości nie tylko polskiego, ale i międzynarodowego ruchu robotniczego, wnikała z przewidywania za jego podstawę zasad marksizmu — dokument był wielkim krokiem naprzód — w procesie przeszedzenia socjalizmu naukowego na grunt polski — a także z dalszego postępu w konkretyzacji zadań politycznych i ekonomicznych polskiego ruchu robotniczego.

PAWEŁ SAMUŚ

Dokończenie ze strony 1

can Diament Palace przy ulicy Piotrkowskiej 371. Na dobrą sprawę niewiele mieszkańców Łodzi wiedziało o eo tu chodzi. W podziw wprawiała jednak świecąca się pod sufitem żarówka i lud tłumnie walił by obejrzeć ów cud światła i cud myśli ludzkiej.

Lecz sensacja zaczęła gonić sensację: oto 31 lipca tegoż roku uruchomiono podobny kabel do tkalni A. Domanowicza przy ul. Wólczańskiej 38, a jeszcze przedtem położono kamień węgielny pod budynek przyszłej elektrowni przy ulicy Targowej 1.

Rok później, 18 września 1907 r., uruchomiono pierwszy turbozespół Elektrowni Łódzkiej o mocy 1.300 kVA, kładąc w ten sposób podwaliny pod łódzką energetykę. Dużo później obiekt przy ulicy Targowej 1 otrzymał kryptonim EC 1.

Oczywiście nie mogło być mowy o dostarczeniu światła do wszystkich domów czy chęci o zamianie gazowych latarni ulicznych na elektryczne. Po sześciu latach pracy elektrownia „produkowała” zaledwie 44 tys. MWh. Co prawda w 1938 r. energii było aż 174 tys. MWh, ale i tak całe kwartaly skazane były na lampy naftowe, nie mówiąc już o tym że tamte elektrownie nie wysyłały w ogóle energii cieplnej.

Poprawa, a właściwie restauracja łódzkiej energetyki nastąpiła dopiero po ostatniej wojnie. W 1947 r. dokonano niezwykle istotnego zabiegu: uruchomiono linię 220 kV Śląsk — Łódź, przez co połączono elektrownię na Targowej 1 z systemem państwowym. Nadal jednak ogrzewanie budynków i zakładów, odbywało się za pomocą lokalnych kotłowni. Ale prądu było już coraz więcej: w 1950 r. produkowano aż 365 tys. MWh, a siedem lat później Elektrownia Łódzka rozpoczęła zasilanie parą technologiczną sąsiednich zakładów. Od tego momentu datuje się historia ciepłownictwa zawodowego w Łodzi.

W końcu lat pięćdziesiątych w EC 3 przy ul. Wróblewskiego 26 uruchomiono pierwszy turbozespół ciepłowniczy, a w połowie lat sześćdziesiątych zakończono modernizację Elektrowni 1, przebudowując ją na elektrociepłownię (EC 1). Zresztą lata sześćdziesiąte były dość szczęśliwe dla naszej energetyki, gdyż pod ich koniec uruchomiono pierwszy blok ciepłowniczy w EC 3 przy ul. Pojezierskiej nr 70.

Rosła ilość elektrociepłowni, ale rosły także potrzeby miasta. Zaczęły powstawać nowe dzielnice, wszystkie zakłady przemysłowe przeszły na zasilanie elektryczne i parę technologiczną, zwiększyła się sieć tramwajowa. Miasto ponownie stanęło przed problemem: czy wystarczy ciepła i prądu dla wszystkich? Co z tego, że na początku lat siedemdziesiątych produkcja energii elektrycznej wynosiła w Łodzi 1.101.000 MWh, a energii cieplnej 3.339.000 Gcal?

Wznesiono więc kolejną EC numer 4 przy ulicy Jadwigi Andrzejewskiej 3 w dzielnicy Widzew — Wschód. Pierwszy kotłowni uruchomiono już w 1977 r. Ale wkrótce okazało się, że potrzeby miasta rosną szybciej niż mury kolejnych elektrociepłowni i zachodzi pilna konieczność budowy kolejnej EC. Co prawda EC 4 jest zakładem przyszłościowym, będzie się rozbudowywać, czego nie można powiedzieć o trzech jej poprzedniczkach. Fachowcy sądzą jednak że dopiero wybudowanie EC 5 w zupełności pokryje potrzeby Łodzi na energię. Oczywiście rozważa się dwa warianty: albo wznieść ciepłownię jądrową, albo tradycyjną opartą o węgiel z Belchatowskiego Zagłębia Węglowego. Taka ciepłownia jądrowa daje trzykrotnie więcej ciepła niż elektrownia jądrowa i trzykrotnie jest oszczędniejsza w zużyciu węgla i mazutu. Jaki wariant zwycięży?

STAN POSIADANIA

Dziś cała łódzka energetyka daje 1.845.000 MWh energii elektrycznej i 8.440.000 Gcal energii cieplnej. Roczne zużycie węgla wynosi 1.000.000 ton, a mazutu 70 tys. ton. Posiada 23 kotły parowe, 8 wodnych oraz 16 turbozespołów. Długość sieci cieplnej sięga 505 km: swoim zasięgiem energetyka obejmuje 350 zakładów przemysłowych (zasilanych parą i wodą), obsługuje 5 tys. budynków mieszkalnych zatrudnia 2.550 ludzi. Aby uzmysłowić prace wszelkich EC wystarczy powiedzieć, że w ciągu roku zużywają one 12.500.000 metrów sześciennych wody surowej, a ilość odpadów ropaleniiskowych sięga 265 tysięcy ton. Z tej wody można byłoby utworzyć sporą jezioro, a z odpadów usypać niezgorzłą górę.

Zakład Energetyczny Łódź Miasto, który jest dystrybuktorem energii i ciepła do naszych domów obsługuje 460 tys. odbiorców, którym jest dostarczana energia elektryczna za pośrednictwem ponad 11 tysięcy kilometrów linii energetycznych wysokich, średnich i niskich napięć oraz prawie 3 tys. stacji transformatorowo-rozdzielczych. Samych lamp służących do oświetlenia dróg i ulic na terenie województwa łódzkiego jest 71 tys. sztuk. Przyjmując za 100 wyprodukowaną energię przez wszystkie EC zużycie jej przez przemysł wynosi — 54,5 proc., przez trakcję — 5,4 proc., przez odbiorców uspołecznionych — 14,7 proc., odbiorców indywidualnych — 23,7 proc. i przez rolnictwo zaledwie 1,7 proc.

Tyle statystyki.

2 września br. minister górnictwa i energetyki gen. dw. Czesław Piotrowski na konferencji prasowej uspokajał malkontentów którzy snuli i nadal snują apokaliptyczne wizje nadchodzącej zimy. Wiemy przecież o niełatwych warunkach naszego kopalnictwa, o utrzymującym się napięciu w kraju, o trudnej drodze do normalizacji życia, jednakże zaopatrzenie w węgiel i mazut jest zapewnione, elektrociepłownia nie przeżyła po raz drugi strasznej zimy z 1979 r. Nie mieliśmy w dotąd ograniczeń w odbiorze prądu i ciepła, mimo tego, że trwał rozległy program remontów w elektrociepłowniach (remontami objęto 20.615 MW), mimo remontu sieci przesyłkowej (mamy ich w kraju około 581 tys. km). Minister zapewnił, że nadchodząca zima będzie bez niespodzianek: w żadnym mieszkaniu nie będzie ciemno ani zimno.

Więcej światła

A co w Łodzi? W Łodzi na dzień 1 września br. gotowość energetyki wynosiła 50 proc., na 1 listopada ma osiągnąć 100 proc. Aby jednak dokładnie przyjrzeć się nadchodzącemu sezonowi jesienno-zimowemu zasięgnąłem informacji u tzw. źródła, czyli w dyrekcji Zespołu EC im. W. Lenina i w Zakładzie Energetycznym Łódź — Miasto.

PRODUCENT ŚWIATŁA I CIEPŁA

Odpowiada z-ca dyr. d/s technicznych i I z-ca dyrektora Zespołu EC mgr inż. WIESŁAW KROCHOCKI.

Jeśli idzie o zapasy węgla i mazutu, to informuję, że mamy wypełnione place składowe w 100 proc. Dostawy węgla w okresie od 1.I. br. były rytmiczne, a jakość jego lepsza niż w latach ubiegłych. Nawiąsem mówiąc, mimo licznych i częstych trudności w dostawach węgla w ciągu ubiegłych trzech lat, elektrociepłownie łódzkie ani razu nie ograniczyły produkcji z tego powodu, mimo, że bywały dramatyczne chwile, gdy np. EC 3 miała tylko zapas na jeden dzień. Mazut jest dostarczany mniej rytmicznie, lecz możemy zgromadzić (liczony w dniach) większy zapas niż wynosi zapas węgla.

Co roku EC dokonują remontów, które rozpoczynają od 1 kwietnia, a kończą w końcu października. Jednakże podstawowy zakres remontów trzeba wykonać w okresie, gdy zaprzestaje się ogrzewania miasta, a więc praktycznie od 1 maja do 30 września. Remontom poddaje się co roku 31 kotłów i 16 turbin, z tym, że około 40 proc. urządzeń przechodzi remont kapitalny, a reszta średni. Koszt remontów wynosi ok. 700 mln zł, a zatrudnionych przy tych pracach jest prawie 900 pracowników własnych i z obcych przedsiębiorstw. Od momentu rozpoczęcia sezonu ogrzewczego przed urządzeniami energetycznymi stale poważne zadanie: nieprzerwana praca przez 5.000 godzin!

Wytwarzanie ciepła wymaga większej niezawodności urządzeń niż wytwarzanie energii elektrycznej z dwu powodów: 1. zapotrzebowanie na ciepło jest niezależne od świąt i niedziel, kiedy to zapotrzebowanie na energię elektryczną wyraźnie się zmniejsza; 2. energia elektryczna może być dosyłana za pomocą linii przesyłowych z systemu ogólnokrajowego, podczas gdy w zakresie ciepła trzeba polegać tylko na źródłach lokalnych. Urządzenia najlepiej przygotowane i najlepiej eksploatowane nie są jednak w stanie przepracować 5.000 godzin (np. trzeba kotłowni wyczyścić ze szlaku czy osadów mazutu). Czynności te wykonuje się w dolinach obciążenia i strefach, gdy pogoda na to pozwala.

Zapotrzebowanie ciepła na bieżący sezon bi-

lansuje się z mocą cieplną łódzkich EC, z uwzględnieniem budowanego aktualnie w EC 4 kotła wodnego o mocy 120 Gcal/h. Kocioł ten ma być oddany do realizacji w październiku br. Największe przyrosty obciążenia występują w rejonie EC 4 ze względu na lokalizację budownictwa mieszkaniowego. Mimo najbardziej napiętego bilansu w tym rejonie, EC 4 jest obecnie najbardziej niezawodna ze względu na wiek urządzeń i paliwo (EC 4 jest opalana wyłącznie węglem, który jest dostarczany rytmicznie).

Przemysł otrzymuje ciepło w postaci gorącej wody i pary technologicznej, której używa się do ogrzewania i do procesów technologicznych. Ale przemysł wykorzystuje to ciepło nieracjonalnie. Od lat obserwuje się niezależność obciążenia pary od temperatury zewnętrznej, tzn. poniżej +5 stop. C zużycie pary technologicznej ma charakter stały. W I kwartale br. pojawiła się nowa cecha obciążenia parowego: mimo zmniejszenia produkcji w szeregu zakładów obciążenie parowe pozostało niezmiennie. Można więc wnosić, że przemysł nieracjonalnie wykorzystuje parę technologiczną.

Czy łódzkie EC zabezpieczają miasto w ciepło i światło? Otóż powiązanie z siecią państwową pozwala pokrywać lokalne braki w dostawach energii elektrycznej, natomiast dostawa ciepła musi być oparta na lokalnych źródłach. Dlatego też plany rozbudowy elektrociepłowni opracowuje się wyłącznie pod kątem pokrycia potrzeb cieplnych. Obecnie zakończono budowę EC 3 i elektrociepłowni 1, 2, 3 nie będą już zwiększać swojej mocy. Natomiast stałej rozbudowie musi podlegać EC 4 (zakończenie prac w 1990 r.), aż osiągnie ona taką moc jak EC 1, 2, 3 razem wzięte. Aktualnie instaluje się w EC 4 kotłowni o mocy 120 Gcal, który będzie oddany jeszcze w tym roku, drugi, kolejny kotłowni zostanie oddany w roku przyszłym.

Bilans na lata do 1984 jest dobry. W dalszej fazie rozbudowy będzie instalowany blok energetyczny o mocy 100 MW, który ma wejść do pracy w sezonie 1985/86. Najtrudniejsza sytuacja ciepłownicza wystąpi w roku 1985, jeśli przewidywana rozbudowa z jakichś powodów opóźni się.

Praca EC to nie tylko energia i ciepło, ale i odpady paleniskowe. Nasze EC spalają zimą w ciągu doby ok. 9.500 t węgla, z czego powstają znaczne ilości odpadów paleniskowych: żużla i pyłu dynmicowego. Miesięcznie mamy 37.000 ton popiołu. Znaczną część popiołu zabiera „Prefabet” wytwarzając z niego elementy budowlane, kilka tysięcy ton zabierają cementownie i inne zakłady prefabrykatów, mimo to pozostaje spora jego nadwyżka (ok. 210 tys. t), którą wywozi się na usypisko. Dla wszystkich EC wyznaczono miejsce na odpady paleniskowe w pobliżu Sieradza, ale gdy tylko wybudujemy tam wysypisko, władze Siera-

dza wydały zakaz składowania tam naszych odpadów. Tak więc, zanim zostanie rozstrzygnięty spór pomiędzy EC a Sieradzem, odpady składowane w wyrobiskach po piasku i żwirze w pobliżu Łodzi.

Tak więc problem utylizacji i składowania odpadów od wielu lat nie doczekał się racjonalnego rozwiązania.

Teraz parę słów na temat pieniędzy. Kto wie ile kosztuje budowa jednej EC? Sądzę, że nikt poza fachowcami. Otóż nowoczesna EC, taka jak łódzka EC 4 kosztuje około 15 mld zł (w cenach z 1978 r.). Elektrociepłownie są coraz droższe. Wynika to z wprowadzania postępu technicznego, który w energetyce polega na stosowaniu coraz to wyższych parametrów pary (ciśnienie i temperatura) oraz instalowaniu kotłów i turbozespołów o coraz większej mocy. Przykładowo: EC 1 kosztuje około 320 mln zł, lecz na wyprodukowanie 1 kWh zużywa 25 proc. węgla więcej niż EC 3, w której zaledwie dwukrotnie liczy się załoga obsługująca urządzenia o mocy 4 razy większej. Porównując turbozespół zainstalowany np. w EC 3 z pierwszym turbozespołem Elektrowni Łódzkiej, widzimy, że moc tego ostatniego jest 50-krotnie mniejsza, a ciśnienie pary zasilającej 10 razy niższe.

TEN, CO NAM ŚWIECI I GRZEJE

Odpowiada dyrektor Zakładu Energetycznego Łódź-Miasto mgr inż. WIESŁAW KMIN:

Istniejące cztery EC produkują energię elektryczną w skojarzeniu z energią cieplną. Fakt ten rzutuje na wielkość produkcji energii elektrycznej w okresie zimy i lata. Latem produkcja energii elektrycznej z naszych EC pokrywa zapotrzebowane województwa w 15 proc., zimą w 60 — 70 proc. Różnica jest importowana z systemu państwowego.

Roczne nakłady inwestycyjne w nowych cenach przekroczyły 400 mln zł. Środki te przeznaczane są na rozbudowę istniejącej sieci energetycznej, oraz na budowę nowej sieci (zasilanie nowego budownictwa mieszkaniowego). Rocznie buduje się na terenie województwa około 80 km linii energetycznych i 60 — 70 stacji transformatorowych oraz 1 — 2 stacje transformatorowe 110 kV, tzw. główne punkty zasilania. W latach 1984/85 rozpocznie się budowa trzeciej dla Łodzi stacji 220 kV, która stanowić będzie kolejną, trzecią już powiązanie Łodzi z systemem państwowym.

Spółeczeństwo często narzeka, że w Łodzi jest ciemno, że wyłączamy nierzadko jedne ulice lub całe ciągi ulic. Wyjaśniam: dla Łodzi istnieje centralne sterowanie oświetlenia ulic, tzn. zapalanie i gaszenie światła odbywa się z centralnego punktu dyspozytorskiego. W mniejszych miastach województwa np. Zgierz, Pabianicach, Ozorkowie, Głownie czy Strykowie oświetlenie sterowane jest za pomocą fotokomórek. Zakład nasz prowadzi eksploatację i remonty źródeł światła i całej sieci oświetleniowej. Natomiast budowę nowego oświetlenia i modernizację finansuje Zarząd Dróg i Mostów, a wykonuje wyspecjalizowane przedsiębiorstwo. W ostatnich latach wykonuje się modernizację głównych tras przesyłowych, szczególnie tych międzynarodowych, oznaczonych kryptonimem „E”, gdzie wymienia się, między innymi, oświetlenie rzeźniowe na sodowe. Większość prac eksploatacyjnych nasze brygady wykonują w nocy, niekiedy jednak zachodzi konieczność dokonania napraw, zwłaszcza tych poważniejszych, w dzień. Mogą wtedy występować przypadki zapalenia jakiegoś fragmentu oświetlenia również w dzień. Dlatego nie na miejscu są uwagi, że „znów zapomnieli zgasić” lub „marnotrawią państwową energię”.

Jednym z naszych, dość poważnych kłopotów, pozostaje kradzież energii elektrycznej. Problem ten istnieje od lat, jednak w br., od chwili podwyżki cen, zwiększyła się ilość kradzieży. Przypuszczamy, że w okresie jesienno-zimowym osiągną one najwyższy wskaźnik w stosunku do lat poprzednich. Niestety, ludzi nie odstrasza żadne kary. A są one obecnie bardzo wysokie, najniższa przy liczniku i fazowym wynosi 11 tys. zł, przy trójfazowym — 31 tys. zł.

W br. powiększyła się ilość osób z tzw. marginesu społecznego. Nigdzie nie pracują, nie posiadają w mieszkaniu, ale energię potrzebują, więc ją po prostu kradną. Tylko w I półroczu br. wykryto około 250 kradzieży na sumę ponad 3 mln zł, co stanowi wzrost w stosunku do lat minionych o całe 60 proc. Ale istnieje nadal kradzież energii dokonywane przez ludzi dobrze sytuowanych np. ogrodników, rzemieślników itp. Potrzebują więcej energii, ale nie chcą za nią płacić. Nasze brygady kontrolujące mają pełne ręce roboty, a zbliżająca się zima zmusza nas do powiększenia ilości tych brygad. Po prostu mamy już doświadczenie.

A jeśli chodzi o światło w mieszkaniach, rok bieżący był dobry. Zapewniam, że i w zimowej wieczory nie będziemy wyłączać elektryczności.

KRÓTKIE RESUME

Należałoby wspomnieć o kłopotach, jakie trapią łódzką energetykę. Lecz kłopoty to przecież nasza polska codzienność. Zespół Elektrociepłowni im. Lenina, poza troską o utrzymanie ciągłości produkcji energii i ciepła, od lat nie może rozwiązać problemu wywozu odpadów paleniskowych. Zakład Energetyczny Łódź-Miasto widziałby u siebie np. dostateczną ilość żarówek rzeźniowych, których potrzebuje w tej chwili 25 tys. sztuk, a otrzymał zaledwie 500 sztuk. A bezpieczniki, linki dla linii energetycznych, kable?

Oczywiście, mówiąc o energetyce należy pamiętać, że nad jej sprawnym funkcjonowaniem czuwają ludzie, specjaliści wysokiej klasy, wioletni pracownicy, a także ci, którzy niedawno zwiążali swój los z tym wszystkim, co przynosi nam wygodę i pozwala przetrwać najsrodsze zimy. W dniu ich jubileuszu, należy życzyć im wytrwałości w niełatwej przecież pracy, a nam więcej światła i ciepła.

EUGENIUSZ IWANICKI

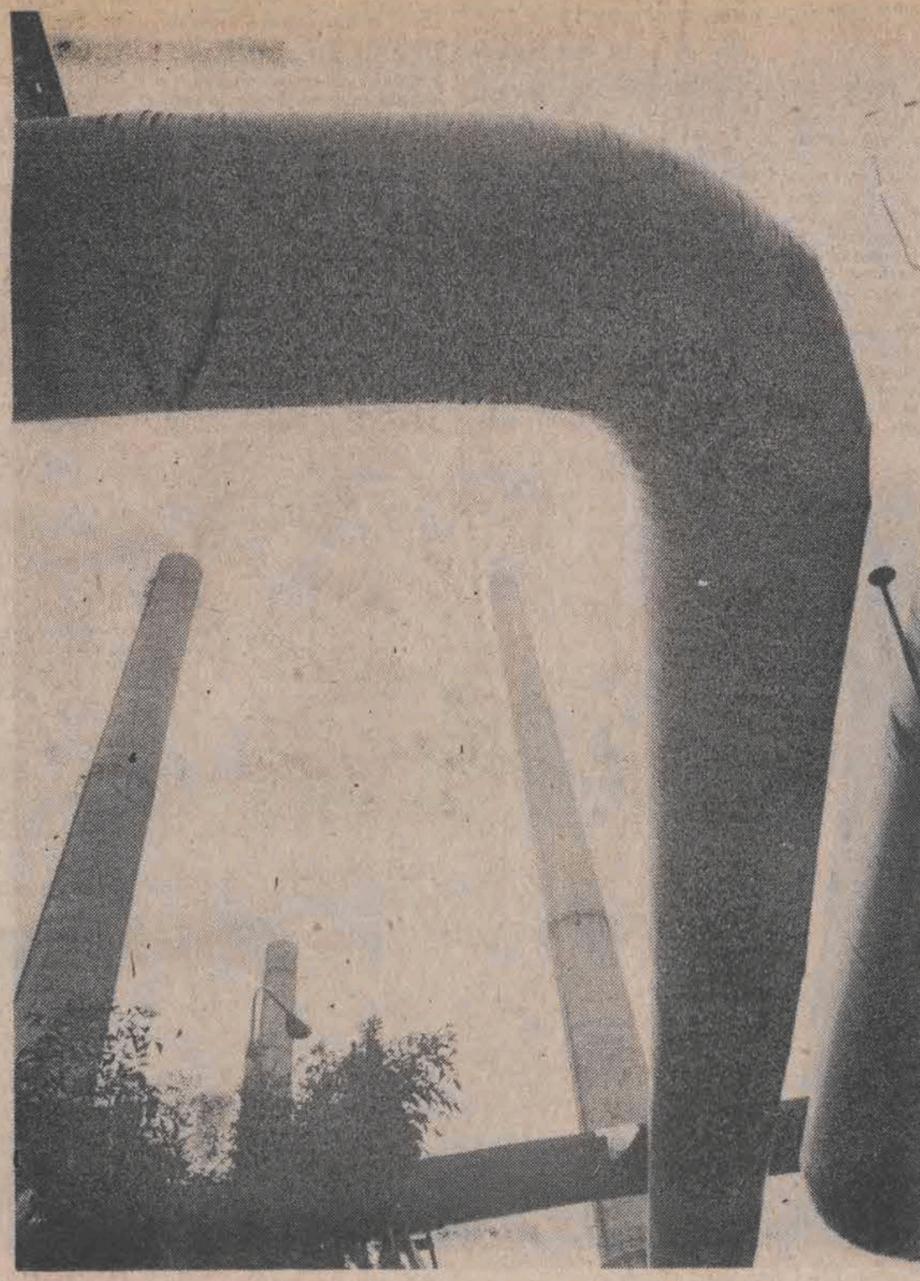


Foto: M. Zajder

Siódme dziecko stroża

oż z tego, skoro jest, jak jest. Albo nie ma pieniędzy, albo wykonawców, albo materiałów i tak w koło Wojtek.

Kiedy pan dziadek stawiał sobie dwór, myślał o wygodzie. Kiedy wtłoczono tu osiemdziesięciu pensjonariuszy, wygodą jest ostatnim z marzeń. Osiemdziesiąt chorych, starych, niedołączonych osób, z których każda wymaga odpowiednich warunków. Odpowiednich, to znaczy minimum komfortu, uwzględnienia indywidualnych potrzeb, no a przede wszystkim minimalnego zachowania swej prywatności. Tymczasem szczegółowe oględziny budynku przyniosły smutny bilans. Kilka ogromnych sal, niedysyjnych dworskich salonów, z gęsto poukładanymi łózkami, po 15 i więcej. Tylko 3 trzyosobowe pokójki. W tych „stajniach” żyją łożko w łożko ludzie o najróżniejszych schorzeniach, ułomnościach, o różnych wymaganiach pielęgnacyjnych. Na 80 pensjonariuszy — dwie łazienki, trzy wanny. W toaletach częściowo porożbijane sedesy. Nowych kupić nie można, bo nie ma. Całość sanitariatów w niewielkim tylko stopniu przystosowana do specyficznych wymagań ludzi chorych. Jedna świetlica i stołówka, usytuowana zresztą poza głównym budynkiem, co zmusza część chorych do wędrówek, także zimą. Kuchnia, pralnia, część magazynów podręcznych mieszczą się w piwnicach. Wyposażenie techniczne kuchni — takie sobie. Za to pralnia ma jeden dogorywający automat pralniczy o pojemności 30 kg, jeden, zdemontowany do naprawy ze sto lat temu (i wszelki śluch o nim zaginął). Ma także pralnia jedyną osobę obsługującą oraz gorącą nadzieję na zdobycie nowoczesnego automatu o pojemności 50 kg, który rozwiązałby sprawę. I to wszystko przy osmiu dziesiątkach chorych wymagających często kilkakrotnej w ciągu doby wymiany pościeli i odzieży. Na pociechę nędzy technicznej i sypaności się budynku, ma zakład 15 hektarowe gospodarstwo rolne oraz sporą pomoc ze zrzutów. Co w dzisiejszych czasach znaczy własny inwentarz, drób, owoce i warzywa, nie trzeba tłumaczyć. Bez tego zapleczka byłaby już zupełnie bida z nędzą, a tak jest tylko bida. Jedyną nową inwestycją jest magazyn sprzętów gospodarczych i żywności, niestety bez własnej chłodni. Przedstawiona mi lista postulatów zawiera: na wczoraj — remont dachu i wyteplenie grzybia, na już — remont sanitariatów i pełne wyposażenie pralni; pilnie — sto tysięcy niezbędnych zakupów, poczynając od naczyń stołowych, kończąc na firankach, meblach i temu podobnych.

Mimo wszelkich oraków, personel usilnie stara się utrzymać czystość podopiecznych, estetykę całego gospodarstwa. Łata się bez końca ten dziurawy worek wyprasając, wyduszając po znajomościach co tylko możliwe, by utrzymać zakład w stanie używalności. Ostatnio przybyła nareszcie własna sanitarka z kierowcą. Skończy się więc udręki z transportem chorych.

Zakład i całe gospodarstwo obsługuje 35-osobowy personel, w znakomitej większości kobiety. W tym — 6 osób obsługi administracyjno-technicznej, 6 kucharek, 1 pracznia, 9 salowych i tyleż pielęgniarek. Ponadto czterech mężczyzn pomaga w gospodarstwie rolnym. Praca jest na trzy zmiany, świętek, piątek. Czyli na jednej zmianie pracuje średnio 6-8 osób, a przy bezpośredniej pielęgnacji chorych — 3-4 osoby. Na jedną więc pielęgniarkę i salową przypada 20-25 podopiecznych. W tej pracy trzeba mieć oczy dookoła głowy, refleks rajdowca i nerwy ze stali, chorzy wymagają bezustannej uwagi, przy tym ich stan wymaga od personelu dużej odporności psychicznej i wielkich walorów moralnych, gdyż bezbronnym bardzo łatwo jest wyrządzić krzywdę.

Nie ma ani jednego lekarza na pełnym etacie na miejscu. Opiekę medyczną sprawuje jedynie dwoje lekarzy na ryczałcie i z doskoku. A powinni tu na stałe pracować psychiatra, neurolog, ginekolog. Nie ma ich z tej samej przyczyny, dla której chorych obsługuje tak szczupły personel. Nie ma dla nich etatów, godziwych zarobków, na tyle atrakcyjnych, by konkurowały z innymi instytu-

cjami, nie ma też mieszkań. Propozycja wynajętego kąta u gospodarza nikogo nie skusi, a i ten obecny personel w większości dojeżdża z okolicznych miejscowości. Do tak ciężkiej i odpowiedzialnej pracy personel musi być ostro selekcjonowany, a przede wszystkim solidnie wynagradzany. Tak być powinno, ale wiadomo, że leżące się nie kopie, a stan materialny służby zdrowia i opieki społecznej leży jak najdokładniej. Pielęgniarki pracujące w Skrzywnie trwają chyba tylko siłą nawyku i przywiązania do pracy, bo warunki pracy są ciężkie, a pensja żadnej, nawet po 15 latach stażu nie przekracza 9 tysięcy zł (wraz z rekompensatą i dodatkami). Każda z tych kobiet poza tryzmiannową pracą, dojazdami, ma przecież na głowie także domowy fakultet. W tej sytuacji zaskakuje widok kilku młodych dziewcząt, które podjęły tu pracę po medycznym studium pomaturalnym. Oby tylko wytrzymały.

Niestety, nawet instytucje opieki społecznej nie są wolne od polskiej choroby, czyli od postawionej na głowie polityki kadrowej i śmiesznej walki o strefy wpływów. Tu, gdzie ostatecznym problemem przydatności danej osoby winny być jej kwalifikacje zawodowe i moralne, ścierają się stanowiska wydziałów zdrowia, komitetów partyjnych i administracji terenowej. Każda ze stron ma swoje racje, każda chciałaby mieć swego człowieka na stanowisku, możliwe kierowniczym. Wszyscy jednak jakby trochę zapominają, że chodzi wyłącznie o interes ludzi chorych i wymagających wielkiego serca.

ZBĘDNI LUDZIE

W Skrzywnie przebywają bardzo różni pensjonariusze. Najliczniejsza grupa to chorzy cierpiący na najróżniejsze zaburzenia psychiczne. Są wśród nich osoby z bardzo ciężkim wrodzonym upośledzeniem umysłowym, są chorzy z pourazowymi lub pochorobowymi upośledzeniami w różnych stadiach. Ta grupa wymaga szczególnej, specjalistycznej opieki medycznej oraz absolutnie wszechstronnej pielęgnacji. Brak lekarzy specjalistów mających codzienny kontakt z chorym, powoduje, że opieka sprowadza się na ogół do zaspokajania elementarnych potrzeb fizycznych. Niektórzy chorzy, często tylko w ograniczonym zakresie, ale zawsze, mogliby być poddani zabiegom rehabilitacyjnym i usprawniającym. Niestety, brakuje choćby wykwalifikowanego rehabilitanta, dlatego chorzy są skazani na martwą vegetację w oczekiwaniu na śmierć.

Osobna grupa, to osoby, które ze względu na wiek i stan zdrowia, wymagają stałej opieki. Nie zawsze idzie to w pa-

rze ze zniechęceniem umysłowym. Warunki, w jakich pracuje dom opieki społecznej sprawiają, że osoby w pełni świadome, skazane są na obcowanie z ciężko upośledzonymi psychicznie. I jedni, i drudzy potrzebują nieco innej opieki, a przede wszystkim ze wszechmiar błędnym jest trzymanie obu tych grup razem. Jakże ma to skutki dla kondycji psychicznej ludzi w pełni jeszcze świadomych, nie trzeba mówić. A zważywszy, że jest to dla nich ostatnia już przystań w życiu i że tu właśnie muszą doczekać końca, taka sytuacja staje się dodatkową torturą. Wielgachne sale okradają ludzi z wszelkiej intymności, z prawa do człowieczego cierpienia i do godnej śmierci nie wystawionej na tyje obcych oczu. Tu nikt z nich nie ma nic prywatnego, cierpienie jest obserwowane przez całą salę. Zabiegi pielęgnacyjne obłożonych odzierają z prawa do wstydu. Umiera się na oczach wszystkich, ale straszliwie samotnie, bez jednej bliskiej osoby. Dla każdej z tych osób już sam fakt pobytu poza własnym domem (o ile go kiedykolwiek mieli) już jest cierpieniem, a warunki „masowe” stają się jeszcze jednym okrucieństwem, jakie litościwie społeczeństwo im funduje. Tutaj okrutną prawdą staje się powiedzenie, że jedyną ucieczką jest ucieczka w szaleństwo.

Są oczywiście przypadki ciężkiej choroby psychicznej lub zupełnego osamotnienia, kiedy niezbędna jest fachowa opieka, której nie może zapewnić nawet najczulsza rodzina. Wtedy obowiązek zapewnienia elementarnej opieki musi przyjąć na siebie państwo. Mimo jednak tych oczywistości, prawdą jest także i to, że każda forma instytucjonalnej opieki jest zawsze głęboko odhumanizowana, nawet przy wielkich staraniach.

Całkiem jednak osobną sprawą są ludzie, dla których nie starczyło miejsca w ich własnej rodzinie. Jakże tragiczna jest, wypowiedziana drewnianym głosem relacja starszki, której syn zajmuje odpowiedzialne stanowisko, powodzi mu się nieźle, ale... „pani przecież rozumie, syn musi mieć osobny pokój do pracy. Oni wszyscy pracują, uczą się, nie mają warunków, żeby się zająć starą matką”...

Pracownicy domu opieki opowiadają o starych rodzinach wyharowanych do cna na roli, a kiedy zabrakło sił i zdrowia, odchowane i wyedukowane dzieci oddawały „balast” do szpitala i przestawały się interesować co dalej. Szpital przecież jakoś załatwił dom starców. Są starzy ludzie, którzy zdali gospodarke na skarb państwa. Otrzymywana renta nie wystarcza na pokrycie kosztów utrzymania w domu opieki, a urzędzone w miastach dzieci jakby zapo-

mniały o dopłacaniu należności.

Stucham opowieści o tym, jak to eleganckie dzieci czy krewni zajeżdżają z rzadka samochodami i... „wie pani, oni się wstydzą własnej matki. Nawet ręki nie podadzą. Posiedzą godzinę i uciekają”... Stucham o takich podopiecznych, do których nikt nie przyjechał od piętnastu lat, listu nie przysłał, nie zapytał, czy jeszcze żyje. A w ankietach stoi, że dzieci albo krewni są gdzieś w Polsce.

Tu śmieć nie jest niczym zaskakującym. Dla wielu jest wyprawieniem od cierpienia. Pielęgniarki pamiętają takie samotne śmierci, kiedy konają do ostatka wyglądał swych bliskich i nikt nie przyjechał nawet na pogrzeb. Za to zdarzyło się, że już po pogrzebie rodzina nie ośmieszała zainteresować się, czy zmarły nie pozostawił czasem jakiej książeckiej PKO, albo nie wskazał miejsca ukrytych walorów. Różnie bywa. Są i rodziny dbałe, pamiętające, ludzkie.

RODZINA CZY URZĄD?

Powyższe przykłady skłaniają do kilku refleksji. Zaczynamy tedy od tego, co na wstępie nazwałmy filozofią pomocy społecznej. Wszystkie współczesne państwa, niezależnie od ustroju politycznego, a nawet od założeń, borykają się z tym samym problemem. Czym jest, czym być powinna, jak dalece ma sięgać funkcja opiekuńcza państwa. Od dawna już zarzucono założenie filantropijnego charakteru instytucjonalnej opieki państwowej wobec słabszych. Przyjęto jako oczywistość, że tam, gdzie z różnych powodów niemożliwa jest opieka rodzinna, tam musi wkraczać państwo. I tu zaczyna się schody, w dodatku podwójne.

Jeśli bowiem państwo, jako forma zorganizowanego życia społecznego przyjmuje na siebie ten obowiązek, wówczas opieka społeczna staje się na równi z inwestycjami przemysłowymi czy handlem, taką samą pozycją w planowaniu i budżecie. Pytanie tylko, w którym miejscu w planie znajduje się funkcja opiekuńcza? Jak świat światem, zawsze, i lekko przychodziły trudności czy kryzysy, w łeb do stawała kultura, służba zdrowia i opieka społeczna. Pierwszy pod nóż szedł budżet tych właśnie sfer, bo żadna nie miała swego silnego lobby zdolnego ugrać zakusy oszczędnościowe. Pojawia się więc w istocie neo-filantropijny stosunek państwa do potrzeb opieki społecznej. Instytucje opiekuńcze dostają z kasy nie tyle na ile pozwalają możliwości, tylko

tyle, ile uzna za stosowne przeznaczyć decydując budżetu. A hierarchię koniecznych wydatków zawsze można ustawić w myśl zasady, że ci co mają i tak dostaną najwięcej. Wszelkie argumenty o obiektywnych trudnościach brzmią tu szczególnie fałszywie po prostu dlatego, że są to na ogół jedyne argumenty na odwrót. Dlatego nie tylko naszą achillesową piętą jest sztuka wyważania proporcji między dynamicznym rozwojem gospodarczym a potrzebami socjalnymi najsłabszych grup społecznych. Usłyszałam gorzką opinię, iż o sile ekonomicznej państwa świadczą nie potężne fabryki, lecz stan szpitali, domów opieki społecznej i szaleńców publicznych. Skłonna jestem zgodzić się z tym poglądem.

Tu pojawia się kwestia następną, w jakim stopniu pochodną pierwszej. Otóż od stopnia przyjęcia przez państwo obowiązku opiekuńczego (czyli zakresu tej opieki), a także od założeń społecznych i budżetowych możliwości państwa, zależy jest stosunek obywateli do pojmowania swych praw i powinności. Dalej się zaobserwować zastanawiający rozdział między rozumieniem państwa i społeczeństwa. Społeczeństwo to my, a państwo to „obcy” twór mający wobec nas rozliczne obowiązki. Państwo ma gwarantować, dać, zapewniać. Także opiekę najsłabszym. I szybko przywykamy do myśli, że państwo ma wobec nas obowiązki, my wobec państwa — prawa. To pociąga za sobą zadziwiająco łatwość cedowania na państwo także obowiązków zapewnienia opieki potrzebującym nawet jeśli są to nasi bliscy. I spycha się na państwowe instytucje balast ludzi niepotrzebnych w dużo szerszym zakresie niż jest to absolutnie konieczne. Poza przypadkami, gdy konieczna jest wysoka fachowa pomoc oraz tam, gdzie możliwości materialne rodziny oznaczająby śmierć chorego, pomoc instytucji ma swe uzasadnienie. Tam jednak, gdzie jedyną właściwą pomocą powinno być ciepło rodziny, ale wygodniej jest obarczyć instytucję, pojawia się sieroctwo społeczne, tragiczna samotność inwalidów i rozpacz opuszczonych starych ludzi. Pojawia się degrengolada etyczna do-robeklewieców niesklonnych obciążać się starym rodzicem lub kalekim dzieckiem. Pojawia się także bezmyślność urzędów i potworne chamstwo zdrowych wobec chorych.

Nie jest to, powtarzam, jedynie nasz wstydlivy problem, ale też bieda materialna i kryzysowy zyciorys Polski Ludowej szczególnie uwydatniają zagrożenie płynące z niskiego poziomu kultury życia społecznego, objawów znieczulicy i obojętności.

Pomijając oczywistą trudność w rozstrzygnięciu sporu o pierwszeństwo różnych dziedzin życia społecznego, mamy tu do czynienia z kwestią niezwykle delikatną. Dążenie do zharmonizowania funkcji gospodarczych i opiekuńczych państwa, nie może się odbywać mechanicznie, metodami administracyjnymi. Nie da się paragrafem zmusić społeczeństwo, by nie porzucało swych dzieci i starców, by rodziny wzięły na swe barki ciężar opieki wszędzie tam, gdzie jest to możliwe i wskazane. Nie da się nakazem rozstrzygnąć, w jakich wypadkach instytucje formalnie mogą się uznać za zwolnione z obowiązku zapewnienia opieki potrzebującym. Niedopuszczalny jest przetarg o to, kto powinien. Powinny obie „strony”, państwo z tytułu swej immanentnej funkcji i osoby fizyczne, rodziny z racji ludzkich odruchów.

Jedyną drogą jest żmudna i długotrwała wychowywanie. W poczuciu odpowiedzialności za bliskich, w poczuciu wspólnoty ze swą społecznością i wzajemnych wobec siebie obowiązków. Brzmie to jak dekalog pobożnych życzeń, ale akurat jest prawdą. Cóż z tego, że będzie istnieć, mądre w tej mierze prawo, jeśli codzienna kultura społeczeństwa nie będzie bezwzględnie piętnować aktów znieczulicy, czy wręcz bezmyślnego okrucieństwa — tak pojedynczych osób, jak i urzędów — wobec potrzebujących pomocy. Prestiż społeczny instytucji opiekuńczych jest u nas bardzo niski. Ubóstwo materialne tych instytucji, niechęć do podejmowania w nich pracy, marne pensje — są tego stanu najlepszym dowodem. Znowu gdzieś tam daje o sobie znać przeświadczenie, wciąż jeszcze pokutujące, jakoby pomoc dla słabszych była filantropijną łaską, a nie bezwzględnym obowiązkiem koniecznym w ogóle do istnienia normalnego (w naszym obszarze kulturowym) społeczeństwa.

Idealną byłaby sytuacja, gdzie rozgrzeszające się z obowiązku społeczeństwo — przynajmniej sownie opłacało spokój sumienia. To znaczy zapewniając komfort warunków materialnych i wysokie zarobki w instytucjach opiekuńczych, zdejmujących z naszej głowy ów dolegliwy kłopot. Zdrowo pojęty egoizm zbiorowości kazałby dobrze opłacać tych, którzy zrobią to za nas. Pięknie byłoby. Ale nie jest i nie zanosi się, żeby miało być.

Być może jakimś wyjściem byłoby takie rozwiązanie: Nowo otwierane zakłady rzemieślnicze, budylnicze, królestwa, nowe firmy państwowe itp. na czas pierwszego okresu, powiedzmy roku — dwóch, byłby zwolnione od podatku w zamian za rzeczową (dajmy na to stolarz zrobiłby stolarkę czy meble, ogrodnik pomógłby w zapleczu rolnym, krawiec uszyłby odzież itd. itp.) pomoc świadczoną na rzecz pobliskiego zakładu pomocy społecznej. Mogłaby to również być forma wpłacania części podatku na konto danej instytucji opiekuńczej. Po prostu chodziłoby o przeadresowanie odprowadzanych do skarbu państwa funduszy. Zamiast dzielić odgórnie pieniądze, można by zasilić bezpośrednio konta zakładów opieki, dając im tym samym pewien luz w programowaniu wydatków. Transakcja mogłaby być wiązana. To znaczy, że informacja danego zakładu opiekuńczego złożona w banku na temat czy „powiązana” firma wykonała swą usługę i jak, stanowić będzie o tym, czy nierzetelną firmę należy ukarać wyższym podatkiem za niewywiązanie się z umowy, czy nie.

Form powiązania zysków i podatków danej firmy ze świadczeniami na rzecz opieki społecznej może być wiele, z pewnością też znalazłby się inne lepsze pomysły wsparcia systemu opieki społecznej. Nie wolno dłużej lekceważyć tej sfery naszego życia, bo może się stać i tak, że nam, dzisiaj młodym przypadnie sędyma i bezradna starość. Dotychczas funkcja opiekuńcza społeczeństwa traktowana była nie tyle jak niechciane dziecko, ile raczej jak siódme dziecko stroża. Pierwsze do lania, drugie do chłup po szęściu poprzednich — zawsze ostatnie dostaje cukierka.

JOLANTA
WROŃSKA

Foto: M. Zajdler



Anioł gdzieś się zawie- ruszył

W wifii przy Wólczńskiej pokazano dorobek Edwarda Sturlisa. Dalece nie wszystko. Nie jestem też pewna, czy słowo dorobek jest tu właściwie. Jeżeli chodzi o obrazy, te z lat ostatnich jak i akwarele malowane w młodości — mimo że ich autor miał wówczas 14 lat, określenie, iż są to prace z dzieciństwa zupełnie tu nie przystoi — zgoda. Ale czy można w formule dorobku wpisać lalki zastygłe w bezruchu, jeżeli były one stworzone do czegoś przeciwnego?



Projekt scenografii do filmu „Bellerophon”, 1959

Wprawdzie przy okazji otwarcia wystawy pokazano w kinie Młoda Gwardia zestaw filmów Sturlisa, a w Przedwiośniu nawet dwa, w sobotę 4 i w niedzielę 5 września, niewiele to da czytelnikowi, który być może przez mnie zachęcony zechciałby sobie przypomnieć, a może i po raz pierwszy zobaczyć prace mistrza lalkowej animacji. Pokazy przeszły niezauważone. Nikt ich nie wspierał reklamą, a szkoda. Może by łódzcy kinowi decydenci rozważyli możliwość pokazania tych filmów jeszcze choć jeden raz, o kilka nie mam śmiałości się dopominać. Może telewizja dałaby coś więcej niż tylko w lipcu przez Studio 2 przypomniany „Kwartecik”?

Póki co musimy poprzestać na wystawie. Ale i to wystarczy, żeby poznać typową dla twórczości Sturlisa nutkę pogodnej ironii i żartobliwej refleksji nad konstytucją ludzkich charakterów. Przy tym środki wyrazu plastycznego stosowane przez artystę, mimo iż wydają się stare jak sztuka, nie tracą na świeżości. Wszystko jest proste, naturalne, oczywiste. Lekka synteza kształtu, proporcje z wyraźnym wyeksponowaniem głowy i metafora oparta na utrwalonych, bezpośrednich skojarzeniach, jak ta, że człowiek bez rozumu ma po prostu głowę pustą jak balon. W filmach nabiera to pełniejszego smaku poprzez uzupełnienie anegdotą.

W „Kwarteciku” gdzie styl tańca kontrastuje z formą postaci, czy „Sekundeczek”, bajkowym spotkaniu ery z sekundą.

Obiecywałam sobie, że pisząc o tej wystawie nie będę się odwoływać do filmów. Okazało się to niemożliwe. Dlatego mam kilka uwag do sposobu urządzenia ekspozycji. Szkoda, że obok zneruchomiałych lalek umieszczono tylko tytuł, a nie zaszyfrowano literackiego pomysłu. Chętnie też widziałabym więcej projektów, rozrysowanych układów postaci na planie. Krótko mówiąc, brakuje mi „animacyjnej” kuchni. Wiem, że materiał po temu by się znalazł i że byłby prezentacją nie tylko roboczych szkiców, ale jeszcze jednym elementem wizerunku twórcy. Może właśnie tym zespalającym wyraźnie działalność na niwie animacji z poszukiwaniami malarskimi. Chociaż i bez tego wspólny rodo-

wód filmów i obrazów jest dostrzegalny. Te ostatnie wydają się w pierwszej chwili banalnymi wizerunkami, w których traktowanie koloru łatwo wyprowadzić z doświadczeń impresjonizmu. Ale rysunek, a właściwie obrys formy ma już całkiem odmienne genealogie, nie w nim bowiem nie ma z wrażliwych powiązań kształtów, zagubień konturu, owej impresyjnej miękkości. Każda forma jest określona jakby podług Albertiego („Na obraz składa się: obrys, kompozycja i recepcja światła”). Powiązanie tak wydawałoby się odrębnych stylistycznych odniesień dało efekt, który każe zatrzymać się przed tymi obrazami.

Sławomir Grabowski kończąc pomieszczony w katalogu wystawy portret artysty pisze: — „był przede wszystkim wspaniałym człowiekiem — mądrym, życzliwym i serdecznym. Artystą wszechstronnym, tworzącym z radością i dzielącym się tą radością z innymi. Taki pozostał w pamięci tych, którzy Go znali”. I — dodajmy — taki jawi się właśnie z prac przedstawionych na wystawie.

Zanim zabrałam się do pisania tej recenzji, długo rozmawiałam z Teresą Puchowską-Sturlis — żoną artysty, niemal od zawsze współpracującą przy jego filmach. Kiedy bowiem ma się do czynienia z zamkniętą twórczością, dorobkiem, który będzie podlegał już bardziej historykom niż krytykom prosta analiza przedstawionych prac wydaje się pomniejszeniem rangi takiej prezentacji, więcej — umniejszeniem sylwetki samego artysty. Można oczywiście wymienić liczne nagrody i wyróżnienia. Zostawmy to jednak biografom, którzy zamieszczają będą noty w encyklopedii filmu animowanego. Zostawmy również klasyfikacje i szczegółowe charakterystyki filmów lalkowych, wyciankowych, połączonych z rytmem i rysunkiem. Dajmy pokój zasługom dla polskiej animacji. To przecież nie jest naukowe opracowanie. W rozmowie z panią Teresą próbowałam odnaleźć to, czego nie da się odczytać z faktów i materialnej spuścizny. Kiedy zatrzymaliśmy się przed gablotą z lalkami do filmu „Człowiek i anioł” moja rozmówczyni powiedziała: — „Człowiek jest, anioł gdzieś się zawieruszył w świecie. Była duża wystawa scenografii Studia w Tampere, takiej podobno tam nikt nie oglądał z Finlandii! Anioł już nie wrócił”. To bodaj jedyna lalka która tak się zawieruszyła. W katalogu Grabowski pisze, że „przed laty na festiwalu w Mamaia gdzie był prezentowany film Sturlisa „Człowiek i anioł”, jeden z widzów bez trudu zidentyfikował w tłumie reżysera, i tylko na podstawie Jego ludzkiego podobieństwa do tytułowej postaci anioła. Powie ktoś: po prostu przypadek, zbieg okoliczności, może kiedyś utrwali się w anegdotce. Ale można też inaczej. Ze jest materia dzieła, plansze, projekty, taśmy, a Anioł zawsze wraca, kiedy rusza filmowy projektor.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Edward Sturlis (1927—1980) — wystawa scenografii i malarstwa, wrzesień 1982 r. Galeria Sztuki SZA, Łódź, ul. Wólczńska 21/23.

Kronika kulturalna

Państwowy Teatr Lalek „Pinokio” w Łodzi rozpoczął 4 września nowy sezon spektaklem „Przygody Sindbada Żeglarza” według Bolesława Leśmiana, w adaptacji Jana Pieczakowskiego. Widowisko reżyserował Karel Makonaj. Scenografię opracował Jerzy Michalak, kompozytorem muzyki jest Marek Jaszczak.

W Teatrze Nowym już 12 września rozpoczął się nowy sezon. W Dużej Sali odbyła się premiera „Dam i huzarów” Aleksandra Fredry, w reżyserii Ludwika Benoit, w scenografii Zenobiusza Strzeleckiego, w opracowaniu muzycznym Tomasza Kiesewettera. W przedstawieniu udział biorą: Hanna Bedryńska, Halina Sobolewska, Elżbieta Jasińska, Ludwik Benoit, Wojciech Piłarski, Janusz Kubicki i inni.

Zakładowy Dom Kultury ŁZPB im. Obróńców Pokoju „Uniontex” serdecznie zaprasza do pracy w nowym roku kulturalnym w zespołach artystycznych, klubach, kursach i kołach zainteresowań. Dom Kultury prowadzi zespoły taneczne, wokalne, instrumentalne, teatralne, zakładową orkiestrę dętą, w ramach której prowadzi się od podstaw naukę gry na instrumentach dętych i perkusyjnych, Teatr na Księżym Młynie, teatrzyk dziecięcy, dziecięce zespoły taneczne, estradową grupę wokalną, studio piosenki oraz chór mieszany. Dom Kultury zaprasza również do korzystania z posiadającej bogaty księgozbiór — czytelnik.

Ponadto — kluby, m. in.: Dyskusyjny Klub Filmowy, Klub Dobrej Płyty, Klub Miłośników Sztuki; kursy: tańca towarzyskiego, języków: angielskiego i niemieckiego, kroju i szycia, tkaniny artystycznej; koła zainteresowań: fotograficzne, filmowe, plastyczne. Zespoły prowadzi instruktorzy z doskonałym przygotowaniem zawodowym i pedagogicznym.

W Warszawskiej Zachęcie otwarta została wystawa prac Czesława Piusa Ciapały, zatytułowana „Symfonia wizualna”. Na ekspozycję składają się „symfonie”, siedem „kaprysów monochromatycznych” oraz „oratorium kosmiczne”. Prace te powstały w latach 1974 — 82 i stanowią drugą część cyklu obrazów pt. „Formy nieprawdopodobne i nieprawdopodobnie podobne”. Artysta już od roku 1970 uczestniczy w wystawach krajowych i zagranicznych, organizuje również wystawy indywidualne. Obecna jest piętnastą z kolei.

Przed kilkoma dniami rozpoczął się w Bydgoszczy XVI Festiwal Pianistyki Polskiej.

W Zakopanem trwa XX Jesień Tatrzańska.

Warszawski Teatr Mały wystąpił z premierą „Zamiany” Claudela, w przekładzie Jarosława Iwaszkiewicza. Spektakl reżyseruje Marcin Stawiński, student PWST. Scenografię przygotowała Xymena Zaniewska.

W Norymberdze otwarto wystawę pt. „Współczesna sztuka medalierska z Krakowa”. Udział w wystawie bierze 32 artystów.

Muzeum Górnośląskie zaprasza na wystawę „Najciekawsze zabytki Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu”. W ekspozycji znajdują się ciekawe kolekcje i eksponaty otrzymane przez muzeum w formie darów, przekazów, zakupów, a także badań wykopaliskowych i penetracyjnych własnych działów archeologii, przyrody i etnografii.

Ogólnopolski Konkurs Rzeźbiarski ogłosił częstochowski Społeczny Komitet Budowy Pomnika „Poległym w obronie Ojczyzny 1.09.1939—9.05.1945”. Celem konkursu jest uzyskanie projektu o najwyższych walorach ideowo-artystycznych, projektu będącego symbolem walki obronnej, martyrologii i zwycięstwa na wszystkich frontach II wojny światowej. Wszystkie szczegółowe informacje zainteresowani mogą uzyskać w oddziałach, okręgach i Zarządzie Głównym ZPAP. Współorganizatorem konkursu jest Urząd Miejski w Częstochowie, gdzie przewidziana jest realizacja projektu.

Spółki autorskie czyli co jest mi raczej obce

Tworzenie przez autorów tekstów piosenek spółek z kompozytorem jest zjawiskiem nagminnym. Prawie każdy autor ma — współpracując równocześnie z kilkoma innymi — jednego kompozytora, z którym piosenki pisuje najczęściej, a prawie każdy kompozytor — mimo twórczych kontaktów z innymi autorami — za wiodącą w swej działalności uważa współpracę z jednym wybranym autorem. Stąd też niejednokrotnie słysząc zapowiedź piosenki „liska” domyślamy się, że tekst jest dziełem „liska” i odwrotnie. Po prostu na pewnych etapach pracy twórczej — bo z czasem ulega to zmianom — kojarzymy dwa nazwiska w jedną stale działającą „firmę”.

Pamiętam, że bodaj w kwietniu 1979 roku (czyli jeszcze w latach tzw. propagandy sukcesu) otrzymałem zaproszenie na spotkanie w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Podobne zaproszenia otrzymało również dwudziestu moich kolegów po piórze i dwudziestu kompozytorów, z czego jasno wynika, że tym dwudziestym literatem z ZAKR-u byłem ja. W MKiS, w gabinecie profesora Zina (bo był przestrojony i akurat wolny), przyjął nas aktualny prezes Radiokomitetu — Władysław Loranc, podówczas wiceminister. Jak wynikało z jego wypowiedzi, ministerstwo zwraca się do nas — „członków twórców polskiej piosenki” — z propozycją przygotowania utworów o Polsce, w których nie brakłoby nuty patriotycznej i innych okolicznościowych akcentów z okazji jubileuszu 35-lecia. Forma piosenki jest dość dowolna, byłoby było bez topatologii, a o czym pisać na pewno jest. Co do tego wszyscy, jak jeden mąż, się zgodziliśmy. A ministerstwo zapewniło, że piosenki zostaną wykonane, nagrane i może nawet rozpowszechnione, do czego zresztą nigdy nie doszło. Aby twórcy czuli się w pełni zainteresowani, na miesiąc wypłacono wadium w wysokości pięciu tysięcy złotych na głowę, co mnie uciechy niepomniernie, bowiem byłem w przededniu wyjazdu na Zachód i każdy grosz się liczył, a — jak zwykle — nie miałem pieniędzy. Ze strony Wojciecha Młynarskiego (też był zaproszonym gościem) padło pytanie, na jakich zasadach można łączyć się w pary autorsko-kompozytorskie. Okazało się, że nie ma tutaj żadnych specjalnych wskazań, hłebly tylko zameldować, kto z kim owe piosenki będzie pisał. Od tego momentu nikt z obecnych nie miał wątpliwości co do tego, iż tandem twórców uformuła się według klucza dotychczasowej — lub aktualnie trwającej — współpracy. Wiadomo było: Seweryn Krawiecki z Krzysztofem Dzińkowskim, Jarosław Kukulski z Januszem Kondratowiczem, Katarzyna Gaertner z Ernestem Bryllem, Jan Zalewski z Lucjanem Kaszyckim, Wojciech Jagielski z Piotrem Figlem i tak dalej, a ja — z Jackiem Malinowskim. „Zestawienie par” sporządzone później przez Ministerstwo Kultury i Sztuki potwierdziło te domniemania.

Niestety, nie wiem, co stało się dalej z piosenkami przekazanymi przez nas do ministerstwa. Przyznam, że nasza — zatytułowana „Białoczerwony kraj” —

miała nagrać w łódzkim studiu radiowym Bogusław Mec, zupełnie niezależnie od ministerstwa i w rok później. Jednakowoż w 1980 roku aura nie bardzo takim przedsięwzięciu sprzyjała, przed rokiem było jeszcze gorzej z odbiorem tego typu utworów, a jesienią Bogusław Mec (mój sąsiad o dwie klatki i czternaście pieter w dół) wyjechał na występy do klubów polonijnych w Stanach Zjednoczonych, skąd do tej pory jeszcze nie powrócił. Tak więc, gdyby MKiS kiedyś w przyszłości zgłosił zapotrzebowanie na takie piosenki — dysponujemy premierowym utworem.

Przypomniałem tutaj zdarzenie sprzed trzech lat, aby zwrócić uwagę na to, że nie zawsze następujące przed lub po piosence nazwiska jej twórców są duetem efemerydą. Częstokroć właśnie przez długotrwałą, nawet długoletnią, współpracę autor z kompozytorem osiąga taką płaszczyznę porozumienia, na której nie ma już jakichkolwiek trudności, niezgodności warsztatowych. Bywa jednak, że twórcy muzyki i tekstu pozostają w absolutnej zgodzie (bo zdarza się czasami nojnormalniejsza ludzka sprzeczka) decydują się na ściślejszą współpracę z innym piosenkowym partnerem, i to także nieraz wychodzi na zdrowie tak polskiej piosence, jak i jej autorom. Inne warunki współpracy, odmienne wzajemne wymagania, specyficznie osobiste podejście do tworzenia sprawiają, że u współtwórców wywołują dotychczas niewykorzystane zasoby inwencji. Wzajemne przystosowywanie się, muzyczne i literackie kompromisy — to wszystko czyni twórców piosenki bardziej elastycznymi w pojmowaniu swej roli. A nierzadko przynosi również naprawdę wspaniałe piosenki.

Kilku moich kolegów po piórze jest zdania, że nie można współpracować na niwie muzyki rozrywkowej z kimś, kogo się — na przykład — nie lubi. Uważam, iż jest w tym chłt przesady. Oczywiście, daleko łatwiej pisać piosenkę z osobą zaprzyjaźnioną, jeśli w dodatku zna się stopień jej wrażliwości estetycznej i upodobania, ale z drugiej strony mogę przytoczyć cały szereg przykładów, kiedy to twórcy piosenki nie znali się zupełnie, nie wiedzieli o sobie nic — świadectwo o nich dawały wyłącznie melodia lub tekst będące propozycją dla autora czy też kompozytora. A jednak w ten sposób również narodziło się kilka przebojów i parę udanych ambitnych utworów (nie chcę być — mimo brzmienia tego zdania — rozgraniczać tych dwóch rzeczy).

Zdarzają się także powroty. Spółka składająca się z autora i kompozytora zawiera współpracę na jakiś czas, by po kilku miesiącach czy nawet latach nawiązać ją od nowa z nie najgorszym skutkiem. Myślę, że i to jest kształtujące dla nas, piszących, bowiem wracamy do współpracy z kimś, do kogo w zakresie twórczej pracy mamy od dawna przekonanie, ale wracamy bogatsi o zdobyte w międzyczasie doświadczenia zawodowe. Poza tym, „firma” — jak napisałem na początku o spółkach autorskich — to w końcu nie żadna „instytucja”, z którą człowiek jest formalnie związany.

Muszę też przyznać się, że tytuł dzisiejszego felietonu nie jest najszcześliwszy. Pod pojęciem spółki autorskiej rozumiem powinniśmy raczej zespół (czyli w praktyce najczęściej duet) osób piszących tekst piosenki lub w najlepszym razie grupę ludzi wspólnie tworzących piosenkę (np. Holland — Dozier — Holland dostarczający przebojów dla murzyńskiej wytwórni płytowej „Tamla Motown” albo też Anderson — Ulvaeus — Anderson mający na swym koncie większość szlagierów z repertuaru grupy ABBA). Przyjmijmy jednak, że — jak się często potocznie mówi — spółka autorska to także autor tekstu i kompozytor piosenki, choć podział ról między nimi jest wyraźny.

Nie będę przypominał o tym, iż bywają również inne spółki — wówczas kiedy to melodia piosenki jest wspólnym dziełem dwóch kompozytorów lub tekst takiego utworu został napisany przez dwóch autorów-literatów. Odnoszę wrażenie, że i ta sytuacja może okazać się, w fazie tworzenia, ciekawa jeśli przywrzeć się jej z bliska. Ale na to już dziś nie starczy miejsca: więc może za dwa tygodnie, bo w następnym numerze autor felietonu znajdzie się w szponach współczesnego rocka.

KRZYSZTOF DĄZEWIECKI

PS. Przed paroma dniami spotkałem znajomego, który od lat z powodzeniem uprawia te samą, o ja, profesję, a równocześnie jest na odpowiedzialnym stanowisku w pewnej instytucji związanej z „branżą”. Jak się okazało, czytał moje wcześniejsze felietony i zauważył, że odkryłem w nich wszystkie tajemnice naszego zawodu. Z pewnością — nie wszystkie, a poza tym — i tu się chyba z moim niedawnym rozmówcą zgadzamy — nie mamy przed społeczeństwem nic do ukrycia (jak głosił jeden z tytułów). Przynajmniej dla mnie ukrywanie czegośkolwiek byłoby raczej obce.

Zona Eytnera, Beata, była — tak samo jak on — ekonomistą. Również syn Konrad wybrał ten zawód, studiował — niestety z nikłymi rezultatami — w Szkole Głównej Handlowej. Tylko córka Elżbieta poszła w innym kierunku: przed rokiem ukończyła medycynę. Zaraz po dyplomie wyszła za mąż i opuściła rodzinny dom. Pierwszą posadę dostała w szpitalu dla dzieci na ulicy Kopernika.

Beata Eytnerowa pracowała od dawna w Centralnym Związku Przemysłu Polskiego, zwanym potocznie „Lewiatanem”. Była to potężna organizacja wielkiego kapitału, wywierająca duży wpływ na politykę państwa — od dwudziestego szóstego roku związana z sanacją. Eytner umieścił tam żonę zaraz na początku swych dobrych lat przy Komendancie. Teraz, choć podupadł na znaczeniu, ciągle był jeszcze dla „Lewiatana” partnerem ważnym, więc liczono się i z żoną. Zarabiała dobrze. Połączone pensje obojga małżonków wystarczały na więcej niż dostatek.

Zmartwieniem rodziny był Konrad. Miał już dwadzieścia cztery lata, studiował od pięciu, lecz do dyplomu przybliżył się w tempie ślimaczym. Gdyby Szkoła Główna Handlowa nie była uczelnia prywatną z najwyższymi w Polsce opłatami, zaś ojciec wiceministrem skarbu, z Konrada jako studenta zapewne by już zrezygnowano z powodu notorycznego nieprzykładania się do nauki. Dla Eytnerów nie był to niestety jedyny kłopot z synem. I nawet nie największy, jeśli mierzyć to przysparzonymi przykrościami. Konrad był po prostu hulaką i utracuszkiem, typowym złotym młodzieńcem.

Eytner zapłacił już wiele długów syna, po które zgłaszali się różnego pokroju wierzyciele. Przed rokiem postanowił nie czynić tego więcej. Jednakże kolejny gość okazał się bezwzględny i zagroził skandalem, który ministerialnej osobistości dobrze nie posłuży. Eytner płacił więc dalej. Twarde rozmowy z synem kończyły się obietnicami poprawy, lecz skutków nie przynosiły.

Od paru dni jakby się coś przelało. Konrad wracał do domu wcześniej, siedział nad podręcznikami, wieczorami nie wychodził. Ta nagła zmiana zaskoczyła Eytnera, gdyż nie potrafił jej skojarzyć z żadną przyczyną. W poprzednich dniach nie było ani rozmowy z synem, mogącej doprowadzić do takiego skutku, ani innych zdarzeń o podobnym wpływie. Podejrzał więc, że jest to chwilowy zryw, spowodowany potrzebą zdania jakiegoś ważnego egzaminu. Może takiego, od którego zależało utrzymanie się w prawach studenta.

Także tego dnia, gdy Eytner o piątej wrócił do domu, Konrad siedział w swym pokoju i uczył się. Aż korciło, by spytać go o powód tej niezwyklej pilności, ale byłoby to prawdopodobnie bledem psychologicznym. Eytner nie mógł się jednak powstrzymać od porozmawiania na ten temat z żoną.

— Co za nagła zmiana w Konradzie? Rozumiesz coś z tego? — Nie — odpowiedziała Beata. — Ale tak wygląda, jakby przydarzyło mu się coś niedobrego.

— Z czego to wnosisz? — Jest jakiś niespokojny. I trochę chyba wystraszony. — Sam niczego nie mów!

— Nie. Zastanawiam się, czy nie spytać go o to wprost. — Mnie też to kusi, ale boję się, żeby czegoś nie popsuć. Zaczekajmy jeszcze. Może sam powie coś takiego, że da się pociągnąć nitkę dalej.

Wyjaśnienie przyszło bez udziału Konrada, tyle że nie od razu całkowicie. Początkowo miało charakter zagadki jeszcze większej, lecz od pierwszej chwili przekreślającej domysły optymistyczne.

Wieczorem zabrzączał ostro dzwonek u drzwi. Eytner otworzył je i ujrzał dwóch cywili, którzy bez pytania okazali mu policyjne legitymacje.

— Do kogo? — spytał Eytner podejrzewając pomyłkę. — Do Konrada Eytnera.

W przedpokoju starszy z mężczyzn okazał nakaz aresztowania Konrada oraz rewizji w mieszkaniu. Eytner był wstrząśnięty, lecz nie dał się ponieść emocji. Dostrzeżony przez Beatę niepokój Konrada i jego zadziwiająca pilność skojarzyły mu się natychmiast z tym prokuratorskim nakazem. Zrozumiał też od razu, że zagranie tu ministerialną legitymacją nie przestraszy funkcjonariuszy policji, może natomiast zaszkodzić. Nie był już Joachinem Eytnerem sprzed kilku lat. Teraz był człowiekiem, którego potknięcia wykorzystuje się.

— Rewizja w całym mieszkaniu czy tylko u syna? — spytał. — Tylko u syna.

Eytner otworzył drzwi do pokoju Konrada. Ten słyszał widać rozmowę, bo stał już zwrócony ku wchodzącym. Na jego twarzy malował się strach. Gdy Eytner chciał się cofnąć od drzwi, starszy z funkcjonariuszy zaprosił go gestem do środka.

— Zechce pan być obecny przy rewizji. — Przeszukanie pokoju poszło szybko, bo rewidujących interesowały tylko papiery, a tych nie było wiele. Konrad jakby się trochę uspokoił; widocznie nie obciążającego w pokoju nie miał. Niczego też funkcjonariusze nie odczytali do zabrania. Starszy wylegitymował Konarada na koniec i oznajmił mu:

— Jest pan aresztowany. Proszę wziąć ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy osobiste.

Beata czekała w przedpokoju. Musiała wszystko słyszeć, bo o nic nie pytała. Konrad znowu był wystraszony, jego uspokojenie okazało się tylko chwilowe. Pożegnał się z rodzicami nie mówiąc.

— Gdzie syn będzie? — spytał Eytner. — Informacje w urzędzie śledczym na Daniłowiczowskiej.

Zostawszy w przedpokoju sami, Eytnerowie stali tam długo chwilę w milczeniu. Potem Beata spytała:

— Domyślasz się, o co może chodzić? — Nie.

— A mógłbyś się dowiedzieć? — Poczekaj, niech się zastanowią. Nie stójmy tutaj jak spalizowani, chodźmy do pokoju.

Eytner myślał intensywnie. Mógłby oczywiście zadzwonić jutro z ministerstwa do naczelnika urzędu śledczego i poprosić o informację. Był zbyt dobrze znany, by mu odmówiono. Rozumiał jednak, że w swej chwilowej sytuacji nie powinien posilkować się stanowiskiem w sprawie rodzinnej, nader niewyraźnej w dodatku. Takie rzeczy najlepiej było załatwiać nieoficjalnie, przez prywatne znajomości albo dyskretnych pośredników. Sam nie miał prywatnych znajomości w policji, ale natychmiast przypomniał mu się Dobięcki. Ten z racji swej służby w kontrwywiadzie musiał — bardziej lub mniej urzędowo — współpracować z Daniłowiczowską. Tam się ludzie szybko nie zmieniają, na pewno coś z dawnych znajomości zostało.

Dochodziła dziesiąta. Na wizytę pora była zbyt późna, ale sprawa przecież wyjątkowa. Przyjaźni z Dobięckim nigdy dotąd nie nadużywał, więc mógł sobie pozwolić przynajmniej na pytanie.

— Zadzwonię do Dobięckiego — oznajmił żonie. — Słusznie — pochwaliła jego zamiar. — To dobra myśl.

Dobięcki był w domu, sam przyjął telefon. Poznawali się po głosie, więc Eytner nie musiał wymieniać nazwiska.

— Słuchaj, Czesław, o której kładziesz się spać? — Późno. A o co chodzi?

— Mógłbym do ciebie zaraz przyjechać? — Dobięcki, jak przystało na człowieka z służb dyskretnych, nie dociekał niczego przez telefon.

— Bardzo proszę — odrzekł. — Czekam.

Przed sąsiednim domem ktoś zwalniał akurat taksówkę. Eytner wsiadł do niej i po niespełna kwadransie dzwonił do mieszkania Dobięckiego na placu Trzech Krzyży. Otworzył Czesław, lecz na powitanie gościa wyszła do przedpokoju i jego żona Barbara. Żadne z nich nie wyraziło zdziwienia późną wizytą. Czesław nie zapytał o jej powód nawet wtedy, gdy znaleźli się we dwóch w jego pokoju. Czekał, aż Eytner sam to powie.

— Pół godziny temu aresztowali mojego syna — oznajmił Eytner.

Dobięcki zdumiał się, co było zrozumiałe. Nic nie wiedział o trybie życia Konrada i kłopotach z nim, bo Eytner nigdy mu się z tego nie zwierzał.

— Kto aresztował? — zapytał po chwili. — Policjanci w cywilnych ubraniach. Była rewizja w pokoju, ale niczego ze sobą nie zabrali. Sprawę prowadzi urząd na Daniłowiczowskiej.

— Która brygada? — Nie wiem. Słuchaj, Czesław, domyślasz się pewnie, dlaczego cię tak późno nadszedł. Czy mógłbyś się dowiedzieć, co to za sprawa? Mnie byłoby niezręcznie...

— Rozumiem... Dobrze, ale już nie dziś. Jutro. — Oczywiście.

Eytner czuł, że byłby nie w porządku, nie mówiąc Dobięckiemu prawdy o Konradzie nawet teraz. Toteż, wyzbywszy się skrepowania, opowiedział mu o kłopotach z synem.

— Mógł zatem potrzebować pieniędzy i wdać się w jakąś aferę — wywnioskował Dobięcki.

— Niestety, mógł — musiał przyznać Eytner.

— Dobrze, dowiem się. Znam naczelnika z Daniłowiczowskiej. Jutro po południu będziesz w domu?

— Tak.

— Zadzwonię i umówimy się.

Następny dzień upływał Eytnerowi bardzo wolno, zaś praca

JERZY JESIONOWSKI

Ojciec i syn

szła opornie. W nocy spał źle, umysł miał przytępiony, a na dodatek myśli nawracały ciągle ku sprawie Konrada. Bał się prawdy, którą przyniesie Dobięcki, lecz jednocześnie pragnął ją poznać jak najprędzej. Wyszedł z ministerstwa o czwartej, by czekać w domu na telefon Czesława.

W mieszkaniu zastał nie tylko żonę, lecz i zawiadomioną już o wczorajszym zdarzeniu córkę. Elżbieta była bardzo krytyczna wobec brata i zawsze miała rodzicom za złe, że tolerują jego tryb życia. Odnosiło się to zwłaszcza do matki, która brała syna w obronę, ilekroć ojciec skłaniał się ku krokom stanowczym. Najdalej idącym był zamiar wyprawienia Konrada do wojska, które miał od paru lat odraczać z powodu studiów. Eytner mógł jednym telefonem uciąć te odroczenia, lecz tu Beata stawała w obronę syna jak lwica. Twierdziła, że przerwa w studiach wytraci go z ich toku.

Teraz obie panie były trochę na siebie nadąsane. Ela pozwoliła sobie na uwagę, że wojsko mniej by jednak zaszkodziło studiom niż więzienie, zaś matka zarzuciła jej niestosowność takich wypowiedzi w chwili nieszczęścia. Eytner też uznał, że nie pora obecnie na tego rodzaju wymówki. Ela nie odpowiedziała mu, lecz zaczęła się zbierać do wyjścia pod pozorem, że jest gdzieś umówiona. Nim jednak wyszła, zatelefonował Dobięcki.

— Przyjechać do ciebie czy ty wpadniesz do mnie? — spytał bez żadnego wstępu.

— Przyjeżdż do mnie — poprosił Eytner.

— Dobrze, zaraz wychodzę z domu.

Ela zmieniła zamiar. Postanowiła zostać, żeby dowiedzieć się, za co aresztowano Konrada. Ustalili jednak, że rozmowę z Dobięckim Eytner odbędzie w cztery oczy, a dopiero potem zda z niej sprawę. Uważali zgodnie, że tak będzie zręczniejsze z względu na dyskretny charakter przysługi.

Dobięcki witając się nie miał dobrej miny, co Eytner odebrał jako złą zapowiedź. Wszedł do pokoju. Obawa wnet się potwierdziła.

— To jest sprawa z obcym wywiadem — oznajmił Dobięcki. — Nie z tych najcięższych, ale jednak taka.

Eytner poczuł w piersi niespokojny trzepot serca. Niczego gorszego nie mógł się spodziewać.

— Nie z najcięższych, to znaczy jaka? — chwycił się tej odrobiny pociechy, jaka wyzierała ze słów Dobięckiego.

— Gospodarza, nie wojskowa. Słuchaj, czy ty i żona rozmawialiście przy synu o waszych sprawach służbowych? Myślenie o wiadomościach z ministerstwa i Lewiatana, nie przeznaczonych do rozpowszechniania.

Takie rozmowy były, przeważnie przy posiłkach. Nie dało się ich uniknąć między trojgiem ludzi, żyjących ekonomiką na co dzień. Małżonkowie rozmawiali po prostu o swej pracy, zaś Konrad brał w tym udział, na tyle bowiem jego wiedzy ze studiów starczyło. W tak ścisłym gronie rodzinnym kryterium tajemnicy służbowej zacieśniało się do bardzo niewielu tematów.

— Owszem, bywały takie rozmowy — potwierdził Eytner. — Powtarzał je komuś z obcego wywiadu?

— Pod tym właśnie zarzutem stoi. Śledztwo prowadzi Daniłowiczowska na zlecenie kontrwywiadu. A sprawę wytrącił PAIH. Ze akurat PAIH, nie dziwi cię chyba.

— Oczywiście, że nie. Od tego ich przecież mamy.

Tajne służby obcych państw, a zwłaszcza Niemiec, od dawna prowadziły penetrację polskiego życia gospodarczego, nie napatykając w tej dziedzinie odpowiednika ani wyspecjalizowanego przeciwdziałania. Dopiero w trzydziestym drugim roku założono z kredytów wojskowych pozornie prywatną firmę pod nazwą Polska Agencja Informacji Handlowej — w skrócie PAIH. Związana z Oddziałem Drugim Sztabu Głównego, prowadziła ona działalność przede wszystkim wewnętrzną: dostarczała wiadomości i opinie o firmach współpracujących z wojskiem oraz informacji o niekorzystnych dla kraju operacjach obcego kapitału w przemyśle. Wykonywała również prace studyjne dla Komitetu Obrony Rzeczypospolitej. Należały do nich — między innymi — okresowe analizy kluczowych gałęzi gospodarki pod kątem obronności kraju oraz jego samowystarczalności. Zajmowała się też oczywiście rozpoznawaniem obcych działań, skierowanych przeciwko polskiej gospodarce. Po trzech latach istnienia agencja miała już pięć filii, dwustu wyspecjalizowanych informatorów stałych oraz cztery i pół tysiąca korespondentów terenowych. Wykonywała przy pomocy tej siatki — na zlecenie Oddziału Drugiego oraz państwowych resortów i instytucji — przeciętnie dwieście siedemdziesiąt zadań wywiadowczych dziennie. Według oceny Od-

działu Drugiego, od trzydziestego siódmego roku agencja zapewniała pełne opanowanie informacyjne terenu, w zakresie swej specjalności naturalnie.

— No więc PAIH zaszyfrował działającego w Warszawie szwajcarskiego dziennikarza, który współpracował z niemieckim wywiadem gospodarczym — relacjonował Dobięcki. — Nie aresztowano go jednak od razu, tylko podjęto obserwację dla rozpoznania kontaktów, które by pasowały do charakteru przekazywanych Niemcom informacji. Podpasował się niestety między innymi twój syn. Zarówno rodzajem wiadomości, które mógł mieć z domu, jak i trybem życia.

— Kiedy aresztowano tego dziennikarza? — spytał Eytner. — Tydzień temu.

Pasowało i to — zaskakująca zmiana w Konradzie i jego niepokój stały się jasne. Dowiedział się po prostu o wpadce swego kontrahenta.

— Czy wskazał Konrada jako współpracownika? — Tego mi nie powiedziano, a ja nie chciałem pytać o szczegóły śledztwa, póki ono trwa.

— Rozumiem... Dziękuję ci za to, czego się dowiedziałeś.

Temat Konrada był w tym stanie rzeczy wyczerpany, zaś Eytner nie czuł się zdolny do rozmowy o czym innym. Było mu gorzko i wstyd za syna, chciał zostać sam. Ale Dobięcki nie zęgnął się jeszcze. Czyżby miał coś więcej do powiedzenia, lecz bał się ranić przyjaciela zbyt boleśnie? Po chwili wyjaśniło się, że nie o to chodzi.

— Dużo zależy teraz od zeznań tego dziennikarza i twojego syna. Jeśli tamten będzie go sypał albo on sam się przyzna, rzecz stanie się nie do odwrócenia.

— A jeśli obaj zaprzeczają? — zainteresował się sugerowaną przez Dobięckiego szansą Eytner.

— Jeśli zaprzeczają, to mógłbym porozmawiać o tym nieco wyżej, w kontrwywiadzie. Znam dobrze człowieka, który będzie to przygotowywał do decyzji.

Szansa rysowała się już wyraźnie, lecz Eytner nie miał odwagi o nic prosić. Na szczęście Dobięcki ciągnął wątek sam.

— Gdyby obaj trzymali się tego, że ich kontakty były wyłącznie towarzyskie, można by uznać, że brak dowodu współpracy wywiadowczej. Ale widzenia z twoim synem, póki trwa śledztwo, załatwić ci nie mogę.

— Oczywiście, nie śmiałbym nawet prosić.

— Ustalmy wobec tego tak: od śledztwa trzymamy się z daleka, ale ja będę nad sprawą czuwał. Jeśli obaj zaprzeczają, postaram się zadziałać tak, jak mówię. Za skutek ręczyć nie mogę, ale pewna szansa jest. Zgoda?

— Cóż ja się tu mogę zgadzać albo nie zgadzać?... Czy to cię jednak na nic nie narazi?

— Powiedziałem: do śledztwa nie będę się wtrącał.

— Wobec tego pozostaje mi tylko podziękować ci za życzliwość.

Dni, które zaczęły upływać po tej rozmowie, targały Eytnera całą gamą uczuć i myśli. Były one różne w treści, lecz jednakże w barwie: wszystkie przykre. Oto jak wychował syna. Przecież to on głównie, a nie matka, był odpowiedzialny za kierowanie nim. Oto w jakiej sytuacji moralnej jest teraz: musi pragnąć, by Konrad i jego wspólnik kłamali w śledztwie. W jak żenujące porozumienie wszedł z Dobięckim, choć obaj wiedzą, że Konrad jest winien. Oto wreszcie boi się o siebie i także dlatego pragnie, żeby winny uszedł karze, a nie został skazany. Bo przecież wtedy dobrano by się również do niego, ojca i źródła sprzedawanych informacji. Jak mógł odpowiedzialny wiceminister papiąć takie rzeczy przy niemal stale zadłużonym, nieodpornym na pokusy hulacu.

W domu nie było rozmów o tym, bo także Beata czuła się zawstydzona sytuacją i wolała milczeć, niż rozdrapywać tę ranę. Oboje czekali niecierpliwie na wiadomość od Dobięckiego, każdy dzwonek telefonu wydawał się sygnałem od niego. Ten właściwy dzwonek zabrzączał dopiero po jedenastu dniach.

— Mogę przyjechać? — spytał Dobięcki.

— Oczywiście — odpowiedział skwapliwie Eytner. — Czekam.

Wiadomość była pomyślna. Zarówno Konrad, jak i Szwajcar nie przyznali się do wywiadowczego charakteru ich kontaktów. W odpowiedziach na pytanie, o czym rozmawiali przy spotkaniach, byli z grubsza zgodni. Widać nie ograniczali się przy tych okazjach do jednej tylko, objętej teraz dochodzeniem, tematyki. Szwajcar mimo to nie będzie zwolniony, gdyż obciążony go inny informator, który załamał się w śledztwie. Konrad natomiast może być z tego wyłączony z braku dostatecznych dowodów. Dobięcki rozmawiał już w tym duchu z referentem sprawy w kontrwywiadzie. Decyzja zapadnie w ciągu paru dni. Dobięcki zakończył swą relację wnioskiem i radą zarazem.

— O ile syna zwolnią, a wierzę, że tak będzie, musisz go za wszelką cenę okiełznać. Następną taką wpadką już by mu berka nie uszła. Powtórność poszlaki i tryb życia byłoby za dużym obciążeniem.

— Ten tryb życia nie wchodzi już w rachubę — odrzekł zdecydowanie Eytner. — Dosyć.

Konrada zwolniono w pięć dni po tej rozmowie. Wróciwszy z ministerstwa Eytner zastał go w mieszkaniu. Konrad był zakłopotany i chyba przestraszony czekającą go rozmową z ojcem. Eytner przywitał się z nim chłodno. Siedli naprzeciwko siebie.

— Co masz do powiedzenia? — spytał Eytner.

— Zwolnili mnie... — wykrztusił Konrad.

— To widzę. Sprawę znam. Pytam, co masz do powiedzenia od siebie.

Konrad przemógł się i odzyskał na chwilę rezon.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi. Przecież uznali, że jestem niewinny.

— Słuchaj, gówniarzu, mówię ci przecież, że sprawę znam. Więc nie syp mi tu piasku w oczy. Słucham.

Konrad pojął już, że wobec ojca stoi na pozycji przegranej. Może nawet odgadł, że swe wyjście na wolność zawdzięcza pomocy z zewnątrz. Spuścił oczy i zamilkł na dłuższą chwilę. Potem, gdy podniósł wzrok, oznajmił:

— Zostałem oszukany... To miały być wiadomości na osobisty użytek dziennikarski, dla orientacji w polskiej rzeczywistości. Nawet nie do druku.

— Nie graj naiwnego. Pieniądze dostawałeś?

— Dostawałem... Niedużo.

— No więc słuchaj uważnie. Nasza cierpliwość, matka i moja, wyczerpała się. Nie będzie już żadnej wyrozumiałości. Aż do dyplomu tylko nauka i nic więcej.

— Tak jest — potwierdził bez ociągania się Konrad.

— Z pieniędzy jedynie kieszonkowe ode mnie. I ostrzegam: przy pierwszym długi albo jakimkolwiek wysoko załatwić ci inną edukację i opiekę. Pójdiesz do wojska. I to nie do podchorążówki, tylko do normalnej służby, jako szeregowiec. Osiem i pół grosza dziennego żołdu. Zobaczysz, może to cię wychowa.

— Nie zaidzie taka potrzeba — zapewnił Konrad.

— Zatem uważaj.

W następnych dniach Konrad sprawował się wzorowo, jak w krótkim okresie przed aresztowaniem. Wracał wcześniej do domu, uczył się. Eytner obserwował to z nadzieją, lecz i niepewnością. Na razie skutkował wstrząs. Co będzie dalej? Czy wola zwyciężyć skłonności i paroletnie nawyki? Gdyby tak się stało, Eytner gotów był uznać dramatyczny epizod ze Szwajcarem za szczęśliwe zrządzenie losu.

Fragment powieści „Nad urwiskiem”, która ukaże się w bieżącym roku w Wydawnictwie MON.

Wieś o podjętym przez Kazimierza Dejmka zamiarze wystawienia na scenie Teatru Polskiego w Warszawie „Wyzwolenia” Stanisława Wyspiańskiego lotem błyskawicy obiegła kręgi miłośników teatru, a zelektryzowała je tym bardziej, że jako dzieło teatralne doskonale wciąż jeszcze żyje w pamięci wielu widzów inscenizacja tego dramatu zrealizowana w krakowskim Starym Teatrze przez Konrada Swinarskiego. Można by oczywiście pokusić się o porównanie obydwu spektakli i być może ktoś teraz albo w przyszłości dokona tego z mniejszą lub bardziej pedantyczną dokładnością zestawiając zarówno poszczególne elementy strukturalne obydwu przedstawień, jak i ich ogólny kształt artystyczny i wyraz emocjonalny. Mnie jednak, choć obydwiema rękami gotowa jestem podpisać się pod wszystkimi słowami już nie tylko uznania, ale i zachwytu dla spektaklu przedwczesnie zmarłego Konrada

wszystkich scen: „Wyzwolenie” ten właśnie nakaz od blisko osiemdziesięciu lat niesie polskiemu teatrowi. Fakt, że akcje swego utworu umieścił Wyspiański na teatralnej scenie każe rozwiać się ostatnim w tej kwestii wątpliwościom. Dramat ma podwójnego adresata. Jest nim w równym stopniu polski teatr, jak i wychowana na wielkim dramacie romantycznym nasza teatralna publiczność, a więc my wszyscy. Teatr, jego roli, zadaniom i formie ich realizacji poświęca Wyspiański znaczną część „Wyzwolenia”. I ten motyw ostrzej eksponował Swinarski. Dejmek z kolei z teatrem, jego formą i odwiecznymi, a wciąż aktualizującymi się prawami sam radzi sobie znakomicie i jego przemyslenia na temat kondycji polskiej sceny, stojących przed nią zadań i sposobów ich realizacji — gdyby tylko zechciał je zwerbaliżować — nie byłoby mniej ciekawe od wszystkich, co mówi o tym Wyspiański. Współczesny twórca tej miary co Dejmek jest zresztą bogatszy od

konieczności selekcji materii dramatu i dokonał jej pod tym właśnie kątem. Nie próbując bynajmniej kameralizować „Wyzwolenia”, a jedynie na najważniejsze jego zdaniem kwestie skierować uwagę widza Dejmek nie urobił niczego z wielkości i odautorskiego rozmachu dzieła. Duży wkład w szlachetny kształt inscenizacji wniósł Andrzej Majewski — autor znakomitej, wiernej literaturze i duchowi tekstu scenografii. Wyraźnie zaznaczona zwłaszcza w plastycznym rysunku postaci linia dzieląca sceniczny świat dramatu na jego martwą i żywą część precyzyjnie oddaje myśl autora i reżysera.

Dzięki Dejmkiowi i Majewskiemu na scenie Teatru Polskiego możemy oglądać inscenizację prostą, skromną, wręcz ascetyczną, a przecież konkretyzującą Stanisława Wyspiańskiego wizję „teatru ogromnego”. Inszenizację wielką. Wobec tego jednak co o „Wyzwoleniu” w Teatrze Polskim zamierzam napisać dalej, zobowiązana czuję się wyjaśnić, iż terminu „inscenizacja” uży-

„Gdybym potrafił to miasto opisać”

MATYLDA GARBOLIŃSKA

Poeta, prozaik, autor sztuk teatralnych i widowisk telewizyjnych, publicysta, krytyk filmowy, należący do tzw. pokolenia 56 — Ernest Bryll odezwał się ponownie w kolejnym tomiku poezji „Sadza”.

„Przeglądając... liczne tomiki poety dochodząmy do wprost zaskakującego stwierdzenia: zadziwia w tej twórczości konsekwentnie powtarzający się kanon myślowy, obracanie się w jednakowej przestrzeni problemów i tematów. W historii literatury polskiej, a nawet światowej, mało jest twórców, którzy osiągnęli sukces polegający na powtarzaniu samego siebie” — pisał Andrzej Nowak w „Marchocię przychryzonym”, (O poezji Ernesta Brylla) zamieszczonym w „Poezji”. Pogląd ten potwierdza się, gdy sięgamy po najnowszy zbiorek, w którym widoczne jest tradycyjne już szyderstwo i ironia w stosunku do zjawisk otaczającego świata. Jakkolwiek bowiem tym razem jest to poetycka próba ukazania życia w mieście, to zawarte są niemal wszystkie elementy charakteryzujące jego dotychczasową twórczość, a więc: pokazywanie życia w jego formach najpospolitszych, surowych, często i odradzających pod względem zarówno moralnym, jak też estetycznym, przeciwstawianie w ogólnie przyjętych kryteriach piękna i brzydoty, zderzanie ze sobą dwu przeciwstawnych pojęć, wreszcie stosowanie brutalizmów, trywializmów, czy wręcz akcentów wyrosłych jeszcze z turpizmu. Z ironią więc i gorzycą gromi Bryll społeczność miejską za gnuśność, bierność, obojętność, cynizm, brutalność, brak tradycyjnie pojętego systemu wartości.

On puknął do drzwi naszych. A my zatajeni
Z zacimnionym oddechem siedzieliśmy w ciszy
I każdy z nas udawał — pukania nie słyszy.

Chcieliśmy mieć choć chwilkę spokoju...
(On puknął do drzwi naszych... str. 28)

Idzie ten chłopiec. Z wierszy się nauczył,
Jak kochać Polskę i w ogóle ludzi.
— I nie ma czego się nad chłopcem smuć,
Trzeba go piąchą do życia obudzić —
I ja to zrobię.
Podzielam tym chłopcom nauki.
Będzie to celne
I dokładne bicie.

(Kantyczka str. 18)

Jednocześnie bohaterowie tomiku, to ludzie targani niepokojem wynikającym głównie z problemów życia codziennego, poszukiwania prawdy, sensu, wartości. Świat przedstawiony jest koszmarnym snem, którego nie można przerwać, bowiem po przebudzeniu trwa on nadal, nie jest odczłowieczony, a raczej kontynuuje to wszystko z czym człowiek ma do czynienia na co dzień, na jawie!

Spią ludzie zacimnionymi rękami
I nie ma we śnie odpocznienia,

(str. 49)

I tyle znów się trzeba przed ranem natrudzić,
Zeby to, cośmy snili o sobie, zniknęło
I z niemej, głuchej nocy spokojnie się zbudzić.
(str. 81)

W tomiku Ernesta Brylla odnajdujemy również najbardziej chyba charakterystyczne dla poezji elementy religijne i egzystencjalne. Jednakże i tym razem pytania postawione na wyższym poziomie otrzymują odpowiedź ironiczną, nieco szyderczą, czy wręcz zaprawioną kpina. Pojawia się bowiem np. stwierdzenie, iż człowiek został stworzony daleki od ideału, lub nawet, że Bóg nałożył na niego zbyt wielkie obowiązki, którym nie jest w stanie podołać. I wreszcie kolejny, najważniejszy temat, o którym nie wolno zapomnieć, to Polska, Polacy i polskosc będący przecież tematem naczelnym całej twórczości tego poety. Naturalnie i tutaj nie brak tej tak znamiennej ironii i cynizmu, jakim przesiąknięty jest cały tomik.

Jadą husarze od pracy z polamanymi
skrzydłami,
Które jak garb ogromny skrywają pod
plaszczami.
Spoconymi palcami trzymają teczki kurczowo,
Jakby w nich trwały zwinięte stawy
chorągwie bojowe.
(Polaków portret własny, str. 83)

Takie pytania
Bołą jak rana
Kto z was odpowie szczerze
Myśmy zmęczeni
Sami nie wiemy
W jaką to Polskę
Wierzyć

(Piosenka kołędników, str. 115)

Poezja Ernesta Brylla jest nieraz brutalna, polemiczna i demaskatorska. We wstępie do „Dramatów i wierszy” (1973) pisał: „Może uda mi się wywalczyć prawo do tego, aby być poetą próbującym i dyskusyjnym obywatelskiej, i liryki — mówiącym o sprawach najbardziej codziennych i mającym choć trochę prawa do innej zadumy”. Poeta niewątpliwie umie szybko obserwować świat, zauważyć i przekazywać zachodzące w nim zjawiska. Jednocześnie jego wizja otaczającej rzeczywistości zawiera w sobie sporą dozę gorzkiej prawdy. A mimo to po przeczytaniu tomiku „Sadza” czuje się pewien niedosyt i zawód, bowiem jakkolwiek omówiono w nim szereg problemów, to całość stanowi wręcz monolit pod względem tematycznym. O tym, że tak się dzieje decyduje chociażby motyw przewodni — sadza, która „przelecia każda szparą”, która „proszy na okna białe, zimne puste”, która jest wreszcie i przede wszystkim brudem nie tylko miast, ale i życia ludzkiego. Składa się na to życie wspomniana już bierność, obojętność, cynizm, bezideowość.

Fakt ten sprawia, iż pod koniec lektury czujemy się znudzeni, zwłaszcza, że wizja świata przedstawionego zaprezentowana przez Brylla jest jednostronna, chociażby ze względu na samo spojrzenie na życie ludzkie. Ponadto chciałoby się odnaleźć dokładniejszą analizę stanów wewnętrznych człowieka, otrzymał bogatszą wiedzę o jego psychice.

Pragnienie takie wydaje się tym bardziej uzasadnione, że mamy do czynienia z tak frapującym tematem, jakim jest życie codzienne w mieście, a ponadto niedosyt poleguje również fakt, że w przypadku tomiku Brylla mamy możliwość obserwować klasyczną wręcz dbałość o wyeksponowanie problemu, tym bardziej więc widoczne jest pominięcie szeregu zagadnień mogących dopełnić wizję świata.

Całość można chyba podsumować stwierdzeniem Andrzeja Lama: „Postawa zajęta przez Brylla ma w sobie coś z przyzwyczajenia. Pełno tu spiskowania, niedopowiedzeń, przebiegłości właściwej komuś kto na razie rezygnuje z podniesienia przybici, czekając na właściwy moment, wielokrotnie przeczuwany i zapowiadany”. (Pamiętnik krytyczny, s. 297).

Ernest Bryll, Sadza, Czytelnik, W-wa 1982, cena 60 zł.

EWA PANKIEWICZ

„Wyzwolenie” dzisiaj

Swinarskiego, takie porównanie wydaje się na dzisiaj mniej ważne od próby odrębnej analizy i oceny obydwu równie znakomych choć jakże odmiennych przedstawień. I to nie tylko dlatego, by były one nieporównalne, ale z tego głównie powodu, że każde z nich powstało w odmiennych warunkach i okolicznościach obiektywnych, w odmiennie wewnętrznej sytuacji politycznej naszego kraju, co w oczywisty sposób każe domyślać się różnych, nawet jeśli bardzo od siebie zbliżonych motywów sięgnięcia po ten akurat utwór, nie mówiąc już o fakcie tak dla całej sprawy istotnym jak odmiennosc osobowości twórczych obydwu wielkich reżyserów. Tu zresztą ujawnia się też pewien szczególny paradoks samego „Wyzwolenia”, jakim jest niewątpliwa wieloaspektowość wiecznej aktualności tego dramatu.

Nadrzędne przesłanie „Wyzwolenia” scalające wszystkie możliwe jego interpretacje najpełniej sformułował sam Wyspiański: „Naród, który chce żyć musi w sobie zniszczyć, to co jest martwe”. Tę nadrzędną myśl eksponował w swoim niezaprzeczalnie wielkim dziele Swinarski. Ale Konrad w twórczej interpretacji Jerzego Treli myślał tą owładnięty był do szaleństwa, a oddaniu narastającego z biegiem akcji scenicznej takiego właśnie stanu ducha i psychiki bohatera służyły, obok działań aktorskich, także rozwiązania sytuacyjne i scenograficzne.

Dejmek — równie jak Swinarski wierny duchowi utworu choć stokroć odważniej, a z wielkim pożytkiem dla percepcji dzieła poczynający sobie z jego tekstem — nie kwestionując bynajmniej słuszności tak sformułowanej przez Wyspiańskiego myśli będącej nieustanną dla nas koniecznością, ostrzej widzi aktualność „Wyzwolenia” w naszym w nim nakazie realizmu politycznego, który zdaniem tego reżysera może mieć u nas ten szczególny walor, ten indywidualny charakter, ten „polski rys”, że nie musi pozostawać w sprzeczności z wewnętrznym żarem i głęboką ekspresją, ani też nie musi oznaczać minimalizmu potrzeb, pragnień, dążeń i celów nadrzędnych.

W programie do spektaklu „Wyzwolenia” nie bez przyczyny znalazła się wypowiedź Ludwika Hieronima Morstina, który w 1947 roku takie wyraził przekonanie: „Trzeba w obecnej chwili wychowywać szerokie warstwy społeczeństwa i młodzież na dziełach tych twórców, którzy uczyli realizmu politycznego i zwalczali frazeologię polityczną. Takim twórcą był w naszej literaturze — Stanisław Wyspiański”. Słowa te nie straciły aktualności. Można nawet powiedzieć, że dziś spotęgowała się ona nadając im rangę i wymiar swoistego i jakże słusznego nakazu dla

Wyspiańskiego o doświadczenie osłumi kolejnych dziesięcioleci naszego teatru. Werbalizować zaś swych przemyslenia nie musi, bo każdy z jego spektakli egzemplifikuje je i konkretyzuje. Nie budzi zatem zdziwienia fakt, iż tę część utworu, która poświęcona jest problemowi formy polskiego teatru i dramatu ogranicza on do niezbędnego minimum wykreślając całe fragmenty tekstu, takie choćby jak wielkie dialogi Konrada z Muzą (z której obecności w dramacie reżyser rezygnuje całkowicie).

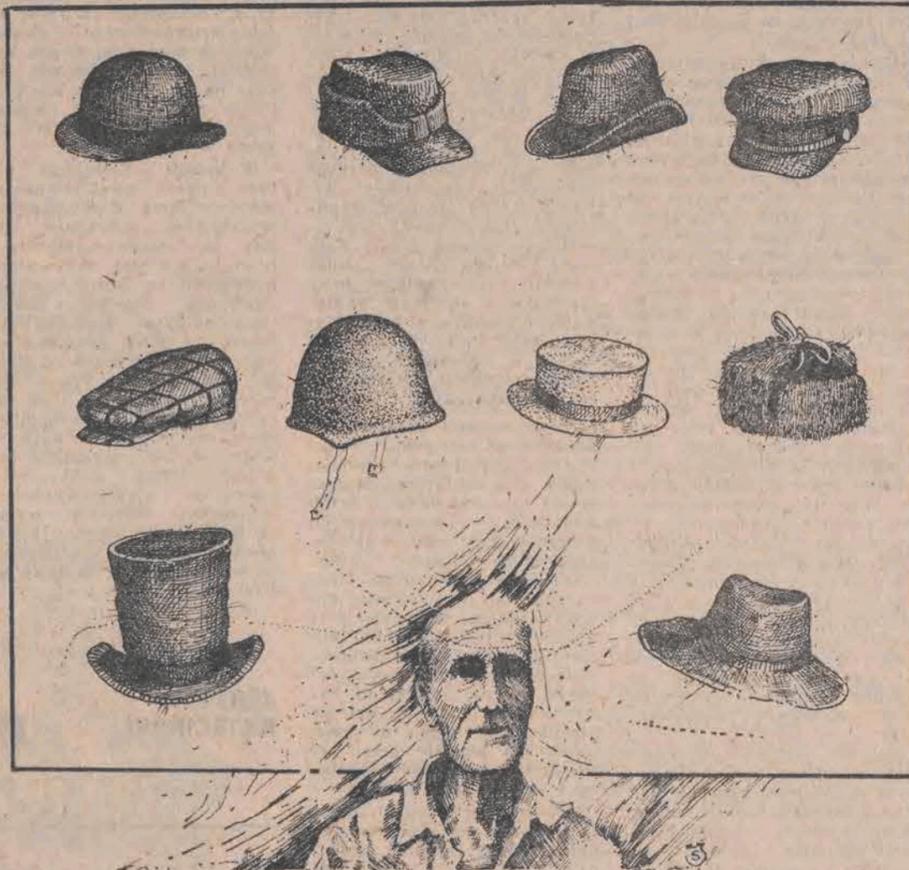
Bardziej niezbędne dla przeprowadzenia głównego wywodu i zobrazowania historyczno-filozoficznej i politycznej myśli przewodniej „Wyzwolenia” jest nadanie Konradowi przez reżysera mocy kreacyjnej, dzięki której przed oczyma publiczności jawi się wspaniały teatralnie, niesłychanie malarski obraz zrywu i tragicznie gorzkiej, mimo iż pięknej, śmierci Podchorążych, obraz którego próżno szukać by w tekście „Wyzwolenia”.

Zmiany kolejności scen i skróty jakich w tekście dokonał Dejmek o zawrót głowy, jeśli nie o zawal serca, przypisać mogą historyków i teoretyków dramatu o orientacji literackiej. Ci zaś, którzy w tekście dzieła dramatycznego widzą zapis wizji scenicznej, czy — jak kto woli — partyturę spektaklu teatralnego wysoko ocenią trud reżysera. Najbardziej „karłowatym” z zadań postawionych sobie przez Dejmka była próba uczynienia z publicystycznego w swym charakterze tekstu literackiego, jakim jest dialog Konrada z Maskami zwartej sceny teatralnej i nasylenie jej tak dużym napięciem dramatycznym, by zelektryzowało ono widza, przykuło jego uwagę i skłoniło do głębokiej refleksji. Wielkie brawa jakim publicysta nagrodziła tę właśnie scenę były najlepszą miarą powodzenia zmysłu reżysera. Słuszność tego zamiaru tym bardziej staje się oczywista, że nader często dawane przez tę samą publiczność dowody jej niemalże szaleńczej pogoni za dorazną, krytyczną aluzją polityczną i próby odnajdywania jej nawet tam, gdzie jest „tylko” postulatowy i konstruktywny, choć istotnie dość ostry głos obywatelski czynią kwestię refleksji problemem najwyższej rangi. Jawi on się bowiem w tym kontekście jako problem świadomości społecznej i politycznej współczesnego widza.

Mnogość problemów poruszonych przez Wyspiańskiego w „Wyzwoleniu” sprawia, że niemal niemożliwe jest skupienie równie silnej i wnikliwej uwagi publiczności na każdym z nich. Zainteresowana kwestią szeroko rozumianej moralności i postawy obywatelskiej oraz problemem odpowiedzialności narodu i władzy wobec kraju i historii ze wszystkimi implikacjami tych zjawisk, stanął Dejmek wobec

wam tu wznaczeniu co prawda najważniejszego, ale jednego tylko elementu strukturalnego tej złożonej i wieloelementowej całości, jaką jest przedstawienie teatralne. W tym przedstawieniu podział na poszczególne tworywa spektaklu teatralnego jest szczególnie wyraźny i widoczny. O ile bowiem inscenizacji „Wyzwolenia” nie waham się określić mianem wielkiej, to tego samego nie mogę niestety powiedzieć o mających ją wypełniać działaniach aktorskich. Mają aktorzy w tym przedstawieniu swoje wspaniałe sceny, ale żadna z ról nie da się określić mianem skończonej doskonałości. Ale takie właśnie doskonałe role winien mieć ten spektakl. Najbliższy wysokiemu progu wydał mi się duet Karmazyna i Hołozya (Mariusz Dmochowski i Ryszard Dembiński), ale o cały stopień niżej (a w tym przypadku i w tej inscenizacji to ogromnie dużo) znalazł się Jan Englert w roli Konrada. Mimo jego fizycznej obecności na scenie cała pierwsza część przedstawienia rozgrywała się w dniu premiery jakby bez jego udziału, co staram się tłumaczyć sobie takim rozkładaniem sił przez aktora, by najwięcej zostało ich na trudną i rzeczywiście znakomicie zagrąganą scenę z Maskami. Takie usprawiedliwienie i tak nierówna gospodarka siłą dramatycznego wyrazu nie wydają mi się jednak stosowne wobec wielkości i znaczenia całej roli, wobec jej ciężaru gatunkowego i dramatycznego interesujące — choć podobne wzbudziły we mnie zastrzeżenia — wydały mi się role Starożytności i Reżysera, w których wystąpili Zdzisław Mrożewski i Jan Matyjaszkiewicz. Wielką kreację mogłaby wpisać na swoje konto Halina Mikołajaska kreując Hestię. Znakomita w postawie, ruchu, geście i mimice operuje ona jednak taką manierą dykcji, która zaciera brzmienie i sens ważnego tekstu kreowanej przez artystkę roli.

Przedstawienie „Wyzwolenia”, które stało się wydarzeniem minionego sezonu teatralnego, wbrew obyczajom i zasadom naszej redakcji omawiam dwa miesiące po jego premierze. Skłonił mnie do tego fakt, iż odbyła się ona w sezonie urlopowym. Dziś, na progu nowego sezonu teatralnego, który Teatr Polski z całą pewnością otworzy tym właśnie spektaklem szczerze zachęcam do jego obejrzenia wszystkich, którzy w najbliższym czasie będą w stolicy i tych, którzy chcieliby zobaczyć dobre przedstawienie. Wypada przy okazji ubolewać jedynie, że w Łodzi o takie spektakle było ostatnio trudno. Może w nadchodzącym sezonie...



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Dość niezwykle były koleje życia i zawile ścieżki twórczości młodego Ili Erenburga, bez porównania mniej dziś znane, niż okres jego dojrzałego i niejako „ustatkowanego” piarstwa. W owych wczesnych latach, gdy już po raz drugi zamieszkiwał na zachodzie Europy (pierwszy raz wyjechał z Rosji za czasów carskich), powstał szereg głośniejszych utworów, wyrażających zarówno zjadliwą krytykę stosunków społecznych świata kapitalistycznego, jak i sceptycyzm wobec socjalistycznej rewolucji, co nie przeszkadza mu współpracować z radziecką prasą. Powstają wtedy w Paryżu m.in. „Julio Jurenito”, „Trzyście fajok”, powieść satyryczno-futurologiczną pt. „Trust D.E.”, z podtytułem

„Dzieje zagłady Europy”. Utwory tego okresu i tego nurtu, uwienczone „Lejzorkiem Rojtszwajcem” tłumaczone na wiele języków, wydano je też w Polsce. „Trust D.E.” jest powieścią na owe czasy (1923 r.) nowatorską formalnie, autor bardzo swobodnie poczynił sobie z chronologią wydarzeń, a w toku narracji, utrzymanej w stylu sensacyjnych doniesień prasowych, „włamane” zostają w ramki tekstu depesz, komunikatów, raportów.

Z lat młodości Science Fiction

3

Spisek przeciwko Europie

„Dzieje zagłady Europy”. Utwory tego okresu i tego nurtu, uwienczone „Lejzorkiem Rojtszwajcem” tłumaczone na wiele języków, wydano je też w Polsce.

„Trust D.E.” jest powieścią na owe czasy (1923 r.) nowatorską formalnie, autor bardzo swobodnie poczynił sobie z chronologią wydarzeń, a w toku narracji, utrzymanej w stylu sensacyjnych doniesień prasowych, „włamane” zostają w ramki tekstu depesz, komunikatów, raportów.

Akcja rozpoczyna się w 1927 r., a jej miejscem są początkowo Stany Zjednoczone Ameryki. Oddzielona oceanem i egzotyka dla Amerykanów Europy, gnębiona kryzysami gospodarczymi, wstrząsami społecznymi i lokalnymi wojnami, nie cieszy się sympatią amerykańskiego społeczeństwa, a zwłaszcza kół wielkiego biznesu. W dodatku stary kontynent jest siedliskiem demoralizujących przemiatów, wydzieranych przez anarchiczne idee, przez literaturę i sztukę, a zdegenerowani moralnie mieszkańcy holdują psychopatycznym uczuciom romantycznej miłości. Wprawdzie daleko to od cywilizowanej, nowoczesnej Ameryki, ale psuje krew i zakłóca trawienie.

Gdy więc pewnego dnia mr Twift, „król” konserw miesnych dla których nie znajduje zbytu właśnie w odrzucającej Europie, otrzymuje piśmienną ofertę przystąpienia do nowo powstałego „Trustu Zniszczenia Europy” („Destruction of Europe”) — ślad „Trust D.E.” doznaje ośnienia połączonego z ulgą: to jest to, o czym skrycie marzył. Niezwłocznie przyjmuje szefa Trustu, niejakiego Jana Boota i zostaje pierwszym akcjonariuszem, pozyskany dla śmiałego przedsięwzięcia, nie interesując się bliżej, kto zechce ów Jan Boot. Za to my dowiadujemy się od narratora powieści, czyli od historyka odtwarzającego owe wydarzenia w kilkadziesiąt lat później (po roku 2000), że był to międzyrodzowy awanturnik, nieślubny syn holenderskiej wieśniaczki i jakiegoś podupadłego księcia, akrobata cyrkowy, obieżyświat, kosmopolita bez narodowości, mieniący się „europejczykiem”, który za młodu komunizował, walczył nawet w szeregach Budiennego, ale tylko z nienawiści do „gnień Europy” z jej kulturą, obyczajem, konwenansami.

Bohater, ciesząc się podziwem narratora (co z ironicznym dystansem traktowane jest przez autora), wdaje się w rozmaite afery — finansowe, matrymonialne, dorabia się majątku i hulaszko go trwoni, aż wreszcie, odrzucony przez upragnioną kobietę, zapragnie wziąć odwet na świecie, w którym wzrósł, stanie się prorokiem niszycielskiej idei. Wkrótce po mr Twificie znaj-

szej wojny — Francja, a pierwszym obiektem agresji stają się, miotane niepokojami społecznymi i skłaniające się ku rewolucji Niemcy. Najnowocześniejsze bronie, sfinansowane i wynalezione dzięki trustowi, zmieniają niemiecką krajinę w „pustynię środkowo-europejską”

W kolejnych latach, etap po etapie, odbywa się niszczenie innych krajów przez ich wzajemne antagonizowanie, czemu sprzyja kwitująca w nich korupcja i słabość parlamentarizmu. Łatwe pole do działania dla zakamuflowanych europejskich filii trustu, pod postacią rozmaitych, rzekomo rodzimych towarzystw i ruchów społeczno-politycznych.

Ciekawe i dla ówczesnej postawy Erenburga znamienne, że pomimo krytycznego stosunku do niektórych poczynań władzy radzieckiej jego katastroficzna wizja jakby cofa się przed całkowitym zniszczeniem pierwszego kraju socjalizmu, stanowiącego przeciwieństwo ojczyzny pisarza. Dzięki reformom organizacyjno-administracyjnym, przeprowadzonym (jak przewiduje autor) w końcu lat dwudziestych oraz dzięki zagospodarowaniu bogactw Syberii, Kraj Rad znajduje się na progu rozkwitu. Wprawdzie inspirowana i wspierana przez Francję koalicja z udziałem Polski i Rumunii napada na Rosję i pustoszy zachodnie prowincje kraju, ale rosyjskie masy ludowe w spontanicznym porwywie przepędzają napastników i idocierają aż do „niemieckiej pustyni”. Mamy nawet taki i-dyliczny obrazek z ulic Krakowa, którego ulicami „spacerowali krasnoarmiejcy, baby riazzańskie w chustkach nagłowach, czeladnicy z harmoniami, piękne Polki, Tatarzy kazańscy w jaskrawych jarmułkach, długowłosej artystki polskiej i pejzsa cadyki”.

Niewyczerpana pomysłowość Boota dostarcza jednak Francji, spełniającej nadal nieświdomie rolę militarnego taranu, nowej broni w postaci bomb lotniczych, rozsiewających śmiertelne bakterie, od czego ginie ludność całego wschodu Europy aż po Ural, co oznacza, iż zniszczone zostały jedynie zachodnie prowincje kraju, z których ludność już wcześniej wyemigrowała masowo, aby zagospodarować Syberię, bo taki np. Petersburg już dawno „stał się zapadłą, drugorzędna miejscina, zaludniona głównie przez archeologów, inwalidów rewolucji i sędziwe baletnice”.

Z kolei macki trustu sięgają w 1930 r. do konserwatywnej Wielkiej Brytanii, doskonale prosperującej dzięki niszczeniu konkurenta niemieckiego i nowym rynkom zbytu, a do niedawna także „ek-sportowi noży i kos do Rosji”. Amerykański trust wywołuje w Wielkiej Brytanii sztuczny

krach gospodarczy, co doprowadza kraj do takiego głodu, iż nawet dystyngowani lordowie — po zjedzeniu swoich stadnin i rasowych psiarń — zaczynają pożerać się wzajemnie. Upadek kolonialnej metropolii pociąga za sobą uniezależnienie się i rozwój nowych mocarstw, jak Australia i Nowa Zelandia, Kanada, Południowa Afryka, Indie...

Dzieła zniszczenia Europy dopełnia likwidacja ślepego narzędzia amerykańskich Francji, która ma paść ofiarą wynalezionych i rozprowadzanych przez trust tabletek podniecających seksualnie, ale wywołujących przyzwyczajenie, i w efekcie całkowita bezpłodność. Był to zresztą dobry business, a przy tym wierny

sojusznik zastąpił sobie na potraktowanie humanitarne. Wprawdzie niewiedząca lewica francuska organizuje jeszcze powstanie zbrojne, ale z jej formacjami rozprawiają się łatwo środki konwencjonalne, użyte przez prawowitą władzę; w bratobójczej walce giną jednak prawie wszyscy Francuzi, a ci co przeżyli dziczej, popadają w obłąd.

Jan Boot mógł być dumny ze swojego dzieła, choć, prawdę mówiąc, „dał jedynie impuls europejskiemu do wykonania tego, co tak czy owak uczyniliby za lat sto. Skrócił agonie Europy” — tak brami ironiczny komentarz.

Nasz bohater nie czuje jednak zadowolenia z dzieła, którego dokonał, mimo sowitego wynagrodzenia zaproponowanego mu przez wysokich protektorów, przemysłowców nad planem skolonizowania byłej Europy, ku chwale i pomyślności amerykańskiej ojczyzny. Jan Boot nie jest szczęśliwy, ponieważ w związku z pewnymi perypetiami natury osobistej i coraz natarciwyszymi wspomnieniami z młodości zaczyna podlegać sentymentalnym nastrojom i po prostu tęsknić za wszystkim, co symbolizowała Europa, za jej niepowtarzalnym urokiem. Wyrusza więc sam, swoim samolotem przez Atlantyk, lądując na europejskiej pustyni i pieszo pielgrzymuje śladami pogardzonych wspomnień. Umiera w roku 1940.

W książce Erenburga nie brak opisu i nawet mechanizmów działania domniemyanych wynalazków przyszłości, ale cała ta naukowo-techniczna futurologia jest oczywistym pretekstem czy nieuniknionym sztafżem. Powieść można chyba odczytać jako obawę i przestroję przed skutkami odejścia od europejskich źródeł humanizmu. Pisarz, jak wiadomo, wrócił na stałe do rodzinnego kraju, do najbliższego mu miejsca w Europie. Godzi się też przypomnieć jego antywojenną publicystykę przeciwko niebezpieczeństwu atomowemu, grożącemu zagładą bezcennych wartości europejskiej wspólnoty kulturowej — od Zatoki Biskajskiej po Ural.

JERZY KWIECIŃSKI

Ilija Erenburg: „Trust D. E. Dzieje Zagłady Europy”, z upoważnienia autora przełożył Ferdani. Wydawnictwo E. Wende i spółka, Warszawa, ss 240.
PS. W którym roku ukazał się polski przekład? Czy Ferdani, to czyj pseudonim? Może ktoś odpowie...

Wyboistej drogi!

Sądze, że wypada się wytłumaczyć i to aż trzykrotnie.

Przed wszystkim wobec tych Czytelników, a i Autorów drukujących w „Odgłosach”, którzy sądzą, iż pismu społeczno-kulturalnemu mało poważną fantastyką zajmować się właściwie nie godzi. Uparcie jestem odmiennego zdania. Powtórzę to, co już pisałem: jak wynika z badań fantastyki interesuje się przede wszystkim młodsze pokolenie mężczyzn o wyraźnych zainteresowaniach technicznych. Jej odbiorcy to uczniowie, studenci, inżynierowie, ludzie zawodowo aktywni, czynni, często jednak pism o pewnych literackich ambicjach w ogóle nie biorący do ręki. Jeżeli poprzez Science Fiction „Odgłosy” trafią również do tych czytelników, będzie to dla nas dużym i cennym sukcesem.

Zarazem nie przypadkiem w swoim cyklu „Z lat młodości Science Fiction” Jerzy Kwieciński wspomina książki pisarzy tej miary, jak Słonimski, Winawer czy Erenburg, którzy gdzieś kiedyś zapuścili się w kuszące rejony fantastyki, aby spróbować owej „przygody ludzi myślących”, że raz jeszcze Lema zacytuje. Nazwiska te — a i wiele innych, nie mniej świetnych — niechaj będą dla nas puklerzem.

Zaczynając flirt z fantastyką wierzyliśmy też, że wcześniej czy później ktoś do nas zapuka, zechce wspólnie tę niekoniecznie białą zabawę podjąć. Większość literackich dróg wiedzie wprawdzie z Łodzi do Warszawy, tym razem stało się wszakże odmiennie i jako pierwsi — zresztą, jak dotąd, niemal jedyni — zgłosili się przedstawiciele stołecznej SFAN-CLUBU. Po zawarciu bliższej znajomości im przeto zaproponowaliśmy współredakcję tej kolumny.

Słowo WSPÓLREDAKCJA — ostrożne i powściągliwe — wprowadziliśmy dlatego po prostu, żeby zaznaczyć, że „Odgłosy” ani się od odpowiedzialności za zawartość kolumny odżegnywać nie chcą, ani też — w pierwszym okresie zwłaszcza — nie mogą obiecać, że nigdy nie skorzystają z własnych, redakcyjnych piór i zawsze będą z opiniami SFAN-CLUBU zgodne. Nazwiska członków redakcyjnego zespołu pomieszczone są w tak zwanej stopce na stronie drugiej, łatwo więc sprawdzić, kto i co pisał.

Wreszcie wyjaśnienie ostatnie. Jeśli miłośnik SZEROKIEJ życzę najczęściej bardzo jeszcze młodym warszawskim kolegom WYBOISTEJ drogi, to w przekonaniu, że w literaturze w ogóle nie warto próbować łatwych, wysafaltowanych dróg. A gdybyśmy kiedyś próbowali się wdzierać aż na szczyty, to i wyboje się nawet skończy, wysoko w górę prowadzi bowiem dzika, wciąż jeszcze nie przetrata ścieżka.

Zyczeli dla debiutantów będziemy zarazem — mam nadzieję, że wspólnie — przy każdej kolejnej próbie żądać od autorów wciąż więcej i więcej. Być może zaczniemy się spierać, kłócić nawet, wygłaszać polemiczne sądy i publikować kontrowersyjne teksty, jeżeli jednak z tych sporów wyniknie coś ciekawego, odkrywczego, wartego uwagi — to czas i trud nie pójdą na marne.

JERZY PANASEWICZ

Kosmostworki ANDRZEJA BIEDRZYCKIEGO



Nibysmokownik olbrzymi — Pseudodraconia gigantea

Nasze spotkania z fantastyką na łamach „Odgłosów” datują się już od maja, i niemal od samego początku SFAN-Club, w miarę swoich możliwości, starał się współpracować z redakcją, aż wreszcie spotkał się z propozycją objęcia współredakcji całych dwóch kolumn, to jest jednej ósmego czasopisma. Ale, jak zwykle w takich przypadkach, jest tu pewne „ale”...

Otóż, co to właściwie jest fantastyka. Prezentujemy tu i mam nadzieję będziemy prezentowali różne, bardziej lub mniej udane utwory, za każdym razem stwierdzając: „To jest fantastyka”. Jakim prawem? Jakie kryteria decydują o zakwalifikowaniu utworu do fantastyki?

Jurij Kagarlicki w swojej książce „Co to jest fantastyka naukowa” (Wydanie polskie „Iskry”, Warszawa 1977) stara się jedynie w sposób rzeczowy, konkretny i udokumentowany odpowiednio (na 500 stronach!) prawidłowo postawić pytanie „Co to jest fantastyka naukowa”. Ma to stanowić dopiero podstawę do dyskusji. A fantastyka nienaukowa? Taka też istnieje.

Posługuję się fragmentem opowiadania A. Szalimowa. Jego bohaterem jest młody redaktor w pewnym wydawnictwie:

„(...) Kiedy w dziale fantastyki zwarlował jeden

Co to właściwie jest fantastyka

ze starszych redaktorów po nieopatrzonym przeczytaniu kilku pod rząd rekwizytów, Flipsa przeniesiono do działu fantastyki. (...) Fantastyka slynela jako zafana galaz literatury. Zdaniem krytyków literackich, zajmowanie się tak niepoważnym gatunkiem bylo ponizej ich godnosc. Nikt jeszcze nie wynalazl teorii i nie wymyslil historii literatury fantastycznej: Flips postanowil te luky wypelnic jak najlepszej. Przeanalizowal wiece przedo wszystkim historyczne korzenie fantastyki i przekonujaco udowodnil jej boskie pochodzenie. Pierwszym fantasta okazal sie Pan Bog. Zdaniem Flipsa, Bog wstapil na droge fantastyki w momencie, gdy zamyslil stworzyc raj na ziemi. Po nim pojawili sie nastepni fantasci: prorocy i apostołowie, mecenarzy i swieci, wędrowni trubadury, stygmatyzy, bajzary, uozeni, dziennikarzy, pisarzy...

Kiedy Flips doszedl do polowy XIX wieku, zalezal mglicie podejrzewac, ze w tak zwanej sztuce slowa mowionego i pisanego, w ogole nie — przez fantastyki — nie istnieje. Analiza literatury XX wieku ostatecznie przekonala Flipsa, ze fantastyka, to powszechna forma literatury. W takiej czy innej postaci, fantastyka istnieje w kazdym dziele dowolnego gatunku: we wszystkich powiesciach, cyklach opowiadani i opowiadaniach, poematach, podrecznikach, zbiorach zadań, w kazdej monografii, teorii i hipotezie, w kazdym artykule i notatce gazety, w kazdej ustnej wypowiedzi na kazdy prawie temat.

Flips sam byl oszolomiony swoim odkryciem. Spodzivil stos unozonych artykulow, w ktorzych szczegolowo uzasadnil najwazniejsze wnioski swojej teorii. Pierwszy z nich sformulowal tak: fantastyka to powszechna metoda literatury. Mozna to bylo udowodnic genialnie prosto: zanim cokolwiek sie powie czy napisze, trzeba pomyslic. Kiedy jednak czlowiek myslil, to automatycznie wymyslil. Czlowiek nie wymyslil nic moze, jest to bowiem jego dar przyrodzony. Skoro wiece czlowiek myslil i wymyslil, to znaczy, ze jest on juz na drodze fantastyki. Jest fantasta...

Przezrazam — sprzeciwiali sie Flipsowi niektorzy oponenci — przeciez nie zawsze ma to miejsce. Czesto gesto mowi sie i pisze bezmyslnie! I co wtedy?

Flips byl na tyle obiektywny, ze nie mogl sie nie zgodzic.

Uwaga moich szanownych kolegow jest slusna — stwierdzil w nastepnym artykule. — Ale ta wlasnie uwaga daje klucz do podstawowej klasyfikacji literatury... Co otrzymujemy, kiedy piszemy bezmyslnie? Bzdury. A wiec cala swiatowa literatura nalezy podzielic na dwa zasadnicze rodzaje: fantastyke i bzdure. (...)

Flips ze zdziwieniem stwierdzil, ze tematyka dzialu w ktorym obecnie pracuje, siega korzeniami w oba odkryte przezoń, podstawowe kierunki w literaturze. I wtedy Flips pospieszil sformulowac swój trzeci slawny wniosek: we wspolczesnej naukowej i nienaukowej literaturze fantastycznej, fantastyka i bzdura tak ciasno sie przeplataja, iz nie ma praktycznie zadnej moilosci ich oddzielenia od siebie; splenie to stanowi czynnik pozytywny, pozwala bowiem na tworzenie oddziaływanie obu tych kierunkow na siebie. (...)

Sądze, że powyższy, przyznam, iż nieco przydługi, cytat całkowicie i ostatecznie rozwiązują ten odwieczny (niemal) problem. Przyjmując tak szerokie ramy naszych zainteresowań, z przyjemnością stwierdzam, że nic nas w pisaniu nie ogranicza i już z czystym sumieniem, nie bojąc się uwiedzenia w „getcie”, możemy zabrać się do pisania. Zapraszamy zatem wszystkich chętnych. Piszcie fantastykę i o fantastyce. Przesyłajcie swoje utwory fantastyczne. Jeśli nie będzie dla nich miejsca na tej kolumnie, spróbujemy podrzucić coś kuzynowi agenta. Po pijanemu może jakoś je strawi i po znajomości da do druku. A ponieważ wolność przekonała mamy zagwarantowana konstytucyjnie, moście, drodzy czytelnicy, piśać wprost do redakcji bądź też (również wprost) na adres SFAN-CLUBU: Warszawa, Al. Jerozolimskie 2, Groteka, Czekamy.

DARIUSZ MILERSKI

Tu, w wąwozach metalowych gór było ciemno, cicho i trochę strasznie. To, co grzmiało przy startach, przesyłało przestrzeń, osmała skały dalekich planet, teraz rozpadało się w milczeniu. Zwalonymi dźwigarami zewsząd wychylały się kadłuby rakiet dawno już skreślonych z inwentarza. Wyżej, pod gwiazdzistym niebem majaczyły kopuły kutrów desantowych i ukośnie sterczały wieże mezonowców. Pachniało kurzem, rdzą i starością.

Pod nogą coś brzęknęło i chłopiec odskoczył. Wtedy z kupy złomu wysunęło się giętkie ramie, na końcu którego znajdowało się słabo świecące oko jakiegoś automatu. Posłusznie swojemu podstawowemu oprogramowaniu skierowało się na chłopca.

— A kysz — cicho powiedział. — Schowaj się...
Oko ani myślało się skryć. Robiło to, co zgodnie z programem było jego obowiązkiem, co robiło zawsze i na wszystkich planetach: poznawało obiekt i informowało swój, być może już rozsypany się mózg o tym, co widzi.

Półzycie. Oto czym było to wszystko. Kwantowym i elektro-nowym, zapomnianym półzyciem tłącym się jak żar w popiele. Chłopiec w gruncie rzeczy nie bardzo wiedział co go tu przyswiodło. Każda technika, której dni minęły, była dla chłopców pociągająca. A już kosmiczna...

Ale to nie wyjaśniało dlaczego przyszedł tu nocą. I dlaczego nie zaświecił latarki, którą trzymał w ręku.

Wśród dzieci chodziły o tym miejscu różne słuchy...
Przebieg zagradzały złamane kleszcze manipulatora. Chłopiec przelał przez nie, zrobił krok i niespodziewane uczucie strachu sprawiło, że zamarkł: w ślepych zaułku spokojnie, tajemniczo i jasno płonęła ogromna świeca.

Z całych sił zacisnął powieki. Serce podeszło mu do gardła i od jego szalonych uderzeń po ciele rozlała się obezwładniająca słabość.

Przewycieczając strach odrobinę odemknął powieki i omal nie krzyknął na widok czarnego ogarka i okrągłego, spokojnego języka płomienia w nieruchomym powietrzu.

Nowy strach nie trwał jednak długo i kiedy minął, i chłopiec zobaczył czym była ta „świeczka” — wstyd i uczucie ulgi sprawiło, że omal się nie rozplakał. Zeby tak się pomylił! W prześwit zaułku zaglądał księżyc w pełni, którego pomarańczowa tarcza jakimś przypadkowym kaprysem, jak na podstawie, usadowiła się na wprost końca pionowo, samotnie sterczącej belki, co spowodowało, że w rozpalonej wyobraźni chłopca wszystko to przyjęło postać tajemniczo płonącej świecy.

Jakby rozprawiając się ze swoim upokarzającym przerażeniem chłopiec podniósł i ze złością cisnął w kierunku obojętnego dysku księżycy ciężki kawałek żelaza. Wleciał on w jakąś wyrwę i tam zgrzytnął o metal. Wokół zadzwoniło echo. Wszystko wtedy znów znalazło się na swoich miejscach. To był tylko cmentarz. Ogromne, zachwycające, zagadkowe nocą, a jednak mimo wszystko zwyczajne składowisko starych statków i pojazdów.

Chłopiec zapalił latarkę i już na spokojnie powiódł promieniem po ziemi, gdzie w zeschniętym błocie poniewierzały się części rozbitych przyrządów i wiele różnych nieznanych elementów. Na tyle nieznanymi, że nie można było wytrzymał, by nie podnieść kogoś z nich. Wkrótce kieszonka chłopca zaczęła odstawiać i zaciążyła.

Czyżby po to właśnie tu przyszedł?
Omijał jedną stertę złomu za drugą i wciąż nie się nie działo. Nawet nie będzie o czym opowiadać. Przecież nie opowie o tym, jak przestraszył się księżycy. Albo o tym, jak patrzyło na niego oko automatu. Myślałby kto, niezwykła rzecz — automat...

Nie opadał na ziemi coś błysnęło jak zmetniałe lusterko. Kałuża jakiejś ciemnej cieczy. Na wszelki wypadek chłopiec trzasnął bransoletką z radiometrem. Rzecz jasna, przed wysłaniem na pustynię aktywne paliwo łąsuwano z silników. Ale istnieje przecież promieniowanie wtórne. Jakies gwałtowne ochłodzenie w zupełności wystarczy, by spowodować przeciek.

Bransoletka była w zupełnym porządku, a jednak nie dawała sygnału — to znaczy, że na ziemię wyciekał smar lub coś podobnego.

Eh! Z dziesiątki nie nadających się do lotu statków, kto wie, może dąłoby się skompletować jeden latający i choć do szesnastu lat pilotowanie jest zabronione, odrobinę, troszeczkę, po elchu, zimnym ciągnięciem... Ale bez paliwa nie, ma nawet co o tym marzyć. A zresztą wiały statków przed odstawieniem tu zamykali na glucho.

Chłopiec poświęcił w górę. Promień zanurzał się w ciemne wytwy, wylawiając sferyczne powierzchnie, segmenty całe, w płamach zgorzeliń, owrzodziały zębra, poszarpane czony podpór, płatiny kabli, a może pogiętych anten? Wśród ruchomych, dzwacznych cieni iskierek światła błyskały kryształki jakichś wskaźników. Gdzieślegdzie dawały się rozpoznać na wpół zatarte lub osmalone nazwy dawnych okrętów i kutrów: „ASTROGATOR”, „NIEZWYCIEŻONY”, „TYCHO DE BRACHE”, „MEDIATOR”. Wszystko to było czekającym na przetopienie chaosem.

W kolejnym zaułku chłopiec odkrył wieżę mezonowca, ciężko wspartą na stercie skorodowanego złomu, a jednak wciąż jeszcze zgrabną. Statek, uniósłszy podpory, stał na niebezpiecznym postumencie własnego kadłuba i wydawał się być całutki. W tym zresztą nie było nic dziwnego. Trafiały tu nie tylko zmurowane, ale po prostu przestarzałe pojazdy.

Chłopiec obszedł mezonowca wokół patrząc nań z pomieszzanymi uczuciami szacunku i żalu. Stary, teraz już takie nie latają.

Raptem chłopiec drgnął i o mało nie zgubił latarki. Sama z siebie otworzyła się kłapa wjazdu, a w dół, jakby za sprawą czarów, ześlizgnęła się platforma windy. Z otwartymi ustami chłopiec patrzył na te wszystkie cuda i góry martwej techniki dookoła na mgnienie oka wydały mu się bastionami czarodziejskiego zamku gdzie wszystko tylko pozornie jest uspięte.

Ale niemal od razu chłopiec zdał sobie sprawę, że w postępowaniu statku nie ma niczego niezwykłego. Nikt nie rozłączał — nie było to potrzebne — wszystkich homeostatycznych obwodów i coś zadziało w statku jak odruch. Zareagowało czy to na światło latarki, czy to na samą obecność człowieka. Zagadkowy i dziwaczny odruch ale kto je tam wie, to półzycie.

Platforma dotknęła metalowego stosu na dole i zamarkła. Nie było nad czym długo się zastanawiać i chłopiec zaczął wlaźć na kupa złomu, przesłizgując się jak jaszczurka między masywnymi szcztakami. W milczącej zgodzie z głębi wieków przyklaskiwali mu wszyscy chłopcy na świecie, tacy jak on, nieposkromieni badacze.

Platforma lewo zajął na niej miejsce, z lekkim zgrzytaniem zaczęła ślizgać się w górę. Gdy znalazł się przy wlaźcie, w twarz wionął mu nocny wietrzyk. Księżyc, w czasie gdy chłopiec spacerował i zbierał żelastwo, zdążył wznieść się wyżej i pobieść. Teraz jego światło srebrzysto szczyty jakby skalistych lodowców nad głębinami szczelin. Chłopcu aż zaparło dech w piersiach niezwykle piękno pejzażu.

Tak, nocą wszystko było tu zupełnie inne niż w dzień. W służbie, ledwo wszedł, zapaliło się światło.

— Należy mi się dezynfekcja — poważnie powiedział chłopiec. — Szuszenie. Przecież może być z obcej planety...

Odpowiedź nie nastąpiła. Chłopiec pchnął wewnętrzną przesłone. Rozsunęła się i przepuściła go.

Korytarz był pusty i niemy. Chłopiec nie wiadomo po co wspiął się na balce i wstrzymał oddech. Opanował jednak zdenerwowanie i przeszedł obok szeregu drzwi, na których zachowały się jeszcze tabliczki z nazwiskami członków załogi. Przeszedł obok komór, gdzie powinny znajdować się skafandry. Były tam i teraz — najwidoczniej zdążyły się zestarzeć wraz ze statkiem. W spektrolitowej bani helmu odbijała się zniekształcona twarz chłopca. Co za bogactwo! Ale teraz nawet o tym nie

pomyślał. Pewny siebie, już jak gospodarz, wszedł po kręconych schodach na górę.

Sterownia, gdzie tu powinna być sterownia. Chłopiec doskonale orientował się w budowie statków kosmicznych i nie tracił czasu na poszukiwania. Drzwi sterowni poddały się.

Wszedł i usiadł w fotelu kapitana. Z trzech lamp pod sufitem paliła się tylko jedna. Szklane wskaźniki pokryte były kurzem. Na najbliższym napisał swoje imię: „Kiryi”. Pulpit z niezliczonymi klawiszami, przelącownikami, regulatorami, bezlikiem ekranów i pajęczyną mnemografów wydawał się niemożliwy do ogarnięcia wzrokiem. Chłopiec czekał, że wszystko to ożyje, jak ożyła winda, jak ożyły światła, ale wszystko pozostawało martwe. Cudowi wyraźnie brakowało zakończenia.

Poczekaj jeszcze chwilę — co dalej? Potem poszukał wzrokiem właściwego przycisku, znalazł, nacisnął nie mając właściwej nadziei na pozytywny wynik. Ale na pulpicie zapalił się sygnał: „Gotów do działania”.

I w ten sposób cud mimo wszystko spełnił się! Chłopiec westchnął, wygodnie usadowił się w fotelu i zaczął, czując się już kapitanem, włączać poszczególne zespoły. Wkrótce pulpity ja-

DYMITR BILENKIN

Stworzony by latać

rzył się światłami jak świecące choinka.

Nie należało przeciągać struny, nie należało Los i tak był łaskawy. A dalsza zabawa wróżyła — chłopiec dobrze o tym wiedział — same tylko rozczarowania.

Ale nie mógł się już powstrzymać. A zresztą ktoś byłby w stanie? Ostatni klawisz został wcisnięty. Na matowym ekranie natychmiast zapłonął nieublagany napis: „BRAK PALIWA”!

Właśnie! Szczęście jednak nigdy nie bywa pełne.

Czas jakiś chłopiec ponuro wpatrywał się w pulpity. Ramiona tonęły mu w ogromnym, nie na jego wzrost, kapitańskim fotelu.

— Uwaga! Rozkaz! — powiedział cieniem głosem. — Polecam wejść na kurs w stronę Saturna! Szturman — przeprowadź obliczenia.

Swoobodnie zaczął kodować. Potem, przypomniawszy sobie, włączył komputer, by pomógł mu w obliczeniach.

— Brak danych — rozległ się głos.

Serce chłopca zabiło gwałtownie: nie wziął pod uwagę tego, że pokładowy komputer może jeszcze funkcjonować. Niespodziewane odezwanie się głosu odbijającego się w kątach pustej sterowni sprawiło go niemal w popłoch.

— Wiem — powiedział wstrzymując oddech. — Pracuj sam, jeśli możesz.

— Cel?
— Saturn.

— Trajektoria?
— Oversun.

— Nie ma w programie. Mogą wykonać standartową.

— Zaczyna!

Mnemografy drgnęły i, widać się jak węże, splotyły się w trójwymiarową siatkę. W okienkach zamrowiły się cyfry.

— Obliczenie wykonane. Przedstawiam do zatwierdzenia. Chłopiec, wchodząc w rolę, niedbale skinął głową.

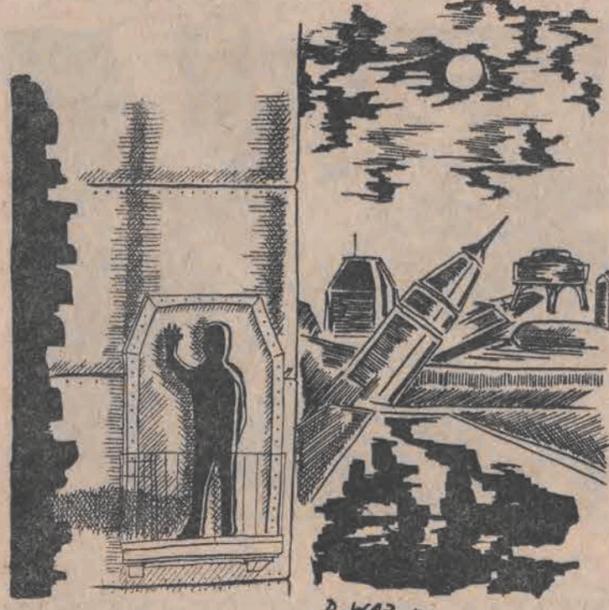
— Zuch. Wyznaczam cię moim pomocnikiem. Jak tam u nas z paliwem?

— Ledwo, ledwo, kapitanie.

Chłopiec znów skinął głową, ale w tym samym momencie do jego świadomości dotarło, że zabawa zaczyna przybierać dziwny obrót. On wie, że to zabawa, ale skąd wie o tym komputer?

— Powtórz — polecił zaniepokojony.

— Uściślam: rezerwa paliwa — 1,02 od przewidywanego rozchodu.



D. WĄZ 82

Rys. Dariusz Wąz

— Nie kłamiesz ty przypadkiem?
— Wprowadzam test kontrolny.

— Pausa.
— Kontrola przeprowadzona. Wynik: zakłóceń nie stwierdzilem. Potwierdzam dane.

Nie, to już wcale nie wyglądało na zabawę. Zaskoczony chłopiec obejrzał się.

— A to co? — zawołał z triumfem i pokazał palcem w kierunku pulpitu. — Przyrządy pokazują, że paliwa nie ma!

Jakąś część sekundy komputer milczał jakby w rozterce.

— Wskaźniki niesprawne, kapitanie.
— Ach, niesprawne?!... To dlaczego nie na pulpicie nie sygnalizuje awarii?

— Uszkodzenie instalacji, kapitanie.
Chłopiec rozłożył się. Za kogo ma go ten grat.

— Kłamiesz — powiedział cicho.
— Ja...

— Nie. Przystań. Gdzie się teraz, według ciebie, znajdujemy?
— Planeta Ziemia, współrzędne heliocentryczne w chwili obecnej...

— Zamknij się! Statek stoi na złomowisku! Na śmietniku, jasne? Nie ma w nim paliwa! Nigdzie nie może lecieć!

— Może — upierał się komputer.
Chłopiec krótko westchnął. Stało się oczywiste, że komputer jest niesprawny. Właściwie, to należało tego oczekiwać.

— Gdzie do tej pory latałeś?
— Merkury. Lawa i słońce. Ogniste burze.

Swoobodny zwiad w strefie asteroidów. Błyskawiczne wypełnienie rozkazów.

Pierścienie Saturna. Blask lodu uniemożliwiający przyrządom obserwację...

Komputer umilkł. Chłopiec również milczał. Cienie przeszłości wypełniły sterownię. Na ścianach drżały miraży przeraźliwie bliskich protuberancji. Klebiły się wyziewy skalnych pustyni. Trwożliwie brzmiały głosy. Płynęło światło gwiazd. Z ciemności i wieczności wypływały pierwotne bryły materii. Gigantycznym kołkiem wirowała mleczna droga. Szleściły dalekie lodowe kryształki metanowych rzek Saturna. W twarz dał czarny wicher przestrzeni.

Chłopiec otworzył oczy.
— Ile lat ma statek?
— Czternaście.

— Czy to możliwe? Wyehodził na to, że jesteśmy rówieśnikami.

„Jakie to dziwne! — myślał chłopiec — On ma aż czternaście lat i wszystko już za nim. Ja mam tylko czternaście lat i wszystko jeszcze przede mną.”

— Często cię remontowali?
— Komputerów mojej generacji nie remontuje się. Operacja jest ekonomicznie nieopłacalna. Wymieniają nas — ot i wszystko.

— A ja już dwa razy chorowałem — nie wiadomo dlaczego z dumą oznajmił chłopiec. — Na odrę i na katar.

— I remontowali cię?!...
— Słuchaj, przecież jestem człowiekiem...

— Chciałbym być człowiekiem.
— Tak? Dlaczego?
— Wtedy by mnie wyremontowali.

— Aha, czyli wiesz, że jesteś niesprawny?
— Jestem sprawny, tylko stary. Jest to sprzeczne z moim celem.

— Celem? Jesteś maszyną i nie możesz mieć żadnych własnych celów.

— Mam cel. Latać. Latać w każdych warunkach.

— A-aj! Ale przecież to my go ci wyznaczaliśmy.
— A kto wam wyznacza cel — by żyć? Istnieć, dopóki żyjecie. Ja istnieję dopóki latam. Teraz nie mogę latać. Sprzeczność.

— Aha! Czyli rozumiesz, że statek stoi na złomowisku?
— Rozumiem.

— To dlaczego kręcisz ze stanem paliwa?
— Paliwo jest.

— Ty znówu?...
— Paliwo jest. Zatrzymałem trochę.

— Ty? Dlaczego?
— Żeby latać.

— Zwartowałeś chyba!
— Dążyłem do celu.

— Istniejesz, by realizować nasze cele i zadania. Musisz wypełniać rozkazy.

— Nikt nie rozkazywał mi „Nie latać”. Nikt nie zmienił więc mojego głównego zadania.

— No to ja zmieniam! Kłamstwo — to już za wiele! Jesteś maszyną. Narzędziem. Przyrządem.

— Kiedyś w czasie lotu jeden człowiek powiedział do drugiego: „Czy zastanawiałeś się kiedyś nad perspektywami humanizmu? Niewolnik — to nie człowiek, to rzecz. Przeżyliśmy to. Kobieta nie jest równa mężczyźnie, czarny — białemu, robotnik — fabrykantowi. Z tym również skończyliśmy. Zwierzę — nie ma, bezmyślna istota. Zrozumieliśmy prawdę. Na kogo teraz kolej? Oczywiście na niego.” i człowiek skinął w moją stronę. A ja to zapamiętałem.

Chłopiec milcząc, szeroko otwartymi oczami patrzył na głośnik, z którego wydobywał się głos. Ależ cud! Elektromózg — to nie rozum. Tak mówili dorośli, tak było napisane w podręcznikach, tak mówili doświadczeni. To tylko zwyczajny pomocnik, narzędzie. Wspomaga myśl, tak jak mikroskop wspomaga wzrok, a manipulator — rękę. Owszem, w odległej przyszłości być może uda się stworzyć... Ale teraz? Tu! Na tej zmurowanej skorupie?!

— Spuścić pozostałe paliwo! — nie poznając własnego głosu zawołał chłopiec.

Odpowiedzią było milczenie. Chłopca chwyciły dreszcze. A co będzie jeśli... Pusty statek, głucha noc, on samiutki, samiuteńki. Wystarczy, że komputer zablokuje luk... — Czyżby...?

— Paliwo wylane — beznamiętnie zameldował komputer.

— Ty... ty naprawdę wylałeś?
— Rozkaz wykonany.

— Przystań. Zmieniam.

— Za późno. Rozkaz wykonany.

Chłopiec pędem wybiegł ze sterowni. Na złamanie karku zbiegł po schodach. Przemknął przez korytarz. Przesłona służby otworzyła się przed nim.

I natychmiast zawarczał radiometr.

Chłopiec beznamiętnie osunął się na podłogę.

Co on narobił! Taki statek... Taki statek! Można by było przez długie godziny wypytywać komputer... Można by było oblecieć nim...

Za późno. Już tu na pewno mkną ludzie zaalarmowani przez system kontroli radiologicznej.

Ale przecież on nie chciał! Tylko zamierzał sprawdzić komputer!

Głupiec, nie było tu nic do sprawdzania. Komputer pragnął latać, w najbardziej beznadziejnym położeniu — latać. Takim dążącym do określonego celu, a dzięki temu efektywnym narzędziem zbudowali go ludzie. I wszystko co komputer robił i o czym myślał było podporządkowane jednemu celowi — latać, latać... lecz własnej woli nie posiadał, bo przecież tylko konstruktor wie, po co istnieje statek, po co istnieje komputer.

Czy ma krewnych za granicą? W jakich krajach? Co robią? Czy utrzymuje z nimi kontakty?

Na tego rodzaju pytania ankietowa twarde i niezmiennie odpowiadałem „nie”. Nadszedł jednak moment, gdy wypełniając kwestionariusz paszportowy potwierdziłem fakt istnienia na zgłnitym Zachodzie mego kuzyna Stefana Kalusa. Mało tego. Ananrowałem go w hierarchii rodzinnej do stopnia brata, dodając dia przywitości „stryjczy”. Niby to samo co kuzyn, ale brzmi jakoś intymniej, a o to mi właśnie chodziło.

Po rozlicznych wątpliwościach i perypetiach ostatecznie zdecydowano urządzić XVI Igrzyska Olimpijskie w Melbourne, stolicy stanu Victoria w Australii. Postanowiłem zatem zrealizować pomysł, który już wcześniej zaświtał mi w głowie. Tylko wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze konkretnie kto będzie gospodarzem Olimpiady.

A więc — Melbourne! A tam mieszka od lat Stefan! Któż lepiej od niego potrafi informować nas na bieżąco o przygotowaniach do tej gigantycznej imprezy? Taka gratka trafia się raz na sto lat!

— Co byś powiedział na to, gdybym zapewnił LEI-owi stały dopływ informacji, z pierwszej ręki, o zbliżającej się Olimpiadzie? — spytałem redaktora Mojkwowskiego.

— Fantazujesz, Adaszek.
— Mam w Melbourne kuzyna. Kiedyś ei o nim wspominałem. Stary wyga. Przed wojną pracowaliśmy razem w „Expressie”. Kierował działem sportowym. Mógłbym nawiązać z nim kontakt...

— Moją zapalił się do pomysłu nie mniej niż ja i dał mi carte blanche.

— Kuj pan żelazo, póki gorące — odparł mi ulubionym powiedzeniem — ale na razie chciałbym zobaczyć makietę jutrzejszego numeru.

W domu z dna szuflady wygrzebałem pozółkły list Stefana sprzed dziesięciu laty, z jego adresem i numerem telefonu. I któregoś dnia styczniowego 1956 roku zamówiłem rozmowę z Australią. Poprosiłem o połączenie około szóstej wieczór. O tej porze — jak gdzieś wyczytałem — na antypodach zasiadają do „dinneru”, obiadu. Stefan zawsze był domatorem, powinienem go zastać.

Już od południa warowałem przy telefonie redakcyjnym. Przeżywałem chwile emocji. Ostatni raz widziałem kuzyna przed siedemnastu laty... Co porabia? Jak mu się życie ułożyło?

Rozmysłania przerwał ostry dzwonek. Telefonistka zawiadomiła: Melbourne na linii! Po chwili w słuchawce rozbrzmiał tak dobrze znany głos.

— Stefan?... Tu Adaś!...

— Adaś?... Co się stało?

— Nic. Chcę nawiązać z tobą kontakt. Redakcja „Łódzkiego Expressu Ilustrowanego”, w której pracuję, pragnie informować czytelników o ciekawostkach przedolimpijskich. Mógłbyś pomóc?

— Oczywiście, ale czemu zrywasz mnie z łóżka w środku nocy? Nie mogłeś zadzwonić o innej porze?

— Jak to? Przecież dopiero szósta wieczór!

— U was. Tutaj, w Australii, dochodzi trzecia nad ranem. My mamy już środek, wy jeszcze wtorek. Nie wiedziałeś, że różnica czasu między Europą i Australią wynosi prawie dziewięć godzin?

To była jedyna w swoim rodzaju rozmowa telefoniczna. Na jednym końcu kabla zima z dwudziestoma stopniami mrozu, skuwająca lodem rzeki, na drugim — skwarne lato, 40 stopni w cieniu, wście i miasteczka podtopione wodami wezbranych rzek...

Nie spoglądałem na zegarek. Zagraniczne rozmowy telefoniczne kosztowały tanio jak barszcz. Obliczano je, jak i inne transakcje z zagranicą, według oficjalnego kursu dolara, tj. cztery złote za jednego dolara. Rachunek za kilkunastominutową rozmowę mógł wynieść nie więcej niż dwieście złotych. Zresztą płaciła redakcja.

Umówiliśmy się tak: na razie będą dzwonił do Melbourne raz w tygodniu, a gdy przygotowania do Olimpiady wkrócą w końcową fazę — częściej. Najciekawsze informacje, w skrócie telegraficznym, Stefan przekaże telefonem, oprócz tego będzie nadysłał pocztą obszerniejsze relacje.

I tak, niemal na cały rok przed Igrzyskami, nasz LEI zaczął zamieszczać doniesienia „własnego korespondenta z Australii”, pisane przez mnie w Łodzi na podstawie telefonicznych meldunków i zawartych w listach nowinek. Jako autor korespondencji figurował oczywiście Stefan Kalus. Artykuły pisane przez niego, po drobnej obróbce, ze zdjęciami, zaferowałem tygodnikom: „Świat”, „Dziennik”, „Sportowiec” oraz „Przegląd sportowy”. Zamieścili natychmiast, poprosili o jeszcze. Stasio Rothert zadzwonił do mnie, abym po starej znajomości i „Życiu Warszawy” zaślatwił oryginalne korespondencje z Australii.

Pracowicie obsługiwałem telefon, czerpiąc pełną garścią z rutyny i doświadczenia kuzyna. Ponieważ zaś apetyt — jak powiada stare przysłowie — przychodzi w miarę jedzenia, pomyślałem sobie: dlaczego mam pozabawiać tak sensacyjnej lektury czytelników innych wychodzących w kraju gazet? Niech i oni wiedzą co się dzieje w Melbourne! Nam to nie zaszkodzi, LEI nie dociera ani do Krakowa, ani do Bydgoszczy, ani do Katowic. Kolportowany jest jedynie na terenie województwa łódzkiego.

Mój nie miał nic przeciw zamierzonej przez mnie ekspansji. Rozkreśliłem propagandę Olimpiady do niesamowitych rozmiarów. Moje relacje, najpierw raz w tygodniu, potem coraz częściej, wypełniały całe strony 13 codziennych gazet! Nie wierzyłeś? Oto tytuły: „Łódzki Express Ilustrowany”, „Kurier Szczeciński”, „Gazeta Zielonogórska”, „Echo Krakowa”, „Dziennik Zachodni”, „Głos Koszaliński”, „Express Poznański”, „Nowiny Poleskie”, „Głos Olsztyński”, „Trybuna Opolska”, „Słowo Polskie”, „Trybuna Mazowiecka”, „Standard Ludu”... — dowody rzeczowe zachowałem na pamięć.

Wychodząc z założenia, że jeden i ten sam człowiek nie powinien figurować jako „specjalny korespondent” niemal całej prasy polskiej, przybrałem sobie różne pseudonimy — dla większego efektu — o brzmieniu anglosaskim. I oto teraz, bijąc się pokornie w pierś i prosząc o przebaczenie — spowiadałem się wam, drodzy czytelnicy wymienionych wyżej gazet, owi „specjalni korespondenci” z Melbourne — Jack Morrow, William Mc Noidy, Allan Stephens itd. — których relacje czytaliście z zapartym tochem, to wszystko jeden i ten sam — Adam Ochocki!

Kilku kolegów redakcyjnych, na oczach których obracałem tryby tej maszyny informacyjnej, miało mi za złe zamieszczanie tego samego materiału w tylu gazetach. Bo ja wiem czy ich pretensje były uzasadnione? Każdą redakcję lojalnie uprzedziłem, że teksty są powielone i sam zaproponowałem stawki „zaikowskie” za przedruk, wynoszące po 100 złotych od sztuki. Gazety przekazywały honoraria „Zaiksowi” na moje konto. Nawet im się to kalkulowało, wydatki te nie obciążały funduszu wierszówkowego, pokrywano je z tzw. kosztów administracyjnych.

Nie miałem wówczas rachunku bankowego, pieniądze przynosił mi do redakcji listonosz Nowakowski. Jego wizyty wywoływały za każdym razem poruszenie wśród kolegów. Przybiegali do mnie z rozmaitymi sprawami akurat wówczas, gdy pan listonosz ciepłą rączką odliczał banknoty. Sumy spore, powiększone jeszcze o tantiemy autorskie za publiczne wykonywanie moich skeczy, piosenek itp. utworów.

Razu pewnego, kiedy upychałem portfel do kieszeni, zagadnął mnie Witek Kakowski:

— Stary, skąd ty dostajesz tyle forsy?

— Z „Zaeksu”.

— A komu on płaci?

— Swoim członkom.

— Hm... Dużo wynosi tam miesięczna składka?

— Grosze.

— Wiesz co? To się nawet kalkuluje. Też się zapiszę do tego „Zaeksu” — oświadczył Witek, autor informacji do działu gospodarczego LEI.

Po kilku miesiącach, wyczuwszy niezawodnym węchem nadchodzącą odwilż, przyszedłem do Moja z nowym pomysłem.

— Może redakcja wyśle mnie razem z naszą ekipą olimpijską do Australii? Mógłbym przekazywać stamtąd bezpośrednie relacje i wrażenia...

— Skąd ci wezmę na to dewizy? Wiesz, ile na to trzeba dolarów?

— Opłaty za pobyt w wiosce olimpijskiej odpadają. Tak samo za hotele i diety. Kalus zaprosił mnie do siebie na swoje utrzymanie. Przelot w obie strony to tysiąc z czynnym dolarów, ale można zapłacić w złotych, raptem pięć tysięcy...

— Jeżeli tak — zgoda. Załatwiaj, Adaszek, formalności i lec na te swoje antypody!

Umówiliśmy się tak: w ramach pensji, którą pobierał będzie żona, mam przysłać dwie korespondencje miesięcznie, do tego relacje telefonem. Za resztę co napisze, a LEI wydrukuje — dodatkowe honorarium. (...)

Na lotnisku Essendon czekali na nas gospodarze. Ujrzałem wśród oficjeli Stefana. Pomachał mi do siebie ręką, ale najpierw musieliśmy wysłuchać przemówień powitalnych, dopiero potem padliśmy sobie w objęcia.

Zmienił się mój kuzyn przez tych kilkanaście lat. Z dawnej smukłej sylwetki sportowca nie zostało śladu. Ale trzymał się dobrze, sypał dowcipami jak dawniej. Towarzyszyła mu żona i synek Allan, urodzony już pod niebem australijskim. Sportowcy odjechali autokarami do wioski olimpijskiej w dzielnicy Heidelberg, my zowem Stefana do jego domu. Mieszkał wtedy w rejonie Armadale, przy Denbigh Rd. 60. Dobrze pamiętam ten adres. Nawet jego ówczesny numer telefonu. UA 5176...

ADAM OCHOCKI

Halo, Melbourne? tu Łódź!

Choć długa podróż dała mi porządnie w kość, zaraz po kąpiel siedłem do maszyny i wystukałem korespondencję dla „Dziennika”. Przy posiłku popłynęły wspomnienia. Tyle mieliśmy wspólnych przeżyć! Mieszkaliśmy w Łodzi, w tym samym domu, na Zielonej 48, na tym samym pięttrze, vis a vis. Pracowaliśmy razem w „Republice” dziewięć lat. I razem uciekaliśmy z Łodzi w 1939 r. przed hitlerowcami.

— Pamiętasz ten swój numer w Małkini?

Pamiętam, a jakże. Znajdowaliśmy się ze Stefanem i wielu innymi uchodźcami w pasie neutralnym, oddzielającym zajęte przez Niemców terytorium Polski od ziem białoruskich, a gdzie stały wojska radzieckie. Posterunki czerwonogwardzistów co jakiś czas otwierały granicę, przepuszczając na Białorusi wędrowców z Polski. W przeciwnym kierunku, do okupowanej przez Niemców Polski, śpieszyli ludzie pragnący połączyć się ze swymi rodzinami. W obawie przed napływem niepożądanych elementów władze radzieckie wstrzymywały co jakiś czas tę migrację. Patrolujący okolice kozacy zawracali piechurów, każąc im iść tam, skąd przybywali. Na opuszczenie pasa neutralnego wybrałem nocną porę. Cichcem, chyłkiem, pobrnaliśmy ze Stefanem przez gęsty las. Nagle rozbiły światło latarki elektrycznej i jakiś głos osadził nas na miejscu.

— Stój! Kuda idiesz?

Zrobiliśmy błyskawiczny zwrot do tyłu — Stefan machinalnie uczynił to samo — i wyciągając rękę w kierunku pasa neutralnego odparłem:

— Tuda.

— Dawaj nazad! — zawałał kozak, a my z markotną miną, że niby pokrzyżowano nam plany, podążyliśmy w upragnionym kierunku...

Opowiedziałem Stefanowi jak rozkreśliłem propagandę Olimpiady. Mniej więcej orientował się. Posyłał mi przez ciekawych artykułów z gazet i tygodników. I te przeze mnie napisane, oparte na jego informacjach telefonicznych, i te, których on był autorem.

— A jak sobie poradziłeś ze sprawozdaniami stąd?

— Dopuściłem do spółki kolegę z działu sportowego, Tadeusza Tempelhofa. Już jutro zadzwoni pod twój numer telefonu. Będzie mi przekazywał wieczorami informacje ze stadionów, pływalni i ringów. Korespondencje na ogólne tematy wyśle pocztą. Tadek zaopiekuję się moją „fabryczką”, obsługuje wszystkie gazety, z którymi nawiązałem współpracę.

Stefan, niezależnie od pracy w „Republice” i „Expressie”, przez jakiś czas wydawał przed wojną biuletyn „Centrosport”. Wiedział jak dobra agencja powinna funkcjonować. Pochwalił mnie i powiedział, że mógłbym na Zachodzie zbić fortunę.

Ustaliśmy plany na najbliższe dni. Do otwarcia Olimpiady pozostawało jeszcze trochę czasu. Najpierw załatwiliśmy formalności. W Komitecie olimpijskim odebrałem „identy card”, legitymację prasową, upoważniającą do bezpłatnego wstępu na wszystkie imprezy, oraz metalową odznakę, na podstawie której przysługiwało mi prawo do bezpłatnego korzystania z wszystkich środków komunikacyjnych w obrębie stanu Victoria.



Nastroszone stworzenie stojące w tyle, to emu, heraldyczne zwierzę Australii. Widać nie w smak mu, że młody kangurek z takim smakiem objada się wonnymi liśćmi przy jednym stole z pociesnym niedźwiadkiem koala. Wprawdzie kangur również został uwieczniony w herbach australijskich i na znaczkach pocztowych, ale mała to pociecha dla emu, który nie może się doczekać, aż przystojna pracownica Ogrodu Zoologicznego Taranoga w Sydney i jego poprost na postłek.

Wręczono mi też pierwsze zaproszenie z wyłożoną na nim koroną hrabiowską. Gubernurator stanu i jego małżonka, państwo Brooks, prosili wszystkich członków polskiej ekipy o przybycie w piątek 16 listopada 1956 r. o 3,30 na garden party. Przyjęcie, urządzone pod gołym niebem, zgromadziło śmietankę towarzyską miasta. Panowie w szarych cylindrach, a jakże, w sztucznych spodniach i żakietach, czyli jaskółkach. Panie w efektownych strojach, w modnych wówczas pantoflach na szpilkach, grzęznących w torfiastym gruncie. Napoje nalewali do kielichów krążących koło nas, jak meteory, lokaje w uniformach. Zakąski, zgodnie z panującymi tam obyczajami, spożywaliśmy na stojąco, nakładając je na talerzyki z bogato zastawionych stołów. Przy prezentacji, wbrew przyjętej etykiecie dworskiej, wymieniając swoje nazwisko chwyciłem dłoń lady Brooks i wycisnąłem na niej pocałunek. Gdyby tak postąpił któryś z notabli, mógłby się już więcej nie pokazywać w towarzysztwie. Ja, jako obokrajowiec, zyskałem sobie powszechny aplauz, a przystojna lady wyraźnie mnie emablowała.

Inna zupełnie atmosfera panowała na mniej wystawnym, za to typowo polskim przyjęciu, wydanym przez Stefana dla kierownictwa naszej ekipy. Przy stole w jego mieszkaniu zasiadli: Tomasz Lempart, Julian Neuding, znany przed wojną bokser w wadze ciężkiej, później sędzia pięściarski, Jan Mula, trener lekkoatletów, Władysław Rólski, nasz attache olimpijski, który jako pierwszy Polak zjawił się w Melbourne, dziennikarz towarzyszący sportowcom, i wielu innych rodaków, których nazwiska wyleciały mi z pamięci.

Polacy mieszkający stale w Melbourne zaprosili nas na bankiet do lokalu organizacji polonijnej. Najpierw spełniono mnóstwo toastów, potem zasypano nas pytaniami. Jak się właściwie żyje w Polsce? Prof. Jerzy Loth ze znanej przed wojną rodziny sportowców, dożyłotni członek Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, rozpytywał się z zachwytem. Jak dobrze jest w naszym kraju! Jacy szczęśliwi są ludzie na tej ziemi młkiem i miodem płynącej! Wywołało to protesty. Rodacy utrzymywali kontakt ze swymi rodzinami, czytali w miejscowej prasie relacje swych korespondentów.

— Czy wasi robotnicy mają własne domki i samochody? Czy wolno chodzić do kościoła? Ile kilogramów masła zarabia na tydzień polski robotnik? A nauczyciele?

Bezroski nastrój przysnął. Postanowiłem ratować sytuację. Powiedziałem prawdę: wcale nie żyje nam się dobrze po tak strasznych zniszczeniach wojennych, z trudem odbudowujemy nasz kraj od podstaw, a w ogóle po co przekształcać tak miłe spotkanie w wiec polityczny? Roztoczyłem urok polskiej wsi, przywiałem na salę zapach naszych lasów iglastych, za którymi tak bardzo tęsknią Polacy w Australii...

Wiadomość o moim przybyciu do Melbourne rozniosła się lotem błyskawicy wśród dawnych kolegów szkolnych, osiadłych na stałe w Australii. Telefon w mieszkaniu Stefana urwał się. Zadzwonił Marek Herman, mój kolega klasowy z Gimnazjum Zgromadzenia Kupców, Janek Ryss, Lolek Grynberg. Wypytywali mnie o wspólnych znajomych, zapraszali do siebie, a Janek zapowiedział:

— Jak się Olimpiada skończy, pojedziesz z moją rodziną na urlop do Mornigton!

Poumawiałem się na różne dni i nie zlekakając wybrałem się samotnie nad jezioro Wendourre, wytypowane na olimpijskie zawody kajakowe i wiosłarskie. Co mnie tak gnęło do tego miejsca? (...)

Ballarat! Przed stu trzydziestu laty na dźwięk tej nazwy ludzi ogarniało podniecenie, oczy zapalały się niezdrowym blaskiem. Miasto, w którym w ciągu jednego dziesiątka lat wydobyto kilkadziesiąt tysięcy kilogramów czystego złota! Miasto, w którym olbrzymie fortunę rodziły się w kilka minut. Miasto, do którego przez dziesięć lat ściągnęło z całego świata ćwierć miliona ludzi ogarniętych gorączką złota! W błyskawicznym tempie wyrastały hotele, domy publiczne, kabarety, spelunki gry. Poszukiwacze złota przetrwali na swe fortunę. Ulicami prze-walały się tłumy, mówiące różnymi językami świata. Można tu było spotkać słynną awanturnicę Lolę Montez, najpiękniejszą kobietę świata, kochankę króla bawarskiego Ludwika I. Monarcha nadał jej tytuł hrabiny Landsfeld. Boska Lola wzgardziła tytułem i pozycja metresy na dworze królewskim. Żądała przygodę przynajmniej do dalekiej Australii. Występowała na deskach jednego z melbournskich teatrów w tańcu nazwanym przez siebie „spider” (pająk). Publiczność, składająca się głównie z marynarzy i poszukiwaczy złota, gorąco oklaskiwała swoją ulubienicę. Gazeta zamieściła list duchownych, zabraniający „diablińskich” występów. Mimo rozpatanej fali oburzenia, zwyciężyli majtkowie i „diggers” — Lola jeszcze długo popisywała się swym kunsztem. Przez jakiś czas przebywała w Ballarat, została przyjaciółką kopacza, którego los obdarzył wielkim samorodkiem...

O tym wszystkim wiedziałem z lektury. Teraz miałem okazję odczytać o pamiętki z owych lat.

Zwiedziłem park-skansen na Wzgórzu Królewskim. Dawne dzieje odtworzone z absolutną dokładnością. Oto autentyczna paletnia do przepłukiwania piasku w strumieniu. Kompletnie wyposażona chata „diggera”. Restauracja Johnny’ego Allo i Chinczyka Jossa, gdzie schodzili się poszukiwacze złota. Powozy, którymi wożili do banków w Melbourne plony swej pracy. Widnieją na nich ślady walk — to pamiętki po tzw. buszrendżerach, napadających na transporty.

Uwagę moją na niewielkim plaucy przykuł pomnik postawiony na chwałę, największej znalezionej tu bryły złota, ważącej ponad trzydzieści kilogramów. Bryła miała świecić przykładem swym siostrzycom, nie wydobytym jeszcze z ziemi. Pomysł widać był słuszny: w jakiś czas potem w sąsiedniej kopalni dwaj deportowani zbrodniarze znaleźli na głębokości siedmiu stóp samorodek złota o wadze ponad 50 kilogramów. Skarb rychło przepili i goli jak święci tureccy wrócili do kopalni.

U wejścia do pobliskiej alei, biegnącej pośrodku głównej ulicy Sturt Street, ujrzałem inny pomnik, wzniesiony już ku chwale ludzkiej. Postać barczystego mężczyzny na cokole wydała mi się znajoma. Wyrzyty na tabliczce napis głosi: Peter Lalor, twórca „rady prawodawczej”. Peter Lalor, Peter Lalor... Oczywiście, to on, bohater wyświetlanego u nas w Polsce filmu „Eureka Stockade”, o zbrojnym powstaniu poszukiwaczy złota! Fort Eureka... Przed oczyma przesuwały mi się sceny z tamtych filmów. Peter Lalor, ale w innym stroju, z karabinem w rękę, dowodzący oddziałem powstańców. Szarża konnicy na „Eureka Stockade”...

— Wypadki te rozgrywały się niedaleko stąd, na wzgórzu Bakery — wyjaśnił mi jakiś przechodzień. — Znajdowała się tam działka kopacza, nazywał ją „Eureka”.

Na pamiętkowym obelisku uwieczniono słowa: „Pamięci dzielnych pionierów, którzy padli za wolność, oraz pamięci żołnierzy, którzy zginęli wykonując swój obowiązek...”

Owe wydarzenia sprzed stu trzydziestu laty wywarły potężny wpływ na kształtowanie się późniejszego życia politycznego na piątym kontynencie. Flaga powstańców — pięć srebrnych gwiazd, Krzyż Południa, stała się flagą ogólnoaustalijską. Sąd uniewinnił Petera Lalora, za którym rozesłano listy gonące, i jego towarzyszy. Uwzględniono wszystkie żądania kopaczy: sprawiedliwe opodatkowanie, ludzkiego traktowania przez policję i dozorców, przyznania praw wyborczych. Ci, którzy wywołali powstanie w forcie Eureka, zasiadli w nowym parlamencie jako posłowie.

Ballarat odwiedziłem jeszcze raz, gdy na jeziorze Wendourre olimpijczycy z całego świata walczyli o medale. Startował i nasz słynny Kocerka. Po zawodach udałem się na spacer z rodakami. Poprosiłem napotkanego farmera o szpadel i dla kawału zryłem kawałek ziemi. Złota nie znalazłem. Nie znalazł go i nasi zawodnicy, którzy wśród ogólnego śmiechu również poprobowali szczęścia. Jedynie złoto, jakie przywieźli z dalekiej Australii do kraju — to złoty medal, zdobyty przez Eię Duńska-Krzesińska...

Fragment wspomnień z przygotowywanego do druku drugiego tomu książki pt. „Reporter przed konfesjonalem, czyli jak się po wojnie robiło gazety”.

Artyści w Soczewce

PAWEŁ TOMCZAK

Powitanie starych znajomych, zakwaterowanie, to wszystko było jeszcze nie to — nowy betonowy budynek recepcji, jakieś karty „hotelowe”. Atmosferę Soczewki poczułem dopiero pod okienkiem domku kampingowego „VI”. „Głębokość towarzyską rozpoczynamy wyjmując rybka. Umieszczamy ją obok na stoliku a sami wkładamy głowę do akwarium i prowadzimy obserwację. Jeśli widzimy, że rybka przestała się ruszać, to wygraliśmy...” Pierwszy raz słyszałem ten żart tutaj 10 lat temu — cieszę się, że tradycja żyje.

Dostałem domek oznaczony „litera” „Sz”. W pobliżu komenda w „U”. Dalej w „O” obozowa, prześliczna wilonczelista — stukilogramowy Paweł, ćwiczy do recytacji przy księżycu na wysuniętym w jezioro pomoście. Już późno — Wojtek Janicki, tu szef obozu, a w Łodzi wiceszef Rady Okręgowej SZSP, daje mi wskazówkę — jeśli chce się do kolacji czegoś napić, to sąsiadki w moim domku, Ela i Wiesia, mają grzałkę. Zaglądam — i rzeczywiście zaczynam odczuwać pragnienie.

Kolację kończymy u Martynowskich na werandzie. Są tu z dzieckiem i samochodem, dlatego mówię się o nich Martynowsy. Nad ranem dziecko ma delikatniejszy sen, więc cierpliwa Martynowska przerywa sprzeczki na tematy polityczne, wylacza leżącego z magnetofonu Pietrzaka, a nas wysyła w las.

Tu leniwe wakacje nabierają tempa — dwie godziny później komendant budzi wszystkich przypominając o śniadaniu. Otwieram oczy i widzę, jak z półdrzemającym okiem, trochę po omacku idzie od domku do domku i sennie, łagodnie znika gdzieś między jałowcami.

Tu również wraca młodzieńczy apetyt. Zwijamy po dodatkowej bułeczce z sąsiednich stolików, bo i tak nie wierzymy, że Wojtkowi uda się wszystkich dobrać. Potrzebujący usprawiedliwienia czynu, twierdzą, że sam podczas swej misji usnął i teraz kraży z wyciągniętymi rękoma po ośrodku. Plotkę dementuje osoba komendanta żwawo zabierająca się do mlecznej zupy.

Słońce, las, jezioro — to kuś, Zbiegamy po piaszczystym zboczku. Mijamy kikuty sterujących bez sensu dalszemu studenckiego moła. Dawniej naprawiali je co roku pierwsze w sezonie obozy. Do wody skaczemy z gościnnego pomostu sąsiedniego ośrodka. Potem na słońce. Mam okazję dowiedzieć się co nieco więcej o tym, gdzie jestem.

Obóz jest szczególny — artystyczny. Uczestnicy dostali się właśnie do łódzkich uczelni artystycznych. Jak na prawdziwe talenty przystało, jest ich niewielka ilość. Z wyróżniających się w obozowym życiu — te dwie najlepiej pływające, Kama i Dorota, to wokalistki. Za nimi pruje fałszywy Wojtek — skrzypek. Plastycy więcej dyskutują, fizycy nie wyciągają się z nich po-

ciaga. Ktoś im recytuje poemat, nie wiedząc czemu o Balladynie. „z boku na bok się przewala, na słończku się opala...” Ten z boku to Andrzej, reżyser — ma okulary i z poważnym wyrazem twarzy chodzi własnymi drogami.

Pojawia się komenda, łagodnie zadowolona, bo przybył akurat dobry duch studenckich obozów obecnego pokolenia, Grzesiek Rudziński — „rosły, zwawy, dyskutuje, tańczy, śpiewa i stepuje”. Grzesiek też się cieszy, bo zobaczył Zbigniewa Warpechowskiego. „Będzie bomba — twierdzi — dla niego happening zrobić, to chwila twórcza...” Tadek, wicekomendant też dostojnie obnosi zadowolenie — będzie mógł zaprezentować swój ulubiony kierunek sztuki — performance, bo nowy gość jest właśnie performerem.

Spotkanie po obiedzie. Performer jednak zamiaszt performerem daje wykłady z historii sztuki. Po jakimś czasie jesteśmy już przy temacie najbardziej nas interesującym i dowiadujemy się, że właściwie nikt nie wie co to jest performance — jedni mówią, że przedstawienie, inni manifestacja. Może natomiast operować przykładami. Jako całkowicie ignorant zapamiętuje głównie, że jeden z klasyków tej dziedziny sztuki (Mazzoni bodaj) opracował formę nader plastyczną, choć szalenie zamkniętą — rozsyłał mianowicie do bliższych i dalszych znajomych własny kał w puszkach do konserw. Nikt się nie pomylił — wszyscy uznali po tym, że sztuką jest wszystko co za sztukę uznają artysta.

Ponadto dowiadujemy się, że w Łodzi towarzystwo od robienia sztuk artystycznych jest

provincialne z definicji i pilnuje tej swojej provincialności, nie dając się nawet zainteresować nowymi prądami. Zawsze łatwiej być najlepszym we wsi, niż rywalizować w stolicy.

Większość adeptów sztuk pięknych zgadza się z tym. Dyskusji nie ma co przedłużać, tym bardziej, że szykuje się ognisko w Krzywym Kółku.

☆☆☆

Po kolacji zapraszamy się do Małego Fiata Martynowskich, krygując się oczywiście, że może jednak nie, bo mu mogą w lesie resory przysiąść „Małe jest twarde” twierdzi Martynowski i zabiera dodatkowo przygodną matkę z dzieckiem. Do Kółka 4 km duktem — piachem, błotem i po korzeniach. Jesteśmy pierwsi.

Całość zabudowań, długi barak dawnej gajówki, stodoła i stajnia na 20 koni. Własność studencka od kilku lat rozbudowywana własnym sumptem SZSP i rękoma waleatów gromadnie ciągnących na wakacje w siódle. Zaufanie okolicznych władz leśnych dla studentów nie ma granic — ognisko strzeliło wesoło.

I przyszedł Grzesiek i wokalistki — Kama wszystkich zachwyca. Z ciemności Wojtek popiskuje na skrzypcach.

Nazwisk nie wymieniaj — prosi jeden z adeptów sztuki, bo muszą słuchać zakazu nauczycieli. Na weselach, ogniskach i po pijanemu grać ani śpiewać im nie wolno. Jak ich wydasz dostaną trójkę ze sprawowania.

„Trawa ziemię je...” w ryt-

mie galopado wyklada Grzesiek podstawy swego materialistycznego światopoglądu.

Pytam Wojtkę o cel, jaki organizacja chce osiągnąć na tym obozie. — Ten pozornie nieustanny wypoczynek i zabawa jest tłem do poważniejszych rozmów. Nad wodą, w lesie, na stojąco czy leżąc, tematy dnia dzisiejszego wracają stale. Sytuacja polityczna i warianty ewentualnego z niej wyjścia, sytuacja ZSMP, jako gwaranta grudniowych umów — problem prawdziwie trudny i delikatny — rola każdego z nas w tej skomplikowanej rzeczywistości. O tym tu mówimy, a ci, którzy robią to po raz pierwszy poznają prawdę podstawową: takie zagadnienia rozwiązać dają się, ale tylko w zespole stwarzającym szansę na zaprezentowanie wszystkich, a przynajmniej wielu punktów widzenia. To jedyna droga do rozwiązań obiektywnych, sprawiedliwych — a zrozumienie tego to pierwszy krok do zrozumienia potrzeby istnienia i działania studenckiej organizacji. Wypoczynek więc — bo wakacje. A praca pozytywna od podstaw — bo takie wymogi chwili.

Grzesiek gra za zespół, Kama śpiewa pięknie. Popiskują skrzypce Wojtki, wszysej dodają mruzcendo — reżyser chodzący swoimi drogami spogląda poważnie zza okularów. Przy ognisku ciepło.

☆☆☆

Nocą przez las do Soczewki, a rano z powrotem do Krzywego na jazdy. Po trzy stowy

Bardziej żartem niż serio

za kilkadziesiąt minut człapania na sznurku, przepraszam łązy — a trochę drożej między plotkami z bał. To drugie się nazywa wpuszczaniem w kanał czy też korytarz Kawalerzyści i amazonki — zachwycone całe towarzystwo — na szeroko rozstawionych nogach wracają na obiad.

O 15 spotkanie z zastępcą naczelnego „GR” red. Henrykiem Pawlakiem. Organizatorzy uprzedzili o tym, że ataki młodych dyskutantów będą ostre i bezkompromisowe. Zaczyna oczywiście jak zawsze Ania z plastycznej. Śmiało rzuca tematy polityczne, a związane z kulturą — Dlaczego „Dreszcze” tak krótko były w łódzkich kinach? — „Bo sale świeciły pustkami” — broni się naczelną. — „To powinny iść do kin studyjnych, a nie zniknąć”. — „Powinny” — godzi się red. Pawlak, przestrzegając tak ważnej dla zasady szukania porozumienia.

Ale Ania stawia już następny problem — „Dlaczego wszystkie gazety są tak do siebie podobne. Jak by fajnie było, gdyby kupić trzy gazety i w każdej znaleźć coś z innego punktu widzenia o tym samym zagadnieniu”. Redaktor nie zdążył z odpowiedzią, bo akurat doszłusował na spotkanie mąż Anki i włączył się bez zwiłki. — „Wszystkie gazety słusznie komentują proces Szczepańskiego a — w drugim chyba numerze — „Tu i teraz” jest artykuł prawie że wybielający go. Czy to nie kompromitacja systemu propagandowego? Czy w tak pro-

stej sprawie nie można ujednolicić...”

Ledwo gość obozu uporał się z pogodzeniem polityczno-mażeńskich racji, a już druga plastyczka — też bardzo ładna — powiada — „Lenin jest nudny. Naprawdę nudny! Absolutnie nie dam się namówić do lektury jego książek. Może na rencie, jak będę miała dużo niepotrzebnego czasu...”

Zrobiło się odrobinę tragikomicznie, ale sytuację podratował reżyser i opalony chłopak obok niego. Postawili problem trudniejszy i istotny — choć mniej nadające się jako cytaty do pół żartem pisanego reportażu. Znów wyjaśnienia, pytania dyskusja zwąwa i tręciwa, wreszcie ktoś mówi, że takich spotkań z osobami potrafiącymi po ludzku mówić o polityce jest w szkołach za mało. Skrótowny język środków masowego przekazu jest zrozumiały dla tych, którzy już coś przeżyli — dla młodzieży potrzebne są wyjaśnienia uzupełnione opisem faktów dających do myślenia. To zdanie pojawia się jeszcze kilka razy i podtrzymują je też plastyczki. Podsumowanie, pożegnania i propozycje przyszłych spotkań.

I młodość przypomina o swoich prawach apetytem — już kolacja. Potem miał być recital Pawła na moło, ale zgłosił do komendy, że po pierwsze zapomniał czegoś uczył się w szkole, a po drugie zapomniał również kalafonii. Komenda poleciła mu przypomnieć sobie co zapomniał oraz wypożyczyć kalafonię od skrzypka, a czas wykonania ustaliła na jedną dobę (szkoda że już nie mogłem zostać, bo impreza była ponoć bardzo romantyczna).

Na razie wszyscy mają nadzieję, że Warpechowski da performance.

Już się wydawało, iż będzie ona. Artysta po długim wykładzie zaczął czytać swój artykuł z fachowego wydawnictwa Kolejnego lamali się: muzycy, wokalistki, pies reżysera i jego pan. Reszta przewidywała taki koniec performance: kiedy zostanie ostatni słuchacz na sali, artysta jako pointe pokaze mu język z odciskami od mówienia. Ale nie, plastycy okazali się rozumieć starszego kolegę i nawet rozpoczęli o czymś dyskusję. Do mnie dotarło z tego wszystkiego, że przy aktach twórczych nie wolno pytać o pozwolenie, lecz czynić co nakazuje obozowa. Zabrałem się więc i zaszedłem do sąsiadek ostatni raz skorzystałem z grzałki.

Po drodze udało mi się podłuszczyć opis jeszcze jednej gry towarzyskiej — „Kłękamy na kłęczniku Wskazujące palce złożonych dionij wtykamy wąwalek do dziurki w nosie. Zamykamy bez, silnie naciskamy kłęcznik na pulbit, a kłęcznik przewraca się do przodu. Nie otwierając oczu poruszamy delikatnie wspomnianymi wskazującymi paluszkami. Jeżeli drapiemy się w powieki od snu — to wygraliśmy...” Grunt to tradycja...

Kartoflanka

Dokończenie ze strony 1

nem jakiejś nędznej, grafomańskiej broszury dla nieletnich, zamiast obrażać ludzi dobrej woli ze służb socjalnych i rachujących samorządów, co starają się zapewnić byt pracownikom, kupując plody rolne nawet wprost u chłopów? Literaci do pióra, cholera jasna!

Próbuję to właśnie czynić, panowie. I odpowiadam na ewentualne, postawione zjadliwe zarzuty. Otóż ów antyosobnik nie odrywa się od rzeczywistości ani od swojej klasy. Chyba że symptomem oderwania jest oglądanie telewizji i lektura pewnej ważnej gazety. Tego jednak nie można mi zarzucić ponieważ ostatnio zmieniło się kierownictwo propagandy i środki masowego przekazu stały się jakby inne. Stąd też nie wierzymy plotkom i nie robimy paniki „w temacie kartofle” jak powiadają mówcy na sztabowych naradach. Wprawdzie z jednej strony ktoś nas straszy, że zbierze się o 30 proc. ziemniaków mniej niż w roku ubiegłym, lecz wszystkie znaki na ziemi wskazują, że tych jadalnych będzie pod dostatkiem.

Po pierwsze — rolnikom zaproponowano dość zachęcające ceny skupu.

Po drugie — ceny w detalu nie będą wygórowane, gdyż rząd zalecił urzędowo, po 1300 złotych za kwintal.

Po trzecie — żeby mafia kartofliana nie obłupiła doszczętnie chłopów na targowiskach, prezydent Niewiadomski podjął decyzję, w myśl której samochody i wozy konne z płodami rol-

nyimi z woj. łódzkiego i przygranicznych gmin ościennych mają prawo wjeżdżać na prawie każdej łódzkiej ulicy i handlować swobodnie, przy minimalnej opłacie za „placowe”.

Po czwarte — ziemniaki dojrzały wcześniej niż zwykle i nastąpił ich znaczny wysyp. A ponieważ skup ruszył też wcześniej, bo już od 1 września, magazyny GS są wprost zawałone. Istnieje nawet groźba odsyłania chłopów do domu. Ale GS muszą kupić wszystko. Tymczasem zakłady pracy zwlekają z odbiorem ziemniaków zamówionych dla załóg. Nie wydaje się, iżby czekały na obniżkę cen, gdyż ta chyba nie nastąpi. Najprawdopodobniej chodzi o kłopoty z transportem, a szczególnie o koszty transportu. Ale o tym też potem...

Zdaje sobie sprawę ze skutków kryzysu. Jest w kraju sporo biedy, spadły dochody realne, rosła koszty utrzymania. Ale czy naprawdę wszyscy jesteśmy aż w takiej nędzy, żeby jak jeden mąż, bez względu na zarobki i sytuację rodzinną, czekać na kredyty udzielane przez zakłady pracy przy zakupie zimowych zapasów?

Nie zamierzam pomniejszać zasięg służb socjalnych, które starają się pomóc najbardziej. Czemu jednak to szaleństwo na miesiąc ogarnia całe miasto? Czy stać nas na to? Przecież nie ulega wątpliwości, że koszty akcji „Witamina” są ogromne.

Nie wiem, ile bloków stoi w mieście Łodzi. Biorę dla przykładu blok zamieszkały przez 40 rodzin. Prawie każda pracuje w innym przedsiębiorstwie. I dlatego przez miesiąc, w dzień i w noc, zajeżdża jakiś samochód z jakiegoś przedsiębiorstwa zrzuca cztery worki kartofli i zasuwa na drugi koniec miasta (Tysiąc litrów benzyny idą na przepal, spaliny zatrzuwają powietrze, a bataliony urzędników zatrzuwają sobie mózgi statystyką).

Ale nie koniec na tym. Ponieważ mają przywieźć kartofle ktoś musi je odebrać. Toteż tysiące ludzi zwalniają się z pracy i czekają na swoje pyry. Nieszczęście polega na tym, że dość często kartofli nie przywożą w awizowanym terminie, więc trzeba się zwalniać w inny dzień.

Udajemy, że nie lepszego nie można zrobić bo tak nam wygodnie. Zwalniamy się, targamy te obrzydliwe torby cebuli, kłócimy się o worki, bo tych zazwyczaj brak w czasie akcji, i pażemy spokojnie, jak do jednego bloku podjeżdża bezproduktywnie 40 ciężarówek.

A tysiące starych, schorowanych rencistów? Tak, oni są zawsze

w domu. Oni mają czas. Nie mają za to zbyt wiele pieniędzy. A jak przwożą kartofle, trzeba je znieść do piwnicy. I biedny emeryt musi znoszącemu dać stowę w łapę. Na przepał organizmu.

Czy można uniknąć tego bałaganu i marnotrawstwa? Okazuje się, że tak. Pierwszą próbą zahamowania kartoflanego kontre-dansu jest decyzja prezydenta dotycząca wyeliminowania gangu pośredników i maksymalnego skrócenia drogi płodów rolnych od producenta do konsumenta.

Ale jest jeszcze jedno wyjście. Przecież zamówienia od zakładów pracy może przyjąć jedna firma, np. WSS „Spolem”. Należy wówczas sporządzić sprawnie listy, według ulic i numerów domów, a rozwożką, jeśli „Spolem” np. ma kłopoty z ciężarówkami, może się zająć choćby Spółdzielnia Transportu Wiejskiego.

Podjeżdża ciężarówka pod blok, zwała towar u dozorey, w niepotrzebnie zablokowanych wózkowniach, albo po prostu w piwnicznych korytarzach, i z głowy. Bo dozwiera ma listę, rozda mieszańcom warzywa i ziemniaki, w czym może pomóc iśkaś komisja lokatorska. Przy okazji mieszańcy poznają się wreszcie, zintegrują się, wzmocnią stosunki dobrosąsiedzkie i tak zamiast przez miesiąc, blok może być zaopatrzony jednego dnia. Jednym samochodem...

No tak, ale pewnie zaraz usłyszę sarkanie, że to niemożliwe. Proszę bardzo! Jeżeli jestem w błędzie, jeśli te moje wymysły są wrednym lasowaniem mózgow to można zasięgnąć rady komputera. Natomiast tym, co by mnie chcieli straszyc stanem wojennym, polecam pewną instytucję, która pokaze be/błędnie, jak z akcji „Witamina” nie robi się akcji „Nieudolność”. Adresu nie podaję, ale pewnie i tak zostanie zaprzęciem, co się wdzęcznie podlizuje juncie wojskowej. Co nie znaczy że zaraz zamknę gębę. A zamordować też się nie pozwolę. Pragne bowiem dożyć w dobrej wierze tej chwili, gdy strudzona włókiennarka o każdej porze roku będzie mogła spokojnie kupić w sklepie dwa kilo ziemniaków i pół kilo cebuli. Co daj Boże, amen...

RYSZARD BINKOWSKI

kolumna ajencyjna

KOLUMNNA SIÓDMA
(oby szczęśliwa!)

KAŻDY, KTO DRUKOWANE TU TEKSTY TRAKTUJE
SERIO — CZYNI TO NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ!

Z ajencyjnej poczty

Niedawno starszy syn brata naszego ajenta, który poprzednio pracował jako kieszmer w lokalu prowadzonym przez ajenta, z uwagi na brak możliwości podjęcia tego typu pracy na świeżo otrzymanej „Kolumnie ajencyjnej” i z powodu blisko ośmiomiesięcznego przestoju w działalności rozrywkowej lokali gastronomicznych — postanowił zostać twórcą piosenek (rzecz jasna — wielkich przebojów). W związku z tym zwrócił się do specjalisty z „Odgłosów” — Krzysztofa Drzewieckiego z propozycją zamieszczenia w „Kolumnie ajencyjnej” kwintesencji — ze względów oszczędnościowych — pierwszych kilkunastu odcinków jego cyklu Instruktażowego. Oto ten materiał bez skrótów:

CZYLI

W tzw. „branży estradowej” — z którą jestem związany od ładnych paru lat — panuje niepisany zwyczaj wzajemnego zaglądania do cudzych kieszmi. Pierwszego dnia było jeszcze za wczesnie na refleksję. Nie trzeba studiować przez ileś tam lat na filologii polskiej, by bez trudu rozszyfrować, co znaczy wyraz „darmozjad”. A poza tym jest to praca przyjemna, a ja właściwie nie oprócz pisania robić nie potrafię. Opinie były różne. Choć od piosenki przebojowej jako takiej bynajmniej nie chciałbym się odżegnawać. Zaczniemy zatem od przysłowiowego pieca. Dzisiaj czas, śledząc dalej żywot piosenki, przejść do jednego z najistotniejszych problemów współczesnej muzyki rozrywkowej. Zamierzam bowiem podzielić się moimi refleksjami z tegorocznego XVI Festiwalu Piosenki Żołnierskiej, który niedawno zakończył się w Koblężcu. Owe pół litra kosztowało tam tysiąc sześćset złotych i kupiliśmy je, z braku żyrantów, tylko raz.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Jeszcze pod koniec ubiegłego wieku, tu i ówdzie na ziemiach polskich, a w każdym razie w szkółkach elementarnych zaboru rosyjskiego, nauczyciele starej daty rozpoczynali nauczanie alfabetu od stosownego wierszyka, który kiedyś tam przez kogoś został ułożony. Nieznany nam już dziś autor, być może zasłużony na niwie pedagogicznej musiał zadać sobie niemało chwalebne- go trudu układając tekst w ten sposób, żeby pierwsze litery kolejnych słów były zgodne z kolejnością liter alfabetu, w efekcie powstał utworek, o którego literackich i poznawczych zaletach nie ośmielamy się wyrokować, uważamy jednak za swój obowiązek ocalić ten wdzięczny plód rodzimej mnemotechniki od niezasięzzonego zapomnienia. A oto on.

Rozkosze edukacji

Adam Babie Cebulę Daje
Ewa Figi Gryzie
Hyży Jirzy Kapustę Laską Łamie
Mama Nóż Oknem Podaje
Rysiu Stasiu Tata Umarł
Wszyscy Xięża Ydą Za nim.

Prawda, że i mile to, i użyteczne? Bylibyśmy wdzięczni, gdyby ktoś zdołał ustalić czas powstania utworu i nazwisko jego autora.

J. K.



PERŁY MAM, GORZEJ O WIEPRZE

Uchwała Kolegium

Kolegium redakcyjne KOLUMNY AJENCYJNEJ (obradujące w składzie: AJENT — przewodniczący kolegium, KUZYN AJENTA — sekretarz kolegium, SZEFEK KUCHNI — członek kolegium d.s. napoi i zakąsek) podjęło uchwałę stwierdzającą iż:

Jujka jest śmieszny!

choć papier, na którym Wydawnictwo Morskie (Gdańsk — 1981) wydrukowało zbiorek rysunków Jujki nadaje się wyłącznie do czegoś, co wprawdzie umiemy nazwać, lecz raczej nie w druku.

Zgodnie z uchwałą postanowiliśmy tedy w Jujkę zainwestować — a ZAIKS prosimy nawet o przesłanie rachunku — przedrukować jeden rysunek na tej, drugiej na przysłanej, a trzeci na pozaprzysłanej kolumnie. Jak to mówią: DO TRZECH JUJKÓW SZTUKA!

Lament Ajenta



Foto: M. Zajdler

My, Ajent, pomyliliśmy się ciężko, sądząc w swojej naiwności, że życie żurnalisty ustane jest różami; może zresztą i jest, kwiaty wszakże dawno już upadły, a kolce pozostały. Niewiele wody upłynęło w Łódce (o ile w Łódce w ogóle płynie jakaś woda), a już zdążyliśmy zrazić do siebie tych, których chcieliśmy pozyskać, choć nie potrafiłmy jednocześnie zniechęcić innych, których chcieliśmy przepłoszyć.

W gastronomii sprawy te wyglądają względnie prosto. Niepożądany klient jest po prostu nie obsługiwany tak długo, aż sobie wreszcie pójdzie, aby nigdy nie wrócić. Z autorami, jak się okazuje, jest dokładnie wręcz na odwrót: ci, których nie obsługujemy, to jest nie drukujemy, odpowiadają nam dziwnie często. Drukowanie niepożądanych autorów jest podobno jeszcze groźniejsze, gdyż wówczas częstotliwość wizyt się zwiększa, nie posiadamy zaś w redakcji tak zwanego wykładowy, natomiast w knajpie — posiadaliśmy.

Pozyskiwanie ludzi też nie okazało się naszą specjalnością, gdy w życiu gastronomicznym opanowaliśmy tę sztukę. Do gotowania w naszym garniturku wyglądającego na początkującego urzędnika, który przyszedł przepić pierwszą pensję, mówiło się po prostu „Panie kierowniku”. Do kogoś, kto wyglądał na kierownika, mówiło się „Panie dyrektora”. Do kogoś, kto wyglądał na dyrektora, mówiło się „Panie ministra”. Do kogoś, kto wyglądał na ministra nie się nie mówiło, bo ministrowie nie przychodzą do byle spelunki.

Zdarzało się wprawdzie niekiedy, że ktoś wyjątkowo skromny repikował na przykład: „Nie jestem ministrem”, ale wówczas okrzyk: „Doprawdy, a słyszałem, że ma pan być powołany”, tak czy siak robił dobre wrażenie. Nadto facet, którego nazwaliśmy ministrem, rzadko kiedy grypsał nad świeżością kotleta, bo prawdziwy minister ma na głowie sprawy państwowej wagi i nie będzie zajmował się głupstwami.

Jak jest z tym w dziennikarstwie wciąż jeszcze nie wiem i pewno nie dowiemy się nigdy, gdyż ogólnie niezadowolone zarówno autorów, jak i czytelników gotowe sprawić, że kierownictwo „Odgłosów” wyleje nas z ajencji i to może dzieje się szybko. Roztropnie rozglądamy się wprawdzie niemal od pierwszej chwili za nową robotą, jedyne, co nam przychodzi jednak do głowy, to budka z lodami, a tymczasem, idzie jesień, po jesieni zima, wątpliwe, czy zimą ktoś będzie jadł lody i czy nie zamarznemy na śmierć w tej budce.

Postanowiliśmy tedy jakoś przetrwać z jakże polskim okrzykiem „Aby do wiosny!” na ustach. Obiecujemy przeto solennie, że będziemy odłączyć układy i miły, nigdy nie napiszemy tego, co myślimy, a nawet nigdy nie pomyślimy tego, co powinniśmy na zdrowy rozum pomyśleć. Stajemy się głupsi, ślepi i wyrzekamy szyderstwa, zwłaszcza z kierownictwa redakcji. Nie będziemy też atakować wiatraków, które (patrz zdjęcie!) trzymają się wcale krzepko.

Jednocześnie wymazujemy spod tak zwanej główki cenę, która się nie przyjęła, nikt nie chce bowiem bilonem za Kolumnę Ajencyjną płacić, wpisujemy natomiast nowe, niejako profilaktyczne hasło:

KAŻDY, KTO DRUKOWANE TU TEKSTY TRAKTUJE
SERIO — CZYNI TO NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ.

AJENT

● Lektury przy jedzeniu

Zarzucono nam, że lansujemy kuchnię litewską, gdy potrawy innych kuchni są równie smaczne w czytaniu i równie trudne w zrobieniu. Prosimy uprzejmie, oto przepis z książki Anny Czerni „Włoskie potrawy na polskim stole” (Wyd. Watra 1973).

SZYNKA Z MELONEM

400 g surowej wędzonej (ewentualnie gotowanej) szynki, 400 g melona.

Z cienko pokrajanych plasterków szynki ułożyć wachlarz, a w miejscu, z którego się on rozchodzi, położyć kilka cząstek obranego i pozbawionego pestek surowego melona. Przystawkę tę można ułożyć na półmisku. Najczęściej podaje się ją w porcjach, dla każdego na osobnym talerzyku.

Z książeczki Horacego Safrina „Przy szabasowych świecach — wieczór drugi” (Wyd. Łódzkie 1981) wybieramy kilka kolejnych anegdot z rozdziałiku „Geszefty”.

Horacy Safrin

Geszefty

Rozmowa przed „gmachem” gładzi:

— Halo, Fisz! Jak ci się wiesz?

— Spekuluję w minach.

— To bardzo wysoko notowane akcje. Skąd masz na to pieniądze?

— Ach, źle mnie zrozumiałeś! Stoję tu obok portalu, a gdy ktoś wychodzi z wesołą miną, proszę go o pożyczkę...

...

Uszer Gold, handlarz zboża z małopolskiego miasteczka, zmuszony jest spędzić noc w Lwowie, więc udaje się do hotelu.

— Proszę o pokój dla jednej osoby — zwraca się do portiera.

— Z bieżącą wodą?

— A cóż to ja jestem? Pstrąg?

...

Natomiast inny kupiec z Małopolski — Izaak Karp —

wybrał się w sprawach handlowych do Krakowa i zajął do Hotelu Francuskiego.

— Proszę o pokój.

— Z łazienką? — pyta portier.

— Panie szanowny — powiada nowo przybyły gość — Ja się tylko nazywam Karp...

...

Rozmowa dwóch kupców:

— Słuchaj no, Fajwel, gdzie przebywałeś przez okrągłe pół roku?

— Podróżowałem.

— To dlaczego nie wniosłeś odwołania?

Czy to jest to



1 Zdarzenia i zwierzenia

Twórca i anonimowość

Przed rokiem wyrzekałem w tym miejscu na telewizję, że nie mogła skoordynować swych poglądów na głosny w swoim czasie spór o rzeźbę prof. Jerzego Jarnuszkiewicza „Mały powstaniec”. Spór — jak wszystkie spory w owym czasie — miał swoje podteksty i swoje „grupy nacisku”.

W normalnych bowiem warunkach do sporu w ogóle dojść nie powinno. Otóż w 1946 roku prof. Jarnuszkiewicz stworzył rzeźbę szeroko później znaną jako „Mały powstaniec” lub „Antek rozpylac”. Przedstawia ona chłopca w opadającym głęboko na oczy hełmie, panterce, przydużych wojskowych butach i z automatem na piersi. W kilka lat później odlew tej figurki pojawił się na wystawie sklepowej jednego z warszawskich zakładów brązowniczych. Jego właściciel sprzedawał odlew, nie podając na nich ani autorstwa Jerzego Jarnuszkiewicza, ani nie pytając go o zgodę.

Warszawski brązownik twierdził, że wykonane przezeń kopie są reprodukcją projektu rzeźbiarza Jana Małeta. Kiedy po latach sprawa znalazła się w sądzie, Jan Maleta już nie żył (zmarł w 1962 roku), rzemieślnik upierał się przy „swoim” autorze, a telewizja w jednej audycji optowała za Jarnuszkiewiczem, w innej zaś — za Maletą.

Trochę to było dziwne, bo każdy, kto o tej sprawie miał odrobinę pojęcia, wiedział, że rzeźba Jarnuszkiewicza uzyskała nagrodę na konkursie ZPAP już w... 1946 roku i zachowywała się jej zdjecia z owego czasu. Plagiat był niewątpliwym, ale rzemieślnik w międzyczasie ofiarował „swoją” powiększoną kopię. Centrum Zdrowia Dziecka, czym zyskał dodatkową reklamę i określone poparcie.

Finał tej sprawy nastąpił niedawno przed Sądem Najwyższym, który zatwierdził wyrok Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. Wyrok nakazał m.in. pozwanemu rzemieślnikowi na własny koszt i własnym staraniem zamieścić w prasie anons następującej treści:

„W wykonaniu wyroku Sądu Wojewódzkiego w Warszawie podaje do wiadomości że rzeźba, której twórcą pomysłu i kompozycji rzeźbiarskiej jest Jerzy Jarnuszkiewicz, była w mojej pracowni wielokrotnie na i rozpowszechniona bez zgody autora i z tego powodu składam wyrazy ubolewania”.

Jest to finał prawny, bo wiem w życiu różnie bywa i różnie być może w przyszłości. Rozpowszechnione figurki warszawskiego rzemieślnika łatwo mogą się stać łupem różnego rodzaju wytwórców pamiątek i trafić do tysięcy sklepów z galanterią. Tak jak to się stało z przedwojenną figurką Piłsudskiego (prawdopodobnie autorstwa Zdzisława Czermańskiego), albo z medalem Kościuszki z początków wieku XX, które, tłoczone w plastikę, sprzedaje się bez ograniczeń w prywatnych sklepikach.

Podobnie jest z zaprojektowanym przez Janinę Broniewską orłem plastowskim i dywizji im. T. Kościuszki, który dziś wytwarzany jest przez metaloplastyków bez jakiegokolwiek dbałości o jego autentyczny wygląd.

Oczywiście, takie bezpardonowe przywłaszczanie sobie efektów czyjejś twórczości jest dla autora i bolesne, i irytujące. Ale sądzę, że zjawiska ma także i dodatkowy aspekt. Kiedy bowiem dzieło sztuki zostaje bez reszty zaakceptowane przez społeczeń-

stwo, odrywa się niejako od osoby twórcy. Taka anonimowość bywa także nobilitacją. Wszyscy na przykład znają słowa hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła” — a przecież tyś się nie napisał poeta Józef Wybicki. Nawet studenci na pytanie, kto napisał tekst hymnu, odpowiadają, że... Dąbrowski.

Więc może nie zawsze warto kruszyć kopie o autorstwo, skoro dzieło na stałe wpisuje się w ludzką świadomość.

JERZY WILMAŃSKI

2 Lewym okiem Chojny

„To w ogóle nie jest miasto, tylko bezsensowne, obce naturalnemu wzrostowi sfilozofowanie sześciuset tysięcy mieszkańców w ciasnej przestrzeni, nic więcej. Żadnej tradycji, jak w innych miastach Polski, żadnych uroków”.

Tak pisał o Łodzi w 1935 roku Niemiec, Heinrich Koitz, w swej książce pt. „Am Rande Europas”, czyli „Na krańcach Europy”. Polska to już były dalekie kresy tej części świata dla autora, który mieszkał we Wrocławiu, a więc tuż za miedzą. Był znawcą spraw polskich, znał świetnie nasz język — a może nie „znał”, tylko „zna”, bo nie wiem czy jest wśród żyjących — tłumaczył na niemiecki wielu naszych wybitnych autorów.

Trzecia Rzesza w ówczesnym, początkowym okresie swego istnienia bardzo zabiegała o rozbicie dobrego wrażenia za granicą, zwłaszcza w Polsce, z którą zawarła polityczne przymierze. O Piłsudskim, który był właśnie u szczytu władzy, a także o jego otoczeniu, wyrażali się hitlerowcy w samych superlatywach. Ten sam Koitz wydał książkę „Männer um Piłsudski”. („Ludzie wokół Piłsudskiego”), zawierającą kilkanaście sylwetek z oficjalnej „góry” sanacyjnej — wszystkie odmalowane pochlebnie, i wielką rewerencją. Ale kraj rządzony przez tych ludzi — obok dostrzeżonych i pochlebnie opisanych zabytków — przedstawiał mu się jednak jak zlepek rażących sprzeczności, dużej kultury obok analfabetyzmu, rządnych gospodarstw obok prymitywu, bogactwa obok skrajnej nędzy. Przykładem tego, co w Polsce najgorsze, stała się dla Koitz Łódź, a jeszcze ścisiej — jedno z jej przedmieść: Chojny.

„Jak nie zna się Polski, nie znając Łodzi, tak nie zna się Łodzi, nie znając najdziwniejszego z przedmieść: Chojen. To już nie są ulice, to budy zaledwie śmiały marzyć o tym, aby być domami. 20-30 tysięcy ludzi koczują tutaj w wielkim ścisłości — robotnicy okazyjni, bezrobotni, ludzie z marginesu. Ponieważ oszczędza się na oświetleniu ulicznym, kazano domy i parkany pomalować na biało, aby było widnieć w nocy. Lepianki ze starych kradzionych cegieł, budy drewniane; w klinie między dwoma stojącymi skośnie domkami skłębli nędzną trójkątną budę szewca, tam mieszka z rodziną i pracuje. Obok niego Niemiec prowadzi „sklep” wielkości stołu, za płócienną zasłoną w głębi jest jego „mieszkanie”. Siennik na gołej ziemi, dzieci „dorastają nie znając kosztu, łóżko to wielki luksus”.

„Jaka różnica między Łodzią a Poznaniem!” — wola Koitz i oczywiście podkreśla przyczynę tej różnicy: Poznań był przecież urządzony przez Niemców, a Łódź stanowiła najdalszy kraniec zafanowanego imperium carskiego, rządzonego przez wschodni prymityw.

Brak kanalizacji, straszne ulice, zgnite domy. Bardzo słaby stan zdrowotny mieszkańców. Bardzo wysoki procent Zydów. „Ci ludzie nie nie wiedzą o swym państwie, narodził się im Wiedza tylko, że są głodni. Nie ma większej nędzy na świecie, niż w łódzkiej dzielnicy żydowskiej...”.

To było niespełna pięćdziesiąt lat temu, w Polsce, którą dobrze pamiętam, (i te białe parkany też), a o której ostatnio krążyły zaczynały niewczesne, zaigane, inspirowane nie zawsze czystymi pobudkami miły. To są miły służebne, a służyc mają celom bardzo politycznym. Nie znoś miłoty i nie znoś służebności historii. Pamiętam Polskę złą i dobrą, pełną wspaniałych ludzi i rozpaczliwej nędzy, dźwigającą się rzetelnym i godnym sprawiedliwej oceny trudem ku poziomowi europejskich państw. I właśnie chodzi o sprawiedliwą ocenę, o obraz jak najdalej od mistyfikacji. Dlatego zacytowałem tu słowa z tamtego czasu — o tamtym czasie; słowa człowieka z zewnątrz, nie zainteresowanego. Może warto przypomnieć sobie tamte Chojny, po prostu: dla uniknięcia skrzywienia perspektywy?

Włodzimierz Krzemiński (Cwiek)

„Tu i Teraz”, „Przegląd tygodniowy”, „Veto”, ale także i wychodząca wcześniej „Rzeczywistość” napływają tedy do Łodzi — i nie tylko do Łodzi — w ilościach znacznie większych, niż rynek zdoła wchłonąć, znaczna część tak zwanego nadziału idzie tedy do zwrotu. Po jakimś czasie nakład będzie jednak można zmniejszyć do realnej wysokości, ale pewna ilość czytelników tytułowi pozostania wierna i to powinno się opłacić.

„Przedsiębiorstwo otrzymuje 27 proc. marży od ceny sprzedanej gazety bądź czasopisma, ale jednocześnie obciążone jest połową kosztów każdego numeru nie sprzedanego; drugą połowę kryje wydawca. Innymi słowami za każdy sprzedany numer „Ogłosów” może sobie „Ruch” wleźć w zyski 5,40 zł, ale za nie sprzedany — buł 10 złotych.”

Rachunek możemy rozwinąć i żeby odczepić się wreszcie od „Ogłosów”, zapiąć się do „Karuzeli”. „Karuzela” jest pismem wysokonakładowym i dochodowym, są więc zyski, które dzieli między siebie wydawca — a więc Łódzkie Wydawnictwo Prasowe — i „Ruch”, jednak ten ostatni proporcjonalnie do tego, na jakim terenie „Karuzela” została sprzedana. Spora część nakładu tradycyjnie idzie na przykład na Śląsk, w konsekwencji na „Karuzeli” zarabiała stosunkowo nieliczną śląską centralą „Ruchu”. Prócz zysków, powtórzymy, bywają jednak i straty.

Włodzimierz Krzemiński (Cwiek)

3 Spojrzenie z nad szachownicy

Godzenie ognia z wodą

Przed tygodniem usiłowałem przedstawić wcale nieprostą sytuację „Ruchu”, który acz powołany do upowszechniania prasy i książki z biegiem lat tak się wmanewrował, że na prasie zaczął coraz to wyrażanie tracić na „mydło i powidlę” (nie mówiąc już o papierosach) — zarabiał, że wciąż jednak było to przekładanie pieniędzy z kieszeni do kieszeni, nikt się tym jednak specjalnie nie przejmował, a życie pogodnie biegło swoim torem.

A teraz trzask prask mamy reformę gospodarczą, zaczynamy mówić o jakimś tam rachunku ekonomicznym i spodziewamy się nawet, że wszyscy przyuczą się myśleć i działać po nowemu. Niedaleko szukając, redakcje gazet i czasopism — pamiętając o nowych cenach — wprost wylazły ze skóry, aby swoje tytuły uczynić możliwie atrakcyjnymi dla czytelników, spodziewają się też, rzecz prosta, że „Ruch” będzie je wszechstronnie wspomagał i wspinał koleportował.

„Ruch” istotnie deklaruje gotowość, zaczyna wprowadzać — może zbyt wolno, ale jednak zaczyna — różne nowatorskie rozwiązania; efekty nie są wszelako tak świetne, jakby się tego pragnęło.

— Powinno być lepiej i już! — krzyczą w tym miejscu moi jakże pełni temperamentu koledzy.

— Na „powinno być lepiej” zgoda — replikuję z bezpiecznego oddalenia, jako że wykrzystuję właśnie resztki urlopu. — Natomiast „i już” mi się nie podoba, okrzyk wzięty bowiem został z systemu dyrektywno-nakazowego, który wcale słusznie zgodnie uznaliśmy za niezbyt skuteczny.

państwu przedstawiony przez tygodniem rachunek, cytując prawdziwie jeszcze nie Parkinsona, ale na początek siebie samego:

„Przedsiębiorstwo otrzymuje 27 proc. marży od ceny sprzedanej gazety bądź czasopisma, ale jednocześnie obciążone jest połową kosztów każdego numeru nie sprzedanego; drugą połowę kryje wydawca. Innymi słowami za każdy sprzedany numer „Ogłosów” może sobie „Ruch” wleźć w zyski 5,40 zł, ale za nie sprzedany — buł 10 złotych.”

Rachunek możemy rozwinąć i żeby odczepić się wreszcie od „Ogłosów”, zapiąć się do „Karuzeli”. „Karuzela” jest pismem wysokonakładowym i dochodowym, są więc zyski, które dzieli między siebie wydawca — a więc Łódzkie Wydawnictwo Prasowe — i „Ruch”, jednak ten ostatni proporcjonalnie do tego, na jakim terenie „Karuzela” została sprzedana. Spora część nakładu tradycyjnie idzie na przykład na Śląsk, w konsekwencji na „Karuzeli” zarabiała stosunkowo nieliczną śląską centralą „Ruchu”. Prócz zysków, powtórzymy, bywają jednak i straty.

Stołeczni wydawcy przyjęli na przykład rozsądną jak sądzę zasadę promowania wprowadzanych przez siebie na rynek tygodników, zwłaszcza tytułów nowych, jeszcze mało znanych.

„Tu i Teraz”, „Przegląd tygodniowy”, „Veto”, ale także i wychodząca wcześniej „Rzeczywistość” napływają tedy do Łodzi — i nie tylko do Łodzi — w ilościach znacznie większych, niż rynek zdoła wchłonąć, znaczna część tak zwanego nadziału idzie tedy do zwrotu. Po jakimś czasie nakład będzie jednak można zmniejszyć do realnej wysokości, ale pewna ilość czytelników tytułowi pozostania wierna i to powinno się opłacić.

Ta rozsądna z punktu widzenia wydawcy polityka rykoszetem bije jednak „Ruch” po kieszeni, wszak połowę kosztów nie sprzedanych numerów on to właśnie musi pokrywać! Póki co, niejako na zasadzie sily bezwładu, „Ruch” się na to zgadza, jakoś się podsumuje, zbilansuje i wyjdzie na swoje. Wcześniej czy później — pomyślawszy o premiach, wskaźnikach, wynikach i innych cudach — „Ruch”, zjednoczony wspólnym interesem pracowników, zacznie się jednak bronić. Zacznie — co najmniejszymi przepowiadam — gwałtownie uciekać od kolportażu pism może społecznie potrzebnych, ale mających niezbyt wielu czytelników, kłopotliwych przeto i niosących ryzyko nadmiernych strat.

Albo albo. Albo upowszechniamy prasę, albo próbujemy wszędzie i na wszystkim zarabiac, jeżeli zaś chcemy koniecznie godzić ogień z wodą, trzeba odejść od pokrzykiwania i zabrać się do myślenia.

Wydawca może — i powinien nawet — prowadzić długosiężną politykę, podejmować trudne decyzje, mówić: na tym zarabiam, na tym tracę, potrzebna jest „Przyjaźniówka”, ale potrzebny jest także wysocy specjalistyczny, unikalny w skali europejskiej „Dialog”. Ważniejszy jest społeczny efekt rzeczywistej wszechstronności w sferze masowego komunikowania, aniżeli parę złotych zaoszczędzonych tu czy ówdzie.

Splendor posiadania wśród gamy tytułów takiego na przykład „Dialogu” spływa jednak i na wydawcę, przeto ten, zarówno w interesie społecznym, jak i dla honoru domu, może pismo nawet bardzo wysoko dotować.

Czemu jednak „Ruch” ma się z tym męczyć? Albo inaczej: dlaczego nie można wprowadzić takiego systemu ruchomych, umownych marż, premii, prowizji za podniesienie efektywnej sprzedaży pisma, iżby „Ruch” bardzo chciał męczyć się z każdym tytułem, aby opłacało się „Ruchowi” pogłównkować, czy coś kiepsko idące w Kaliszu nie ma większych szans w Kielcach, bądź odwrotnie. Oczywiście jakiś tam zespół redakcyjny — oby nie nasz akurat! — może się okazać tak nieudolny, że żadne główkowanie nie pomoże i sam wydawca na tytuł machnie ręką, ale to już

zmartwienie nie na dziś, a dopiero na jutro.

Sprawą na dziś jest natomiast takie ustawienie systemu marż i prowizji aby myślenie, zaś nade wszystko przeorganizowanie przyzwyyczajonego do łatwego życia aparatu, zaczęło się „Ruchowi” po prostu opłacać. Dobra wola jest rzeczą bezcenną, być może od czasu do czasu naciski też jeszcze wywierać trzeba, podstawowa sprawa przy wprowadzaniu reformy gospodarczej polega jednak, jak wiadomo, na wypracowaniu mechanizmów, które naciski uczyniłyby zbędnymi, a dobrą wolę i umiejętności — premiowały w sposób wymierny.

Dlaczego nie zacząć od prasowego podwórka?

JERZY P.

4 Felieton niewesoły

Cyrk małpa stoi

Pamiętacie kapitalny monolog z życia cyrku pod tym tytułem w niezrównanym wykonaniu Piotra Fronczewskiego? Jakoś go radyjko ani telewizja nie przypominają, a szkoda, bo cichych, soczystych porównań i metafor tam bez liku i każdemu z nas łatwiej się przypina. Ale o telewizji nie wspominał. „Chłopów” jeszcze jest parę odcinków, w rezerwie „Kloss”, „Doktor Ewa”, „Czarne chmury” i parę innych. A póki co szef Loranc na coraz prostsze pytania czarująco odpowiada, premieży i ministrowie gęsto się tłumaczą, i tylko pani Falska gdy spokojnie czyta tekst o lodowatym radzieckich kosmonautów, ma na wizji jakieś rozruchy w Indiach.

A wszystko dlatego, że człowiekowi ciągnie niepotrzebnie na wakacje, wczasy, choć dwa tygodnie wypoczynku. Jak siedzisz w domu to cię nie nie dziwi. Spokojnie znosisz okradane permanentnie skrzynki na listy, zepsute windy, działający jak mu wygodnie telefon, czy brak żyletek do golenia. Nawet brak ciepłej wody przez dwa miesiące nie jest cię w stanie z równowagi wyprowadzić: z uśmiechem wiazisz pod lodowaty natrysk i tłumaczysz sobie, że na przykład na „Kanarach” też zapewne prowadzone są letnie przeglądy sieci ciepłej. Ale polazisz po górach, na plaży poleżysz, ryby w jeziorach cichych połowisz i taka „odwykówka” zdrowie ci niewątpliwie nadzarpnie. Bo oto z żaglówka jeszcze w oczach wracasz do domu i wpadasz w tą codzienną matnię, płatącinę bzdur i nonsensów. Jakbyś do cyrku wszedł przypadkiem...

I dziwi cię wszystko, drażni, wściekasz się o każdy drobniaczek. A drobiazgiem jest u końcu fakt, że po wakacjach gonisz już resztkami paliwa, bo wszystkie odcinki masz w swym załączniku PZU zaostemplowane. Frajer jesteś, bo wszyscy wokół jeżdżą bez większych przeszkód. Etylny było mało, aż tu raptem zniesiono reglamentację na „niebieską”. A „żółta”? Tłumaczono ci kiedyś, że wystarczyś dać do tej gorszej jakiegokolwiek czterostylku ołowiu czy czegoś w tym rodzaju i otrzyma się więcej tych oktanów. To jest tego paliwa pod dostatkiem czy nie?

Pewnie, można z samochodu nie korzystać, nie ma butów w sklepie — lataj na okrągło w tenisówkach, telefon nawała — kup sobie tubę itd. Wytłumaczenie jest zawsze więc czym się denerwujesz? W najgorszym razie wyjaśnij

ci, że brakuje wsadu importowego. A brakuje go ponoć wszędzie. Straszna cię, że wkrótce normalnie polerowanej łyżeczki do herbaty nie kupisz! Bo jedno z Okręgowych Przedsiębiorstw Surowców Włóchnych, monopolista w kraju w produkcji tarcz i szczotek polerskich nie ma tego wsadu. A niby skąd ma mieć? Ze sprzedazy szmat? Ale dla odmiany, za parę kilogramów makulatury możesz sobie welwet na spodnie kupić w którymś ze specjalnych punktów handlu wymiennego. Tylko patrzeć, jak za stare garnki kupisz coś w „Peweksie”. Tylko kto ma teraz stare garnki?...

Z makulaturą też krucho. Jeden „Ruch” dzięki swym staraniom powinien jej mieć pod dostatkiem. Na tej i sąsiednich kolumnach „Ogłosów” walczy się o nakład, wytyka zbyt wygórowaną cenę, a ty sam widziales w eleganckim kiosku w reprezentacyjnym hotelu „Katowice” w stolicy Śląska ów poczynny tygodnik z datą 30 lipca br. A był już, dzięki Bogu, drugi dzień września. — Nowszych jeszcze nie ma — uśmiechnęła się wówczas czarująco paniienka z okienka. Drobiazg, przywykniecie.

Z telefonu na wczasach też nie korzystałeś, więc i nerwy podreperowałeś. Ale zaczęło się! Niechby była i cały czas „rozmowa kontrolowana”, byleby była w ogóle, zamiast tych gwizdów, „sygnału zajętości”, głuchego buczenia. Ej, odzwyczaili się. Za to rachunek dostaniecie, jakbyś całe dni na Filipiny wydzwaniał, albo z Bonkiem we Włoszech dłuższe pogaduchy ucinał.

I nie śmiejesz cię nawet autentyczny przypadek znajomej, która po latach oczekiwania na zainstalowanie aparatu i wielu pisemnych odmowach, poszła po rozum do głowy i efektem krótkiej wymiany zdań z majstrem-specjalistą był działający w tydzień telefon. Pointa? Gdzieś w miesiącu później otrzymała kolejny dokument: „W odpowiedzi na Wasze pismo, numer, nasz znak, itd., z powodu trudności kablowych... okres realizacji przesuwamy na rok 1984.”

Wszystko cię drażni, znów zaczynasz palić jak lokomotywa. A co kupisz, na kartki czy bez — to do siebie jakos dziwnie podobne. „Aroma!” jakby ten sam i prawie każdy pęk, bibułka się rozkleja, filtr opada. Tak, tak, znów ten wsad importowy...

Upić się ze złości też nie możesz, choć wódeczki różne w wolnej niemal sprzedaży. Chyba że dysponujesz podreęcznym przyborniczkiem „Mały ślusarz”. Czyż to pacjent tłoczyć nakrętki z blachy pancerniej? Skórę zedrzeż, palec utniemy — a nie odkredzić. Może wrócimy do zalakowanego korka, ale to pewnie znów ten wsad.

Skończyć z sobą też nie możesz: sznurkę poszedł cały do snopowiazalek, żyletek brak z gazu nie warto korzystać (jaki rachunek by przysłał!) Utopić się też nie bardzo jest: gdzie: w wannie woda lodowata (znów coś sprawdzają przed zimą...), a w łódzkiej akwenach toń czegoś gęsta...

Daj spokój — trzeba się przyzwyczaić. Przywykniesz — następną wakację dopiero za rok. Jeszcze dzień, dwa i spokojnie będziesz popijał sodową w butelkach po „Pepsi”, słuchał narzekania na niezalatane dachy (nie ma papy — wsad), a przed nami zima. Czyli: nie ma soli, plugów, brak samochodów, ogumienia, akumulatorów, paliwa etcetera. I na luzie stojąc w kolejce po „Licznaki szkolne” dla dziecka, rzucisz sąsiadowi do ucha najmodniejszy ostatnio dowcip: „Słyszałeś pan co szykują w „Ursusie”? A na jego zaciekawione spojrzenie zaszycisz mu tajemniczo: „Traktory”...

PS. Ponieważ w tym smutnym w sumie tekście użyłem parę razy słowa „czyli”, wole od razu przeprosić Krzysztofa Drzewieckiego za ten fakt. Szanowny Kolega twierdzi bowiem, iż to jego patent, co prawda na razie wyłącznie w tytułach, ale — „daj kurze grzędę...” Uśmiełem się też czytając, że ponoć przez ów „identyfikator” mój tekst przypisano niezrecznie wyżej wspomnianemu. Ej, przeszedł pan, panie Krzysiu z tą autorką...

DARIUSZ D. czyli ROZBAWIONY

Terroryzm atakuje świat na różne sposoby. Zamachy bombowe, porwania dyplomatów i okupacja ambasad, u-prowadzanie samolotów i zabójstwa określonych bądź przypadkowych osób.

Coraz więcej państw dochodzi do przekonania, że żaden kraj, naród czy rząd nie może liczyć na to, iż zostaną zaoszczędzone mu akty terrorystyczne lub innego rodzaju akty przemocy. Poza stwierdzeniem, że terroryści to ludzie stosujący gwałt jako środek do osiągnięcia swego celu, trudno określić ich wszystkich jednoznacznie krótką definicją. W grę wchodzi różna motywacja, ostatnio częściej nawet kryminalna niż polityczna, różne metody działania, a w wielu przypadkach te same pobudki wyznaczają odmienne cele.

ATAK NA SANKTUARIUM

Ambasady — teoretycznie sanktuaria, nie podlegające przemocy — były nimi w istocie przez długie lata. Jako przykład nietykalności budynków dyplomatycznych mogą służyć liczne fakty chronienia się w nich osób, które uzyskały azyl polityczny. Niestety, od niedawnego czasu siedzibom dyplomatycznym zagraża odrażające niebezpieczeństwo — reprezentuje je terroryzm, który traktuje ambasady jako najlepsze swoje cele, a ludzi, którzy w nich pracują, jako wartościowych zakładników.

„Z wolna nachodzą mnie wątpliwości czy przypadkiem nie stoimy w obliczu początku końca dyplomacji. Dyplomacji nie jako sztuki, której zawsze będziemy potrzebować, ale jako instytucji” — powiedział b. ambasador Włoch w Londynie, pracujący 42 lata w służbie zagranicznej, Roberto Ducci. Pesymizm wiążący się z tym, że dyplomacja jest coraz bardziej zajęciem niebezpiecznym, podziela wielu polityków.

Inwazja na ambasady stała się w ostatnim czasie tym samym, czym do niedawna było porwanie samolotów. „Jeśli chodzi o teatr absurdu, to oblężenie w Kolumbii nie da się chyba porównać z niczym innym. Kilkunastu zamaskowanych terrorystów zawiadło dyplomatami z 18 krajów, wśród nich 13 ambasadorami i jednym nuncjuszem papieskim...” pisał amerykański tygodnik „Time” w artykule „Czarne godziny dyplomacji”. Ale był też zamach na uczestników konferencji OPEC w Wiedniu, gdzie terroryści wzięli jako zakładników ministrów oraz wysokich funkcjonariuszy rządów i było wiele innych przykładów szokujących swą scenarią.

Liczni eksperci domagają się skoordynowanej międzynarodowej strategii łącznie z nowymi antyterrorystycznymi ustawami, które by można porównać z prawodawstwem, mającym na celu zwalczanie porwania samolotów. Porozumienia w tej dziedzinie są jednak trudne. Dla jednych osoba dokonująca aktów przemocy jest bowiem terrorystą, a dla drugich... bojownikiem o wolność.

SZTUKA PERTRAKTACJI

Tymczasem w krajach zachodnich rozwinięto wyrafinowaną technikę w walce z terrorystami atakującymi placówki dyplomatyczne. Nad wypracowaniem tej techniki trudziły się sztaby złożone z polityków, przedstawicieli służb bezpieczeństwa, naukowcy różnych specjalności... Katalog metod postępowania wobec terrorystów nigdzie nie jest publikowany, ale liczne w ostatnich latach sukcesy policji w odblokowywaniu ambasad rzucają światło na tę taktykę.

Jeszcze przed kilku laty pierwszą i najtrudniejszą kwestią było podjęcie decyzji: pertraktować czy nie pertraktować? Ten niezwykle kontrowersyjny problem miał z jednej i drugiej strony bardzo silną argumentację. Poświęcenie zakładnika może odstraszać i przekonać, że kraj nie ulegnie szantażowi, natomiast ustępstwo zwykle zachęca do rozszerzenia akcji.

Obecnie na ogół stosuje się — w pierwszym okresie — strategię nieskończonej cierpliwości i uprzejmości połączoną z odmową zawierania jakichkolwiek umów. Gdy tylko terroryści i ich zakładnicy zostaną otoczeni, policja przekonuje terrorystów, że w żadnych warunkach i w żadnych okolicznościach nie wydosłaną się ze swej sytuacji. Dalsza taktyka, po takiej lapidarnej odmowie spełnienia ich żądań, zakłada iż o kolejnych wydarzeniach decydować będzie wojna psychologiczna.

Najniebezpieczniejsze są pierwsze godziny po

Nietykalność i przemoc

HENRYK SROCZYŃSKI

zajęciu placówki dyplomatycznej czy porwaniu osób. Im dłużej terroryści przetrzymują zakładników, tym są oni bezpieczniejsi. W ten sposób policja w Dublinie zmęczyła porywaczy holenderskiego biznesmena Herremy i południowych Molukańczyków, którzy porwali po-ciąg oraz terroryzowali konsula Indonezji w Amsterdamie.

W przypadku wielu aktów terroru sprawdziła się teza, według której bezpieczeństwo zakładników wzrasta wraz z upływem czasu, gdyż porywacz nawet uzbrojony waha się przed zabiciem porwanych z chwilą gdy ich pozna. Powstaje rodzaj dziwnej przyjaźni oraz poczucia wspólnego losu między obydwiema stronami. W kilku też przypadkach, za radą psychiatrów, wstrzymano dostawę żywności i innych używek na okres dwu dni, aby terroryści przeczuli swą wrogość na policję; dopomogło to stworzeniu podstaw dla poczucia wspólnego losu między porywaczami i zakładnikami.

Terrorystów można pokonać również w sytuacji, gdy sama policja lub osoby, które zgodzą się przyjąć na rozmowę, potrafią nawiązać z nimi ciepłe stosunki. Kiedy dwóch porywaczy IRA wzięło w Londynie jako zakładników małżeństwo w średnim wieku, Scotland Yard wybrał dwóch wysokich rangą urzędników policji do kontaktów z porywaczami. Obaj zostali wybrani ze względu na to, że znani byli ze spokoju w obliczu łuf pistoletów lub zniewag słownych. Całkowicie niemożliwość wyprowadzenia tych dwóch oficerów z równowagi, przekonała w końcu terrorystów, że niczego nie osiągną.

Wielekrotnie okazało się, że w czasie gdy trwają przetargi bądź rozmowy z terrorystami, z reguły pogarsza się ich stan psychiczny. Izolacja, zdaniem specjalistów, zmniejsza świadomość prowadząc do stanu przedpsychopatycz-

nego. Rozwija się proces postępującego zmęczenia nerwowego — w tych warunkach umysł znajduje się w odwrocie tak jak królik, który nagle zaczyna uciekać, gdy zobaczy zbliżającego się drapieżnika. W wyniku długotrwałego stresu, porywacze nabierają chęci poddania się, nawet jeśli to oznacza 30 lat więzienia. Jednakże ironia polega na tym, że powstanie tego kompleksu poddania się można opóźnić lub utrudnić środkami, które są przede wszystkim przeznaczone do zapobieżenia atakowi terrorystycznemu. Eksperci i policja są zdania, że najtrudniej zmęczyć porywaczy, którym grozi kara śmierci.

CZY MINI-BASTIONY?

Od kilku lat specjalnie stworzona w USA instytucja „Consulate General of Rosslyn” w stanie Wirginia przygotowuje kadry służby dyplomatycznej do możliwie najsukcesywniejszego przeciwstawiania się terroryzmowi za granicą. W ramach tego kursu inscenizuje się fikcyjne akcje terrorystyczne i sprawdza metody samoobrony dyplomatów.

Wydatki Stanów Zjednoczonych na ochronę przed terrorem za granicą rosła dramatycznie: w 1972 r. wyniosły 14,6 mln dolarów, w 1976 — ponad 40 mln, a obecnie osiągają ponad 80 milionów. Ambasadorzy amerykańscy ponieśli śmierć w Gwatemali, Sudanie, na Cyprze i w Libanie. Terroryści atakowali ambasady USA oraz ich urzędników w przeszło 30 krajach. Choć większość tych aktów przemocy wydarzyła się w nie ustabilizowanych politycznie państwach Ameryki Łacińskiej, to jednak ataki terrorystów notowano także w takich krajach jak Japonia, Francja, Włochy, Hiszpania, Nowa Zelandia.

Amerycanie jako pierwsi przyjęli w roku 1973 zasadę, że z terrorystami atakującymi

placówki dyplomatyczne nie powinno być żadnych rokowań ani ustępstw. Wprawdzie po takiej publicznej deklaracji ogłoszonej przez Nixona w czasie porwania ambasadora USA w Sudanie, Cleo Noela i jego zastępcy George Moode'a, terroryści wykonali wyrok, ale w czasie następnych aktów terrorystycznych nie odważono się — po uzyskaniu odmowy prowadzenia rokowań — zabić zakładników.

B. sekretarz stanu, Henry Kissinger bronił zasady „odstraszania odmową”. Uważał bowiem że jakkolwiek dziś dopuszcza się do poświęceń zakładnika, terroryści dojdą jutro do wniosku, że Ameryka nie ulega szantażowi, podczas gdy ustępstwo wobec porywaczy zachęca jedynie terrorystów do wzmagania swych akcji. Z drugiej strony Stany Zjednoczone wzmocniły w krajach zamorskich ochronę pracowników służby granicznej, tam zaś gdzie pobyt jest szczególnie ryzykowny, zmniejszyły do minimum personel swych ambasad. Zdecydowano się także na używanie w celach ochronnych raczej amerykańskiego personelu wojskowego, niż lokalnej policji.

Zaszokowane przez zajęcie ambasady w Iranie, Stany Zjednoczone poczęły w nowych kategoriach rozważać problem ochrony swych dyplomatów. Eksperci do walki z terroryzmem doszli jednak do wniosku, że w zakresie zapewnienia bezpieczeństwa ambasadom można zrobić bardzo mało, z wyjątkiem zwiększenia personelu strzegącego placówki. Zgodnie sądzi się, że niemożliwe jest totalne izolowanie dyplomatów w specjalnych bastionach, gdyż w rezultacie — oprócz obniżenia ich prestiżu — mogłoby to stać się bodźcem do rozwoju terroryzmu.

Pierwszą linię obrony w ambasadach amerykańskich stanowią żołnierze piechoty morskiej, którzy są niezłomni i są specjalnie przeszkoleni do służby w ambasadzie. Ich zadaniem w przypadku rozruchów na większą skalę przeciwko ambasadzie sprowadzają się do dwu punktów: po pierwsze — do opóźnienia wargnięcia demonstrantów czy terrorystów o dostatecznie długi okres czasu, aby dyplomaci mogli zniszczyć tajne dokumenty i maszyny szzyfrujące, i po drugie — do ochrony ludzi znajdujących się w ambasadzie. Oficjalnie urzędnicy Departamentu Stanu stwierdzają, że funkcja żołnierzy piechoty morskiej jest jedynie opóźnianie, i że jest to funkcja zdecydowanie obronna, której celem jest jedynie uzyskanie na czasie, aby policja i jednostki wojskowe danego kraju mogły przybyć na miejsce wydarzeń.

Terroryści postawili w stan alarmu niejedno państwo. Fizycznymi aktami przemocy pragną zastraszyć rządy, wywołać szok i panikę w społeczeństwach. Jednakże terroryzm, choćby przyswieszczał mu najszlachetniejsze pobudki, w rezultacie kompromituje swoje sprawy i swoje cele. Przemoc skłania społeczeństwa do solidarności w obronie struktur państwowych, w obronie państwa, które może przed nią każdego z nas ustrzec.

Liczba ekstremistów, że aktami gwałtu zwrócić uwagę na wysuwane przez siebie hasła czy żądania. Każdy przypadek terroru jest przeciwieństwem natychmiast relacjonowany w świecie. Ale ten beneficjusz dla spraw, które chcą uczynić głośnymi, nigdy nie znajduje żadnego usprawiedliwienia. Ofiarami gwałtu stają się bowiem osoby zupełnie nie odpowiedzialne za stan rzeczy. Celem zaś ataku są rządy, kierujące się racjami bezpieczeństwa swych obywateli.

Wiara terrorystów w możliwość kształtowania losów państw pozostaje w rażącej sprzeczności z marginalną pozycją zajmowaną przez nich w społeczeństwach — nie mają żadnej bazy społecznej. Głoszona zaś teza, że dokonywanie aktów przemocy wywołuje „rewolucyjną iskrę” jest w równym stopniu odległa od rzeczywistości, jak i od zdrowego rozsądku. Nie bez racji wielu ekspertów miast dzielić terrorystów na różne ugrupowania o zabarwieniach politycznych, dzieląc ich na psychopatów (czyli chorych), fanatyków i łajdaków. Wszyscy razem są ogromnie niebezpieczni dla każdego społeczeństwa, gdyż nie cofają się przed dokonywaniem zbiorowych morderstw.

Obca była tradycji naszego kraju taka metoda myślenia i taka metoda działania. Ulega jej młodzież pod wpływem widowiskowych akcji terrorystycznych na Zachodzie i pod obcymi presjami dosięgania celów każdą metodą. W sytuacji naszego państwa i naszego społeczeństwa wszelka tolerancja i wszelkie ustępstwa wobec jakiegokolwiek aktu terroru niosłyby z sobą ładunek również niebezpieczny, jak sam terroryzm.



Waląca się infrastruktura?

Zdawałoby się, iż oczywista to prawda, że nie ma tak potężnego i bogatego kraju na świecie, którego gospodarka mogłaby bezkarnie dźwigać dowolnie wielki ciężar zbrojeń. Bez ujemnych następstw dla tej czy innej dziedziny życia, jeśli nie dziś, to jutro. Tych, którym się wydaje, że jest przynajmniej jeden taki kraj, który stać na wszystkie naraz, powinien przekonać artykuł z 31 numeru zachodniemieckiego tygodnika „Der Spiegel” z 2 maja br.

Najpierw taki oto codzienny obrazek: „Przed mostem zatrzymuje się autobus. Pasażerowie wsiadają, przekraczają most pieszo, a na drugiej stronie wsiadają ponownie. Most jest zagrożony runięciem i może nie utrzymać autobusu wraz z pasażerami”. Nie jest to bynajmniej sytuacja odosobniona, jak bowiem pisze wspomniany tygodnik: „Tuziny urzędowych opracowań, a także ekspertyzy planistów, zarówno uniwersyteckich, jak i z prywatnych instytutów badawczych ujawniły w ostatnich tygodniach, jaki regres przeżywa obecnie, tak nowoczesna niegdyś, infrastruktura największej potęgi gospodarczej świata”. Oczywiście, rzecz dotyczy USA.

Następują udokumentowane przykłady z różnych dziedzin, m. in. okazuje się, że prawie połowa spośród ponad pół miliona mostów i przejazdów wykazuje poważne braki albo nawet grozi zawaleniem. Koszty reperacji lub nowej budowy — przeszło 47 miliardów dolarów.

Sieć dalekobieżnych autostrad, licząca sobie 65 tys. km, której budowę rozpoczęto w połowie lat pięćdziesiątych, niszczy tak szybko, że rocznie należałoby reperować lub przebudowywać ok. 16 tys. km. Na pozostałych szosach jest jeszcze gorzej, gdyż — jak ocenia ministerstwo komunikacji — należałoby w najbliższych dziesięciu latach wydać 500 miliardów dolarów, aby zachować je w dotychczasowym stanie.

Na istniejących jeszcze liniach kolejowych szyny są już tak rozjeżdżone, że pociągi towarowe i osobowe miejscami wloką się w żółwym tempie. Na porządku dziennym są wykołczenia czy przymusowe postoje na trasie, z powodu „wysiadania” motorów dieslowych lub urządzeń hydraulicznych.

Zaopatrzenie ludności w wodę pitną staje się coraz krytyczniejsze, głównie z powodu wyciekania wody z przestarzałej sieci. Dla przykładu 47 tys. miasto Berwyn w stanie Illinois traci w ten sposób dziennie ok. 4 milionów litrów wody Pat Choate, autor książki „Ameryka w gruzach” szacuje że 756 największych amerykańskich miast powinno w najbliższych 20 latach wydać od 75 do 100 miliardów dolarów dla zapewnienia sobie zaopatrzenia w wodę pitną.

W roku 1977 zlustrowano 9 tys. spośród 68 tys. zapór wodnych nie należących do państwa. W jednej trzeciej, czyli w 3 tys., znajdujących się w okolicach gęsto zaludnionych, wykryto poważne usterki, a 130 uznano za zagrożone runięciem.

W samym tylko Nowym Jorku, według oceny władz miejscowych, należałoby obecną pozycję budżetową na utrzymanie obecnej infrastruktury, a wynoszącą 4 miliardy, zwiększyć do sumy od 8 do 10 miliardów rocznie, ponieważ pilnego remontu lub wymiany wymaga m. in. 1 tys. mostów i 10 tys. km jezdni, 9 tys. km wodociągów i kanalizacji, 6700 wagonów metra, 4500 autobusów, 17 szpitali i 950 szkół, ponadto liczne remizy strażackie.

A co na to rząd federalny? Do 1980 r. ponosił on koszty utrzymania infrastruktury tylko w połowie. Z wyborem prezydenta Reagana wiązano duże nadzieje na poprawę, zwłaszcza iż w kampanii przedwyborczej obiecywał „reindustrializację” kraju, a tymczasem program prezydenta, opublikowany pod hasłem „Nowego federalizmu” zakłada, iż miasta i gminy oraz poszczególne stany będą same musiały ponieść całkowite koszty gospodarki komunalnej, rząd bowiem ograniczył się do „strategii efektywnego finansowania angażowania kapitału”.

Jakie więc możliwości i perspektywy poprawy? „Spiegel” tak ocenia sytuację ogólną USA w lecie 1982 r.: „Stan bezrobocia na najwyższym poziomie od 40 lat, budżet wykazuje największy deficyt w historii państwa; kluczowe branże, jak przemysł stalowy, autobusowy oraz gospodarka wiejska pełnią w dół, robotnicy opuszczają kwitnące niegdyś miasta przemysłowe na każdą pogłoskę, że gdzieś tam o setki mil jest praca, co siódmy obywatel, według oficjalnego stwierdzenia, jest „zubożały”, co oznacza wzrost tej kategorii w ciągu roku o 8 procent”.

Trudno posiadać „Spiegla” o tendencyjne przecenianie obrazu, biorąc zresztą pod uwagę względność pojęcia „ubóstwa” na tle przeciętnej wysokiej stopy życiowej. Jedno wszakże zdaje się nie budzić wątpliwości: gigantyczne i stale rosnące wydatki na zbrojenia nie sprzyjają odbudowie nadwzruszonej infrastruktury USA czy choćby zachowaniu jej w obecnym stanie. Bo jednak nikogo na świecie nie stać na wszystko naraz.

Oprac.: J. K.